www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 2 (1096)
4-10.01.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

CZARNA OSPA WE WROCŁAWIU
8 MLN ZASZCZEPIONYCH W 1963 ROKU

Jarosław Makowski
Kościół zamkniętych drzwi

Bianka Siwińska
Dziewczyny na politechnikach

TRZEJ KRÓLOWIE I ZARAZA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311102 02

DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

COVID-19

Zakrywaj usta!

Ale nie milcz, gdy widzisz przemoc!

Konsekwencje epidemii COVID-19 związane z przemocą i wykorzystywaniem seksualnym uderzają przede wszystkim w dzieci. Uwięzione w jednym domu ze sprawcą, nie mogą liczyć na niczyją pomoc. W Centrach Pomocy Dzieciom Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę krzywdzone i wykorzystywane seksualnie dzieci otrzymują bezpłatną pomoc.

Nie bądź obojętny!

Zadzwoń pod

112

PANDEMIAPRZEMOCY.FDDS.PL

Starogard Gdański

Biuro Rachunkowe RK

SCREEN NETWORK

CYTATY

MARTA LEMPART,
liderka Strajku Kobiet
Możemy mieć tysiące ognisk protestu, nie tylko same protesty. I będziemy je mieć.
„Rzeczpospolita"

PROF. JAROSŁAW FLIS,
socjolog
Wraz z końcem pandemii powróci ostrożne myślenie o tym, jak uczynić świat oswojonym.
„Tygodnik Powszechny"

PROF. MONIKA PŁATEK,
prawniczka
Małżeństwo jest instytucją chybioną, podporządkowaną nie ludziom, ale władzy.
„Zdanie"

KAROL OKRASA,
kucharz, prowadzący program w TVP
Trudno Polakom zabrać solniczki ze stołu, choć sól jest protezą smaku.
„Dziennik Gazeta Prawna"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Politycy, najsłabsze ogniwo

Powrotu do normalności. Tego sobie życzyliśmy najczęściej. Żeby w nowym roku było, jak było. Nie będzie. Świat po pandemii, żeby nie popaść w podobne kłopoty, musi zamontować nowe bezpieczniki. A wcześniej zrobić uczciwą analizę przyczyn, które doprowadziły wszystkie państwa do bezradności. Ta bezsilność i początkowa panika muszą być zapamiętane. Bo podobne lub jeszcze gorsze epidemie przed nami.

Tym razem nadzwyczajna mobilizacja i tempo, w jakim wynaleziono i wyprodukowano szczepionki, pokazują, jak wielki jest potencjał krajów najbardziej rozwiniętych. Zaszczepienie w ciągu roku miliardów ludzi na wszystkich kontynentach będzie największym przedsięwzięciem logistycznym w dziejach. Pionierskim, jeśli chodzi o skalę.

Starsi Polacy pamiętają epidemię czarnej ospy we Wrocławiu w 1963 r. Ówczesne władze potrafiły przygotować i sprawnie przeprowadzić szczepienie 8 mln ludzi. Jeszcze żyją ci, którzy to gigantyczne przedsięwzięcie organizowali. Ale wątpię, by sztab Morawieckiego korzystał z ich wiedzy.

O efektach rozpoczętej akcji szczepionkowej zadecydują przewidywanie zagrożeń, dobra komunikacja władz z całą służbą zdrowia, partnerska współpraca z samorządami i zaufanie społeczne.

Najsłabszym ogniwem tej gigantycznej operacji są niestety ci, którzy mają największą władzę, czyli politycy. Mimo braku kompetencji dostali od nas prawo rozstrzygania nawet w sprawach, o których nie mają zielonego pojęcia. Pandemia do spodu obnażyła ich słabość.

Tę epidemię jeszcze większość ludzi przeżyje. Ale nowych zagrożeń bez zmiany systemu możemy nie przetrwać.

Jeśli nie znajdziemy sposobu, by w zarządzanie państwem wmontować niezależne instytucje, przedstawicielstwa organizacji pozarządowych i ekspertów, sami będziemy sobie winni. Bo te pożądane i logiczne zmiany trzeba wywalczyć. W systemie partyjnym, którakolwiek partia by rządziła, nikt nie ustąpi nawet na krok. Bardziej demokratyczne i lewicowe mogą ustąpić o kroczek. Ale to już nie wystarcza. Świat jest zbyt skomplikowany, by stery powierzać partiom politycznym.

Zostawmy politykom to, co im wychodzi najlepiej. Premierowi Morawieckiemu najlepiej wychodzi witanie na lotniskach maseczek bez certyfikatów i kartonów ze szczepionkami. No i konferencje prasowe z obietnicami. Źle zapamiętamy miniony rok. Chaos i rzucanie pustych obietnic to drugie imię tej władzy. A prawie 30 tys. zmarłych na COVID-19 i dziesiątki tysięcy osób, które utraciły zdrowie, to czarny bilans minionego roku.

Dziękujemy

Dziękujemy wszystkim partnerom, którzy w tym wyjątkowo trudnym roku dołożyli szczególnych starań, aby PRZEGLĄD i wydawane przez nas książki trafiły do Czytelników.
Pozdrawiamy pracowników drukarni Quad/Graphics Europe z Wyszkowa i drukarni ALKOR Jarosław Kaczmarek, a także kolporterów – firmy Kolporter, RUCH, Garmond, LTR, PolPerfect i GLM. Dziękujemy Poczcie Polskiej, kurierom InPostu oraz sprzedawcom sklepów i sieciom handlowym, mającym w ofercie PRZEGLĄD.

Zespół PRZEGLĄDU

BĄKOWSKI

eprasa.pl ae1bac6507

W NUMERZE

KRAJ

8 **Sądny rok Kościoła**
Pożegnanie z Kościołem autorytarnym

12 **Dziewczyny na politechnikach**
– rozmowa z dr Bianką Siwińską

15 **Kogo z polityków dobrze zapamiętamy po roku 2020?**

16 **Pandemiczne szusowanie, zagrożone ratowanie**
Za mało ratowników narciarskich

19 **Z ulicy na Loomio**
Strajk Kobiet na platformie internetowej

HISTORIA

20 **Czarna ospa we Wrocławiu**
Jak zaszczepiono 8 mln ludzi

ZAGRANICA

24 **Autokrata czy autoparodia?**
Ocena prezydentury Trumpa

28 **Placek a duma narodowa**
Na ile pizza jest włoska

30 **Hiszpańska marihuana zalewa Europę**
Sposób na dorobienie

50 **Skandal w Komitecie Noblowskim**
Seksualne nadużycia współpracownika Akademii Szwedzkiej

NAUKA

32 **Zagadki pustyni**
– rozmowa z prof. Romualdem Schildem

36 **Osiem najbardziej emocjonujących osiągnięć naukowych 2020 roku**

KULTURA

40 **Sztuka w blasku pieniędzy**
– rozmowa z Januszem Miliszkiewiczem

44 **Wychowany na Lemie**
Cixin Liu zmienia fantastykę

47 **Qulturalia**

48 **Młodzi artyści, którzy już się liczą na rynku sztuki**

66 **Utopia. Ukryte terapie**

PSYCHOLOGIA

54 **Sesje gadania**
Wojna w Wietnamie a PTSD

EKOLOGIA

58 **Nic, co ludzkie, nie jest naturze obce**
Seks zwierząt

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Politycy, najsłabsze ogniwo

23 **Jan Widacki**
Covid wymiaru sprawiedliwości

27 **Andrzej Romanowski**
Kwarantanna narodowa

35 **Roman Kurkiewicz**
Politykom powiedzieć: sprawdzam

39 **Tomasz Jastrun**
Garść słów

43 **Wojciech Kuczok**
Przedatowani

28
ZAGRANICA

PLACEK A DUMA NARODOWA
Na ile pizza jest włoska

48
KULTURA

MŁODZI ARTYŚCI, KTÓRZY JUŻ SIĘ LICZĄ NA RYNKU SZTUKI

58
EKOLOGIA

NIC, CO LUDZKIE, NIE JEST NATURZE OBCE
Seks zwierząt

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MAREK KUWAK/REPORTER, MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ae1bac6507

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Szkolnictwo wyższe przed wojną i w PRL

Czym Biden naraził się religijnym Amerykanom

Zima na Wyspach Kanaryjskich

Religijni od święta

Prof. Zbigniew Mikołejko mówi, że w mniejszych miejscowościach „Kościół jest jedyną formą życia społecznego, zbiorowego". Obraz ten zupełnie nie pasuje do tego, co widzę na własne oczy. W „mojej" wsi Kościół jest jednym (i niekoniecznie najważniejszym) z co najmniej kilku istotnych komponentów życia społecznego, obok samorządu sołeckiego (dysponującego świetlicą wiejską oraz budżetem wynoszącym od 17 tys. do 53,6 tys. zł), klubu seniora, ochotniczej straży pożarnej, koła gospodyń wiejskich, koła Polskiego Związku Wędkarskiego, zespołu śpiewaczego, klubu sportowego, organizacji pozarządowych, gminnego ośrodka kultury, biblioteki, fanpage'u, wreszcie sklepu z ogródkiem piwnym. Jak wyjaśnić tę sprzeczność? Z pewnością kulturowym i cywilizacyjnym zróżnicowaniem Polski i tempem zachodzących w niej zmian, ale chyba też pewną inercją poznawczą naukowców.

Andrzej Korona

Słowa roku

Zapomnieliście o dwóch ważnych słowach, którymi na przemian obrzucają się wszystkie strony sporów, a są nimi: foliarz i szur. Tak się spopularyzowały, że bez nich wielu uczestnikom różnych forów zabrakłoby argumentów nie do odparcia.

Marta Morgen

Do władzy doszli ci, którzy przestali się uczyć

Edukacja powszechna ma przede wszystkim kształtować wśród uczniów postawy prokapitalistyczne. Do tego od lat (na długo przed dojściem PiS do władzy) jest podlewana sosem umiłowania ojczyzny, jedności narodowej, sojuszy międzypaństwowych, które mają utrwalać naszą zależność od przedstawicieli klas posiadających (kiedyś ziemiaństwo, obecnie kapitaliści). Nauka dryfuje w stronę funkcjonalności względem interesów klas burżuazyjnych. To prosta droga do otwarcia się środowisk naukowych na wszelkiego rodzaj populizm, czy to w otoczce nacjonalizmu, czy tzw. liberalizmu.

Paweł Kotras

Co musiałby zrobić Ziobro, aby Kaczyński go zwolnił?

Nie ma takiej możliwości, gdyż obaj panowie są zakładnikami setek lub tysięcy pijawek, które pasożytują na państwowych posadach, a rozpad koalicji oznacza dla nich bezrobocie i biedę.

Ferdynand K.

•

Jarosław Kaczyński musiałby mieć pewność, że za nic koalicji nie da się utrzymać i że przyśpieszone wybory są koniecznością.

Franek Vetulani

•

Niech mu Ziobro odda kwity, które na niego ma. Wówczas Kaczyński nie będzie się go bał i go zwolni.

Jolanta Maria Binkowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Kolejne ograniczenia w poruszaniu się po Europie odbijają się na kierowcach ciężarówek. Śniadanie tureckiego kierowcy na parkingu przy autostradzie M20 w stronę Dover w Anglii.

FOT. JUSTIN TALLIS/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ae1bac6507

Alicja Jakubowska, naczelna pielęgniarka z Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA w Warszawie, została pierwszą osobą w Polsce zaszczepioną przeciw COVID-19.

10 wsi otrzymało status miast. Są to Budzyń, Koźminek, Kamieniec Ząbkowicki, Goraj, Kamionka, Sochocin, Solec nad Wisłą, Wiskitki, Dubiecko i Wodzisław.

Jan Kościuszko, krakowski restaurator, od 24 lat sam organizuje wigilie dla bezdomnych. W tym roku kilkanaście samochodów dostawczych rozwiozło ponad 50 tys. porcji tradycyjnych dań bezpośrednio do potrzebujących.

Krystian Zimerman, genialny polski pianista mieszkający na stałe w Szwajcarii, nagrał komplet koncertów fortepianowych Ludwiga van Beethovena w związku z 250. rocznicą urodzin kompozytora. Zdaniem słuchaczy nagranie jest fenomenalne.

Eksport nieźle sobie radzi w czasie koronawirusa. **W październiku wzrósł o 3,7%, osiągając wartość prawie 23 mld zł.**

Produkcja polskiego przemysłu w listopadzie wzrosła o 5,4% rok do roku. Największe zwyżki odnotowały branże zorientowane na eksport (urządzenia elektryczne, wyroby elektroniczne, meble).

Premier Mateusz Morawiecki opowiada o wielkiej operacji szczepień na COVID-19, a na koncie ma katastrofę ze szczepieniami na grypę. Skończyło się na obietnicach. I Polakach biegających od apteki do apteki.

Bezrobocie w listopadzie na poziomie 6,1% oznacza, że bez pracy jest 1,025 mln zarejestrowanych osób.

Po gorzkich doświadczeniach z OFE Polacy gremialnie odrzucili program emerytalny PiS. Do PPK (pracowniczych planów kapitałowych) przystąpiło 22,9% (1,68 mln na 7,38 mln uprawnionych). **Rząd PiS, manipulując danymi, nie przyznaje się do klęski.**

Według danych Krajowego Programu Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie odnotowano **122 tys. przypadków przemocy wobec kobiet i 37 tys. wobec mężczyzn.**

166 mln zł przekazał rząd właścicielom polskich statków i kutrów rybackich za to, że nie wychodzili w morze. Na jeden kuter przypadło średnio 300 tys. zł (w 75% z dotacji UE).

Sejmowa Komisja Weryfikacyjna powołana w marcu 2017 r., która **wywindowała propagandowo Patryka Jakiego, a później Sebastiana Kaletę, podatników kosztowała ponad 1 mln zł rocznie,** bo każdy jej członek dostał ekstra 8 tys. zł miesięcznie. A efekty? Tylko propagandowa hucpa.

Średnio w ciągu roku mieszkaniec gminy produkuje ok. 300 kg odpadów.

PRZEBŁYSKI

Miś Wildstein

Gdzie się zapodział Bronisław Wildstein? Od PiS dostał wszystko. Nie ma ważniejszej nagrody, która by nie ozdobiła klaty BW. Może poza jedną – linoskoczka epoki. Nikt zgrabniej nie przeskoczył od anarchizmu i liberalizmu do konserwatyzmu. Oczywiście w polskim wydaniu, którego ikoną może być Marta Kaczyńska, w przerwach między rozwodami moralistka prawicy. Przed skokiem w konserwatyzm i rolą wielkiego pisarza Wildstein był postacią barwną, ekspresyjną i mocno kontrowersyjną. Jako myślowy guru PiS jest już tylko nudziarzem. Umościł się w świecie ludzi łapczywie korzystających z władzy. Takich, co zamiast po książki Wildsteina sięgają po książeczki czekowe. Dla nich jest tylko misiem czasów PiS.

Pokazowy Mazurek

Tego młodzieńca nie zobaczycie na protestach. W Piotra Mazurka matka partia tyle zainwestowała, że grzechem by było, gdyby na PiS narzekał. Choinki na święta mają mniej ozdób niż Mazurek funkcji. Ilu 27-latków potrafi w rok zarobić ponad 150 tys. zł? A Mazurek daje radę! Jako szef gabinetu politycznego wicepremiera Glińskiego ma pensję wiceministra, gabinet, sekretarkę i autko rządowe. Jako radny Warszawy zajmuje się nawalanką w Trzaskowskiego. W nagrodę obsadzili go w radzie u Dudy, w IPN i powołali na pełnomocnika rządu ds. polityki młodzieżowej. Nadaje się. PiS potrzebuje takich obrotnych agitatorów. Figurantów bez zahamowań.

Nadesłane do „Szkła kontaktowego"

Jerzy Iwaszkiewicz wybrał dla „Vivy!" SMS-y nadesłane do „Szkła kontaktowego" w TVN 24. Oto mała próbka poczucia humoru telewidzów. „Zanim wrzucisz głos do urny, przetrzyj oczka jak Lichocka". „Prezydent Duda jest dobry na odległość, sterowany na pilota". „Pełnia idzie, premier Morawiecki znowu będzie coś obiecywał". „Puszcza PiS-ka domaga się zmiany nazwy". „Tato, a premier powiedział, że jego szef powiedział…". „Jak się Jaki pomyli, to też powie prawdę". „Policja nosi kobiety na rękach". „Moja osoba jest smutna. Mąż na stoku".

Zaradny katecheta

A może by tam wysłać egzorcystę? Nad Ostrołęką musi krążyć diabeł. Bo jak inaczej wyjaśnić ten ponury ciąg afer? Budowa elektrowni Ostrołęka C pochłonęła już 850 mln zł, a miasto ciągle liże rany po nieudolnych rządach byłego prezydenta Janusza Kotowskiego. Jego popisowym numerem było zorganizowane wspólnie z żoną, też katechetką, widowisko „Śpiewające płody". Wystarczyło mu to na dobrze płatną posadę członka zarządu elektrowni. Z wiadomym skutkiem. Katecheta dostał więc nową fuchę – p.o. dyrektora Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Słusznie. Może tam równocześnie robić za eksponat.

FOT. YOUTUBE (3), IPN.GOV.PL

eprasa.pl ae1bac6507

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego tak dużo lekarzy i pielęgniarek nie chce się szczepić na COVID-19?

KAJA FILACZYŃSKA,
specjalistka endokrynologii, działaczka Razem

W Legnicy, w moim lokalnym szpitalu, chęć zaszczepienia się wyraziło ponad 70% pracowników, podobnie jest w innych placówkach w regionie, dlatego mam nadzieję, że dane dla całej Polski są już nieaktualne. Pamiętajmy jednocześnie, że przedstawiciele i przedstawicielki zawodów medycznych są częścią społeczeństwa, a w nim szeroko rozpowszechniona jest propaganda antyszczepionkowa, na którą przeznaczane są bardzo duże środki. Dlatego w ostatnich tygodniach tak bardzo brakowało mi intensywnych działań edukacyjnych ze strony rządu, nastawionych na rozwiewanie pojawiających się obaw, takich jak błędne przeświadczenie, że bezpieczeństwo stosowania szczepionek na COVID-19 nie zostało wystarczająco skrupulatnie przebadane. Liczę, że gdy ludzie zobaczą, że nie ma czego się bać, wszystkie grupy społeczne będą zgłaszać się masowo do programu szczepień, dzięki czemu uda nam się uzyskać odporność zbiorową.

DR KRZYSZTOF PUCHALSKI,
socjolog zdrowia i medycyny, Instytut Medycyny Pracy

Przedstawiciele zawodów medycznych w większości nie są ekspertami od szczepionek, za to podlegają tym samym uwarunkowaniom co reszta społeczeństwa, a ono niechętnie poddaje się dobrowolnym szczepieniom. Na grypę szczepi się kilka procent obywateli, a wśród lekarzy ten odsetek jest podobny. Dlatego należy szukać przyczyn, które dotyczą ogółu Polaków. Wskazałbym tutaj zwłaszcza nieudolną politykę informacyjną rządu. Oficjalne komunikaty często sobie przeczą, zalecenia są narzucane bez przedstawiania przekonujących uzasadnień, wiele jest propagandy sukcesu, a na niektóre pytania, np. czy warto szczepić ozdrowieńców, nie doczekaliśmy się odpowiedzi. Naturalną reakcją wobec takiego poziomu niepewności jest wyczekiwanie. Nie wrzucajmy do jednego worka przeciwników szczepień i osób, które domagają się dodatkowych informacji czy wolą najpierw zobaczyć, jak częste będą skutki uboczne wśród zaszczepionych.

DR MICHAŁ ZABDYR-JAMRÓZ,
analityk polityk zdrowotnych, Instytut Zdrowia Publicznego Collegium Medicum UJ

To nie jest nowe zjawisko. Podobne postawy personelu medycznego zaobserwowano m.in. w odniesieniu do szczepień na grypę. Z międzynarodowych badań wynika, że powody są zbliżone: niepełna wiedza na temat szczepionek i brak zaufania do związanych z nimi instytucji, w szczególności firm farmaceutycznych. Częściej nie szczepią się i wyrażają szczepionkosceptyczne opinie pielęgniarki i personel pomocniczy, a także lekarze niemający kontaktu z chorobami, którym szczepienia zapobiegają. W związku z tym jako uniwersalną metodę radzenia sobie z tym zjawiskiem badacze wskazują dokształcanie personelu na temat szczepień ochronnych. Te działania jednak mogą być niewystarczające, co zależy od lokalnego kontekstu. Rekomendowane jest więc także odnoszenie się do tego, co w danym kraju i konkretnej sytuacji jest przyczyną nieufności wobec podmiotów odpowiedzialnych za szczepienia.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl ae1bac6507

Sądny rok Kościoła

W roku 2020 żegnamy Kościół autorytarny, ciasny, zaściankowy. Kościół zamkniętych drzwi

Kościół w Polsce gotowy był czerpać pełnymi garściami z układu, jaki zawarł z PiS już pięć lat temu.

Jarosław Makowski

Nic nie zapowiadało katastrofy. To miał być kolejny rok, w którym Kościół w Polsce gotów był czerpać pełnymi garściami z układu, jaki zawarł z PiS już pięć lat temu. A układ ten był prosty: proboszczowie, jak kraj długi i szeroki, popierają tzw. dobrą zmianę, głosząc jej chwałę, jednocześnie nie narzucają się zbytnio z niesieniem Dobrej Nowiny, która sprzeciwia się pogardzie i wykluczaniu ludzi – narodowemu sportowi PiS. Biskupi z kolei biorą udział w rozpętywanych przez rząd wojnach kulturowych, dając „bożym wojownikom partyjnym" poczucie, że gdy atakują słabszych, bronią katolickiej wiary i narodowej tradycji przed zalewem lewactwa, gendera i Netfliksa.

Ciemna godzina

Role zostały precyzyjnie rozpisane. Każdy znał swoją kwestię. Jednak pojawienie się w marcu 2020 r. koronawirusa, który przecież miał nas ominąć szerokim łukiem, wywróciło ten scenariusz do góry nogami. Pandemia nie tylko pokazała kłamstwa i mataczenie rządzących, ale przede wszystkim – z punktu widzenia religijnego – obnażyła nieprzydatność Kościoła. I nie jest to już tylko teza publicystyczna, ale stoją za tym twarde dane, jakie przynoszą badania opinii społecznej.

Pierwszy raz od roku 1993 przeważają negatywne opinie o Kościele – wyraża je prawie 50% badanych (CBOS). Do tego musimy dodać, że w ostatnich 20 latach odsetek wiernych uczestniczących w niedzielnych mszach zmalał z 47,5% do 36,9% (za Instytutem Statystyki Kościoła Katolickiego). To nie koniec złych dla Kościoła wiadomości – dzieciaki masowo wypisują się z religii, spada liczba przyjmowanych sakramentów, rośnie liczba apostazji. To wszystko spadło na Kościół niczym grom z jasnego nieba w ostatnich 12 miesiącach. A przecież w trudnych chwilach, jakie sprowadził na nas wszystkich wirus, świątynie powinny przeżywać oblężenie. W takich sytuacjach ludzie przecież szukają słów otuchy, wsparcia, a religia winna się jawić jako bezpieczna przystań.

W tych ciemnych godzinach biskupi mieli szansę ponownie zgromadzić ludzi wokół religii miłości i solidarności. Tymczasem okazali się zaledwie nieudolnymi zarządcami kościelnej korporacji. A stało się tak dlatego, że popełnili – jak naliczyłem – pięć grzechów, które ostatecznie sprawiły, że rok 2020 będzie im się kojarzył z pożegnaniem Kościoła, jaki znaliśmy. I nie ze względu na to, że przechodzi on wewnętrzne zmiany pod wpływem refleksji personelu zarządzającego. Po prostu przestaje być ważny nawet dla samych katolików.

Sojusz tronu i ołtarza

To najbardziej oczywista przewina Kościoła. Jest zrozumiałe, że PiS chce tego sojuszu, gdyż uważa, że Kościół – z całą swoją infrastrukturą parafialną – można przerobić na element machiny propagandowej i politycznej. O ile media rządowe mają prać mózgi, o tyle propisowskie parafie mają prać serca.

Jarosław Kaczyński nie dlatego tak pokochał Kościół i jest gotów bronić go bardziej niż Władysław Gomułka PZPR, gdyż tak drogi jest mu katolicyzm. Pamiętamy przecież, że to prezes PiS mówił, widząc konszachty ZChN i biskupów, że „najkrótsza droga do dechrystianizacji Polski prowadzi właśnie przez Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe", czyli partie katolickie. Kaczyński żywił wtedy jednak przekonanie, że da się w Polsce stworzyć laicką

Pandemia obnażyła nieprzydatność Kościoła.

eprasa.pl ae1bac6507

prawicę, która nie byłaby zależna od kleru. Kolejne porażki wyborcze i lata spędzone na ławce rezerwowych uświadomiły mu, że prawica w Polsce może być albo narodowokatolicka, albo nie będzie jej wcale. Dlatego postanowił nie tyle z Kościołem się dogadywać, ile go sobie podporządkować – trzymać na smyczy zarówno finansowej, jak i dyscyplinującej, dzierżąc w ręku teczki SB.

Miniony rok pokazał, że dziś to nie tyle Kaczyński potrzebuje Kościoła, ile Kościół potrzebuje prezesa. Im bardziej ten sojusz się zacieśnia, tym bardziej staje się jasne, że upadek polityczny PiS będzie też upadkiem duchowym Kościoła. Protesty, które po wyroku Trybunału Konstytucyjnego Przyłębskiej zaostrzającym prawo antyaborcyjne widzieliśmy także przed świątyniami i na których pojawiały się brutalne hasła przeciw władzy, były po części kierowane przeciw Kościołowi. Obecnie, po przygodach duchowych roku 2020, z całą pewnością możemy powiedzieć, parafrazując słowa prezesa, że najkrótsza droga do dechrystianizacji Polski prowadzi przez PiS. Miniony rok ostatecznie potwierdził więc starą prawdę: Kościół, który bierze ślub z jakąś partią, zostaje po przegranych przez nią wyborach wdową.

Zaraza: kara za grzechy

Pandemia COVID-19 zaskoczyła polskie władze. Natomiast nasi duchowi przewodnicy zobaczyli w tym niemalże palec boży – swoisty dopust, który miał być znakiem dla ludu nad Wisłą. Nie brakowało kazań na ten temat, np. jeden z wrocławskich salezjanów przekonywał, że nie maseczki ani żele antybakteryjne ochronią nas przed wirusem, lecz modlitwa. Tłumaczył, że epidemia to kara boska za życie w grzechu: za homoseksualizm, za pary, które mieszkają razem bez ślubu, i za tych, którzy „mordują nienarodzone dzieci". Krótko: to kara za wszystko, co kler piętnuje u ludzi, bo przecież nie we własnych szeregach.

Szybko jednak się okazało, że owa kara, zarażenie covidem, która miała dosięgnąć, jak mniemano, lewaków, rozpustników i zwolenników nowoczesności, nie ominęła jednakowoż biskupów, księży ani zgromadzeń zakonnych. Skoro wirus nie zważa na wiarę, na przynależność kościelną, odpuszczono ten typ argumentacji. Ale Polki i Polacy zobaczyli, jak schorowana wyobraźnia katolicka gotowa jest wykorzystać każdy ludzki dramat do podsycania zabobonów.

Kiedy Watykan, z papieżem Franciszkiem na czele, podporządkował się zaleceniom naukowców i lekarzy, by zamknąć kościoły, bo to miejsca, gdzie następuje transmisja wirusa, nasi duchowni uznali, że mogą się poddać tej liberalnej i medycznej presji. Redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy" Paweł Lisicki pisał jednak, że zgoda włoskiego episkopatu, by zawiesić odprawianie mszy, jest „zdradą Chrystusa. (…) Biskupi włoscy pokazują, że katolicyzm jest dla nich jedynie fasadą. W istocie nie wierzą w sprawczość sakramentów". Wtórował mu Robert Tekieli, który grzmiał o „biskupach bez wiary". W swoim stylu ze środków ostrożności podejmowanych przez włoski rząd i episkopat kpił Rafał Ziemkiewicz.

Ci rycerze katolickiego myślenia zapomnieli, że – jak pouczał św. Tomasz z Akwinu – „łaska zawsze pracuje na naturze". Wiara nie ignoruje nauki. Nie odrzuca medycyny. Jeśli korzystanie z sakramentów narażałoby cię na utratę życia, to nie powinieneś z nich korzystać. Jeśli zaś sakramenty mają zastąpić medycynę i naukę, to powinniśmy zlikwidować szpitale, laboratoria i uniwersytety medyczne. A zamiast brać tabletki na grypę, odmawiać zdrowaśki.

Kobiety pod kościołami

Rok 2020 przejdzie do historii także dlatego, że zobaczyliśmy obrazy, które nie przyszły do głowy nawet największym krytykom Kościoła. Biskupi, w ramach spłacania długów za popieranie partii władzy, zażądali dokręcenia śruby prawa antyaborcyjnego. Kaczyński, po reelekcji Andrzeja Dudy, do której Kościół przyłożył rękę, uznał, że w czasie szalejącej pandemii rodzi się szansa przeprowadzenia budzących kontrowersje zmian. Rękami Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej wypowiedział do spółki z biskupami

Biskupi okazali się zaledwie nieudolnymi zarządcami kościelnej korporacji.

Ani biskupi, ani Kaczyński nie docenili polskich kobiet – w tym również katoliczek.

FOT. PAP/JACEK BEDNARCZYK, PAWEŁ WAŚNIOWSKI/REPORTER

eprasa.pl ae1bac6507

tzw. kompromis aborcyjny. Kalkulował: rząd wprowadza reżim sanitarny, ludzie są zmuszeni do pozostania w domach. A jeśli wyjdą na ulice, to łatwo będzie oskarżyć protestujących o roznoszenie wirusa. Cynizm sięga tu nieba. A wszystko przy aprobacie biskupów.

Kłopot w tym, że ani biskupi, ani Kaczyński nie docenili polskich kobiet – również katoliczek. Kobiety, także wierzące, uznały, że czara goryczy się przelała, żaden smutny prezes w garniturze do spółki z grzesznymi moralistami w koloratkach nie będą decydować o ich losie. Masowo wyszły na place i ulice miast, miasteczek, a nawet wsi. Mało tego, gniew protestujących skierował się też w stronę Kościoła. Przez chwilę manifestacje przeniosły się pod świątynie. Gdyby mi ktoś na początku minionego roku powiedział, że w kraju Jana Pawła II będziemy oglądać katoliczki i katolików protestujących przed kościołami, chronionymi przez szwadrony uzbrojonej po zęby policji, uznałbym go za wariata. A jednak! Kler na ten gniew kobiet zareagował w swoim stylu: piętnując i ganiąc. Brakowało księży, którzy wyszliby do protestujących, którzy zaczęliby rozmawiać. Ten obraz w oczach ludzi tylko potwierdził przekonanie, że Kościół nie rozumie dialogu, zna i ceni natomiast przemocowy charakter państwa.

Do kobiet dołączyła młodzież – ta, która do tej pory siedziała na kanapie. Dołączyła z przytupem. Znajdując nie tylko swój powód do buntu – ograniczanie wolności – ale także język, który pozwolił na unieszkodliwienie propagandowej papki wtłaczanej przez media rządowe. Część księży, ta niebojąca się myśleć, mówi jasno: straciliśmy na długie lata kobiety i młodych, a to oznacza puste kościoły i puste sale lekcyjne podczas religii.

Wierni odchodzą

Do niedawna katolicy odchodzili z Kościoła po cichu, zawstydzeni. W roku 2020 zaczęli odchodzić z hukiem. I dumni. Bo coś w ludziach pękło. Uznali, że nie chcą już być członkami Kościoła, który chroni pedofilów w sutannach, blatuje się z władzą, gardzi rozumem i walczy z Harrym Potterem zamiast z klerykalnym obskurantyzmem. Inaczej mówiąc, zwracanie Kościołowi biletu stało się modne. Znak do wyjścia z Kościoła i trzaśnięcia drzwiami dawały albo znane osoby, albo youtuberki z milionowymi zasięgami w sieci. Jakkolwiek to zabrzmi, bycie katolikiem w katolickim kraju, szczególnie dla ludzi młodych, stało się obciachowe.

Publicznie na temat swojej apostazji wypowiadała się znana dziennikarka i pisarka Anna Dziewit-Meller, felietonistka „Tygodnika Powszechnego", który, dodajmy, jest pismem katolików otwartych. Dziewit-Meller wyznała: „W obliczu tego, co dzieje się w Polsce – nie widzę dla siebie miejsca w tygodniku katolickim". Czyli już nawet tzw. katolicyzm otwarty nie jest przestrzenią, gdzie ludzie dobrze się czują, gdzie mogliby się realizować jako osoby wierzące. Co więc powiedzieć o miejscach, gdzie katolicyzm przypomina młot na czarownice?

Inny przykład to Jola Szymańska, która popularność w sieci zdobyła, mówiąc o wierze, pokazując, że można być młodą, rozumiejącą współczesny świat katoliczką. Jola, która mieszka w Krakowie, organizowała nawet ruch katolików świeckich pod hasłem „Odzyskajmy nasz Kościół". Ci młodzi ludzie mówili, że mają dość kościelnej obsesji na tle seksu, zamieniania ambony w mównicę sejmową, aroganckich biskupów, którzy poniżają i upokarzają swoich laickich współpracowników. Kiedy zobaczyła, że jej protest nikogo w Kościele nie zajmuje, przestała poruszać temat wiary. W minionym roku nagrała ostatni odcinek na ten temat na YouTubie, mówiąc krótko: „Dzień dobry. Mam dość. Do widzenia". Tak, Jola trzasnęła kościelnymi drzwiami.

Inną kategorią są youtuberki – dla młodych ludzi nowy typ autorytetu – które zachęcają do odejścia z Kościoła. Przykładem jest Hania Es, która nagrała filmik o wierze i Kościele (zasięg 180 tys.) – choć przekonuje, że ceni wiarę chrześcijańską, to kościelna instytucja jest dla niej anachroniczna. Ma też dość „księży, którzy są ponad prawem", gdyż państwo nie ściga ich za przestępstwo pedofilii. Dodatkowo Hania Es przedstawia krótką instrukcję, jak dokonać apostazji.

Odchodzenie z Kościoła to wręcz trend. Powód do dumy. Ale biskupi pozamykani w swoich pałacach nie zdają sobie sprawy, że dzięki sieci i kolejnym publicznym apostazjom odbywa się masowy exodus wiernych – zarówno tych, którzy już tylko w kartotekach kościelnych funkcjonowali jako katolicy, jak i tych, którzy do wczoraj byli twarzami „fajnego katolicyzmu". Odchodzą z podniesioną głową, mówiąc: „Mamy dość!".

Rysa na pomniku Jana Pawła II

Do tej pory raczej mówiono o tym szeptem: że św. Jan Paweł II, polski papież, nie zrobił wszystkiego, co zrobić powinien, by chronić dzieci przed wykorzystywaniem ich przez seksualnych drapieżników w sutannach. Ale rok 2020 przyniósł zasadniczy przełom. Zaczęło się od słynnego wywiadu z kustoszem pamięci o Janie Pawle II. Kard. Stanisław Dziwisz na pytania dotyczące molestowania seksualnego w Kościele odpowiadał, że nie wie, nie pamięta, nie słyszał. Ten wywiad wzbudził powszechny niesmak. Ba, kard. Dziwisz pokazał w nim, że jego wiarygodność jest zerowa. Potem przyszedł film dokumentalny „Don Stanislao", w którym mnożyły się pytania o udział krakowskiego kardynała w tuszowaniu skali nadużyć seksualnych w Kościele i nieinformowaniu o niej Jana Pawła II.

Po odwołaniu przez Watykan bp. Edwarda Janiaka, ordynariusza kaliskiego, za tuszowanie pedofilii, stało się jasne, że Watykan dał zielone światło do pociągnięcia do odpowiedzialności także polskich hierarchów. Być może dlatego, że

O ile media rządowe mają prać mózgi, o tyle propisowskie parafie mają prać serca.

Do niedawna katolicy odchodzili z Kościoła po cichu. W roku 2020 zaczęli odchodzić z hukiem.

eprasa.pl ae1bac6507

Stolica Apostolska opublikowała w końcu przeszło 400-stronicowy raport na temat jednego z największych seksualnych przestępców, jakim okazał się amerykański hierarcha i przyjaciel Dziwisza, Theodore McCarrick. O ile wiarygodność kard. Dziwisza jest już zerowa w kwestii wyjaśniania nadużyć seksualnych w Kościele, o tyle wszyscy rzucili się do obrony Jana Pawła II. Pojawiły się zapewnienia, że polski papież mógł nic nie wiedzieć o grzesznej i przestępczej działalności McCarricka, bo według raportu pierwsze oskarżenie o wykorzystywanie seksualne małoletniego pojawiło się dopiero w 2017 r., czyli ponad 12 lat po śmierci Jana Pawła II. Przekonywano, że papież Wojtyła nie ufał tym, którzy chcą dyskredytować księży, gdyż nauczył się tej nieufności w komunistycznej Polsce, gdzie była to metoda powszechna. Ale przecież wiemy, że o nadużyciach seksualnych w Kościele mówi się głośno już od lat 70. XX w. Zrozumiałbym, gdyby tłumaczono, że jednak dzisiejszy stan wiedzy i świadomości jest inny – że obecnie zbadaliśmy ten problem, że ufamy ofiarom i wiemy, że te dramatyczne historie nie są próbą oczerniania Kościoła, ale ujawnieniem elementarnej prawdy, którego chcą skrzywdzeni i skazani na długie lata milczenia.

Tyle że i takie postawienie sprawy jedynie trochę tłumaczy papieża. Pontyfikat Jana Pawła II był długi, a zarazem stał się źródłem jednego z najpoważniejszych kryzysów, z jakimi mierzy się dziś Kościół. To w czasie jego rządów rozwinęła się zdegenerowana struktura kościelna, która umożliwiała wykorzystywanie seksualne dzieci na tak wielką skalę. Może i Jan Paweł II nie wiedział o nadużyciach ani przestępstwach swoich księży i biskupów, ale wiedzieć powinien. Niewiedza jest tu marnym usprawiedliwieniem. A wiedziałby, gdyby zamiast jadać śniadania ze swoim zaufanym sekretarzem, czytał do porannej kawy światowe gazety. Tak – miniony rok to czas, w którym na pomniku Jana Pawła II pojawiły się znaczące rysy. To rok, w którym okazuje się, że polski papież nie jest już tarczą chroniącą polski Kościół, jego pontyfikat staje się w końcu przedmiotem krytycznych analiz. Także katolików.

Bycie katolikiem w katolickim kraju stało się obciachowe, szczególnie dla ludzi młodych.

Katolikiem się stajesz, nie rodzisz

Kto z nas nie słyszał takich historii lub sam nie brał udziału w tych rodzinnych obiadach i spotkaniach, podczas których dziadkowie wypytują świeżych rodziców: „To kiedy chrzest naszego wnusia?”. Często pytanie to wprawia młode małżeństwa w zakłopotanie. Odpowiedź bywa wymijająca. Jednak po powrocie do własnego domu młodzi rozmawiają, że chrzest może nie jest potrzebny, ale przecież nie można zrobić przykrości dziadkom.

Inna scena, nawet bardziej powszechna. Kiedy już pojawiasz się na rodzinnym obiedzie z chłopakiem czy dziewczyną, bliscy – w tym rodzice – zapytują niby żartem: „To kiedy ślub? Bo musimy przygotować fundusze!”. Młodych ludzi takie pytanie dziwi, nie rozumieją, po co im ślub zawierany w kościele. Związek rozumieją jako partnerstwo, gdzie chodzi o to, by być szczęśliwymi i nie zadawać sobie bólu. A na indagacje rodziny, kiedy ślub, reagują wzruszeniem ramion. Także katolicy.

Na naszych oczach upadają więc przyzwyczajenia, które sprawiały, że biskupi mogli z dumą mówić, że zarządzają „katolickim narodem”. Po pierwsze, nie działa już presja otoczenia, że jak nie ochrzcisz dziecka, to co powiedzą babcia albo dziadek. Dziś nawet dziadkowie, widząc biskupów, którzy kryją pedofilów, zaczęli się martwić o dzieci posyłane do kościoła i pod opiekę duchownych.

Po drugie, ziszcza się w końcu stara prawda: katolikiem się nie rodzisz, jak chcieliby nasi biskupi, ale nim się stajesz, podejmując świadomy wybór. Tylko jak masz wybrać katolicyzm, gdy widzisz sytych i aroganckich polskich biskupów? Hierarchowie z ich anachronicznym nauczaniem w kwestii etyki seksualnej, koncepcji rodziny czy statusu kobiety są postrzegani przez młodych jako fałszywi moraliści w sutannach, którzy jak pijani płotu trzymają się starego porządku świata – nie wykazując choćby odrobiny zrozumienia dla przemian zachodzących w dzisiejszych różnorodnych i pluralistycznych społeczeństwach. W roku 2020 na dobre żegnamy taki Kościół – autorytarny, ciasny, zaściankowy. Kościół zamkniętych drzwi. A w zasadzie żegnają go sami katolicy, nie widząc potrzeby, by z takim Kościołem się utożsamiać. Odmawiając mu wiarygodności i autorytetu. Dzięki Bogu.

Jarosław Makowski

eprasa.pl ae1bac6507

Dziewczyny na politechnikach

Wciąż mało jest kobiet w obszarach technologicznych i na najwyższych stanowiskach akademickich

Rozmawia Beata Igielska

Jaki jest obraz kobiety w technologiach 2020 r. na podstawie przygotowanego przez was raportu?

– To kobieta ponadprzeciętnie zdolna, ponadprzeciętnie sytuowana, z ponadprzeciętnie dużym wpływem i chęcią angażowania się. I, niestety, doświadcza dyskryminacji, różnych szowinistycznych sytuacji w życiu zawodowym, a wcześniej na studiach. Styka się z seksizmem, walczy z mobbingiem, próbuje przebić szklany sufit.

A ten ciągle jest dość mocny.

– Jest widoczny w każdej branży. Panie w technologiach z jednej strony nie chciałyby, żeby istniał, bo chciałyby awansować, brać na siebie większą odpowiedzialność. Z drugiej zaś, nie chciałyby mieć szefowej. To się ze sobą nie łączy.

Ależ łączy się, jest silny stereotyp kobiety – strasznej szefowej.

– Tyle że one nie miały szefowych, ponieważ w technologiach jest mało kobiet na kierowniczych stanowiskach. Nie miały więc złych doświadczeń. Prawdopodobnie panie replikują uwewnętrznione stereotypy.

Świetnym podsumowaniem roku 2020 było wydarzenie online na niesamowitą skalę – Perspektywy Women in Tech Summit 2020. Udało wam się zgromadzić prawie 9 tys. kobiet. Były warsztaty, stoiska różnych firm, taniec i kosmonautka. Był mentoring, spotkania 1:1 i możliwość fachowego networkingu.

– Świat eventów, które siłą rzeczy przeszły na formułę online, jest obecnie bardzo ubogi. Na przykład konferencja trwająca w realu dwa dni teraz trwa siedem, ale zajmuje krótką część dnia. Stwierdziliśmy, że wbrew temu trendowi zrobimy wydarzenie niezwykle bogate, wielowątkowe, tak jak robilibyśmy to w realu, czyli zapraszamy najlepszych ludzi, stawiamy na różnorodność, na interakcje między uczestnikami i na jakość. Korzystaliśmy z bardzo dobrej, sprawdzonej platformy, transmitowaliśmy na żywo dwie sceny. W każdej godzinie oferowaliśmy siedem innych propozycji tematycznych. Ten rozmach był dość ryzykowny, bo wszyscy teraz idą w kierunku minimalizmu, ale się sprawdził, ludzie bardzo to docenili, byli zaangażowani, spędzili z nami dużo czasu jak na wydarzenie online. Uczestnicy ocenili to wydarzenie bardzo wysoko – otrzymaliśmy najlepsze oceny, jakie kiedykolwiek udało nam się uzyskać, więc formuła wniesienia czegoś dobrego i wartościowego bardzo się spodobała. Mieliśmy wręcz wrażenie, że czekali na dawkę rozwoju, zrobienia czegoś dla siebie. Zaplanowania następnego kroku w karierze – na koniec tego dziwacznego i trudnego roku.

DR BIANKA SIWIŃSKA
– pomysłodawczyni akcji „Dziewczyny na politechniki!", programów dla studentek kierunków technicznych: „Nowe technologie dla dziewczyn!", „IT for SHE", „Shesnnovation" oraz największego wydarzenia dla kobiet w technologiach w Europie – Perspektywy Women in Tech Summit. Laureatka m.in. Bizneswoman Roku 2015 (Sukces Pisany Szminką), Polish Woman of Power 2017 (US Embassy).

Debatowaliście o cyberbezpieczeństwie, chmurach internetowych, programowaniu, sztucznej inteligencji. Co z tego zostanie na dłużej?

– Było to wydarzenie wielowątkowe: wykłady, warsztaty, spotkania i formy mentoringu. Dużo mówiliśmy o przełomie technologicznym, który nastąpił po osadzeniu się w nowej, pandemicznej rzeczywistości, i o rozwiązaniach technologicznych, które go umożliwiają. Siłą rzeczy musiał się pojawić temat 5G, kolejnego standardu dostarczania internetu. Stał się on przedmiotem wielu negatywnych mitów i rozgrywek geopolitycznych.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ae1bac6507

Ważne, aby z fake newsami wokół tej technologii walczyć, bo przecież 5G jest obecnie absolutnie niezbędne i może pomóc rozwiązać problemy nie tylko komunikacyjne.

Dzięki 5G łatwiej będzie choćby robić takie eventy, jak wy zrobiliście.

– Na potrzeby 5G buduje się osobną infrastrukturę – część już powstała, część właśnie powstaje. Kto zbuduje resztę? Zacięta rywalizacja między Chinami a światem Zachodu trwa. Przesył danych przez 5G spowoduje przyśpieszenie ilościowe i jakościowe, które może bardzo dużo zmienić. Wszystko to, co teraz słabo funkcjonuje z powodu posługiwania się poprzednią technologią, ma szansę zadziałać dobrze. Na przykład będzie możliwe zdalne robienie operacji. Szybki internet umożliwi realizację wielu takich przedsięwzięć na zupełnie nowym poziomie. Pandemia stała się idealnym momentem, żebyśmy zrozumieli w pełni potrzebę wprowadzenia technologii 5G. Okazało się, że internet, który mamy obecnie na świecie, po prostu nie wystarcza. I jest to kwestia nie tylko tego, jak będzie chodził Zoom, ale również zrobienia rzeczy, które wcześniej nie były możliwe – w wielu istotnych obszarach.

Czy w waszych dyskusjach o 5G pojawił się motyw potrzeby zużycia ogromnej ilości energii? Wydaje się, że ta nowa technologia będzie kolejnym trucicielem.

– Wokół 5G niepotrzebnie narosło mnóstwo mitów. Z naszymi paniami z Top 15 Kobiet w 5G zrobiliśmy publikację o faktach i mitach dotyczących tej nowej technologii. To króciutki informator obalający najpowszechniejsze mity. 5G nie truje bardziej niż obecna technologia, nie potrzebuje więcej energii. Tę broszurę wydaliśmy po to, żeby 5G odczarować. Można ją pobrać stąd: womenintechsummit.pl/top5g.

Co to jest Top 15 Kobiet w 5G?

– Ważnym celem „Perspektyw" jest promowanie mądrych kobiet w technologiach, aby kolejne pokolenia dziewczyn miały swoje *role models* – wzorce kobiet, które w technologiach zbudowały spektakularne kariery i zrobiły wiele dobrego. Mają możliwość opowiedzenia o technologiach i o sobie. W 2019 r. postawiliśmy na cyberbezpieczeństwo i ogłosiliśmy listę Top 20 kobiet w tym obszarze. W tym roku przyjrzeliśmy się ważnemu tematowi 5G. O kobiety tutaj niełatwo, stanęliśmy jednak na głowie i znaleźliśmy ekspertki. Jest ich 15. Zajmują się nie tylko rozwiązaniami biznesowymi, lecz także legislacyjnymi czy szerzeniem wiedzy o 5G. Na Women in Tech Summit ogłosiliśmy naszą listę i daliśmy paniom głos.

Kobiety chciałyby awansować, z drugiej strony nie chciałyby mieć szefowej.

Jaka jest w tej chwili sytuacja kobiet w polskiej nauce? Coś się przewartościowało? Temu też mocno się przyglądacie.

– Kobiet w nauce jest bardzo dużo, bo nauka z punktu widzenia ekonomii i dystrybucji wpływów, niestety, nie jest obszarem kluczowym. Mężczyźni więc tak się do niej nie pchają. Natomiast mało jest kobiet w obszarach *stricte* technologicznych. No i mało na najwyższych stanowiskach akademickich, zarządzających światem nauki. W tej kadencji na polskich uczelniach po raz pierwszy 14 kobiet zostało rektorkami. To przełom.

Kobiet w nauce jest bardzo dużo, bo z punktu widzenia ekonomii i dystrybucji wpływów nauka nie jest obszarem kluczowym.

Działania, które podejmujecie, na pewno przyczyniają się do takich zmian. Tak samo jak akcja „Dziewczyny na politechniki!".

– W przyszłym roku będziemy obchodzić jej 15-lecie. Akcja trwa – bo zmianę buduje się w długiej perspektywie. Co roku organizujemy specjalny dzień otwarty na uczelniach technicznych w całej Polsce i na wydziałach ścisłych uniwersytetów, adresowany do dziewcząt, aby poznały taką opcję edukacyjną oraz sprawdziły swoje predyspozycje. W ciągu dekady udział dziewcząt w studiach politechnicznych wzrósł o 10%. Czyli w sumie w tej chwili jest to już ok. 40%. Ten udział nie rozkłada się równomiernie, bo są obszary, kierunki, gdzie kobiety wciąż dominują, nie są to obszary technologiczne lub dające prestiż, wpływy, również ekonomiczne, na losy świata. Ale np. na informatyce dziewczyn w tej chwili jest o wiele więcej niż parę lat temu. Niemniej jednak stanowią one zaledwie 14-15% studiujących. Dlatego obecnie w akcji „Dziewczyny na politechniki!" skupiamy się na kierunkach okołoinformatycznych – związanych z tworzeniem nowych technologii.

Na jakich kierunkach politechnicznych dziewczyn jest sporo? Jak rozumiem, nie mówią już, że matematyka nie dla nich?

– Zazwyczaj są to kierunki związane z chemią i medycyną: inżynieria chemiczna, inżynieria środowiska, bioinżynieria. Kobiety zawsze były bardzo aktywne w dziedzinie chemii. Jest coś takiego w działaniach laboratoryjnych, co dziewczyny bardzo przyciąga. Ale wbrew pozorom na matematyce jest ich całkiem sporo. No i wiadomo, na architekturze mamy 70% dziewcząt, tak jak na wszystkich kierunkach wchodzących w obszar sztuki. Natomiast na fizyce i informatyce udział studiujących dziewcząt pozostaje niewielki.

A czy kobiety chcą zakładać start-upy?

– No właśnie nie bardzo, szczególnie w technologiach jest ich bardzo mało. Mamy program „Shesnnovation" robiony wspólnie z Citi Foundation i Fundacją Kronenberga. Właśnie zaczęliśmy jego kolejną edycję, zapraszamy kobiety, które mają swój pomysł na rozwiązanie naukowe lub technologiczne, na jakiś produkt. To rodzaj akademii. Praca trwa kilka miesięcy, z mentorką lub mentorem, którzy stworzyli już swoje start-upy. Mamy też kilku ekspertów z obszarów bardzo istotnych przy zakładaniu firmy, np. prawników. Zazwyczaj za ich pomoc trzeba dużo płacić, a w tym programie jest do nich dostęp za darmo. Pierwsza edycja odbyła się w 2019 r. W maju 2020 r. powstało pierwszych 12 start-upów. Mimo pandemii, gdy ludzie raczej zwijali swoje biznesy. Teraz startuje druga edycja, mamy

eprasa.pl ae1bac6507

35 nowych dziewczyn, 35 mentorów i mentorek. Do maja zamierzamy wyakcelerować co najmniej 10 start-upów.

Jakież to biznesy w pandemii dziewczyny zdecydowały się otworzyć?

– Powstała np. firma, która zajęła się technologią pozwalającą wyeliminować pasożyty z ziarna. Była również hodowla białek probiotycznych jako podstawa jedzenia wegańskiego, była specjalna osłona na płyty indukcyjne, bo czasami, gdy coś upadnie, płyty nieodwracalnie się niszczą. Jedna z dziewcząt odkryła materiały fluorescencyjne, których można używać przy zabezpieczaniu dokumentów, druków ścisłego zarachowania czy pieniędzy. Powstała również firma zajmująca się bazami danych i informacji do publikacji naukowych.

Dlaczego wkręciłaś się tak bardzo w temat kobiet w naukach ścisłych?

– To właściwie dziwna sprawa, bo wywodzę się z nauk społecznych: studiowałam kulturoznawstwo, medioznawstwo, a doktorat robiłam z nauk politycznych. Pod koniec studiów pojechałam do Niemiec, tam zobaczyłam po raz pierwszy w życiu działania dla kobiet w technologiach i całkowitą demokratyzację. Dla mnie to było coś zupełnie nowego, w Polsce przecież nic się nie działo w tej dziedzinie. Przyglądałam się, rozmawiałam z osobami, które tymi działaniami się zajmowały, i to mnie bardzo poruszyło. Pomyślałam, że w Polsce coś takiego by się przydało – Niemcy mieli na uczelniach technicznych dzień przyszłości dla dziewczyn. Brały w nim udział nie tylko uczelnie, ale i zakłady pracy, 6 tys. osób. Dziewczynom mówiono, że obszar technologiczny na nie czeka. Kiedy wróciłam do Polski, zaczęłam się spotykać z rektorami uczelni technicznych.

Pokazałaś im schemat działania i poszło.

– Trudno to sobie wyobrazić, ale przed 15 laty młode osoby niektórych kierunków technicznych nie wybierały. Szły na marketing, prawo, zarządzanie, psychologię. Dlatego uczelniom technicznym nowy kierunek w promocji ich oferty bardzo się spodobał.

Nie łudźmy się, nie poszłoby ci tak łatwo, gdybyś nie miała za sobą Fundacji Edukacyjnej Perspektywy i nazwiska ojca.

– Takie zaplecze nie było bez znaczenia. Bo gdyby osoba z ulicy weszła i zaczęła przekonywać rektorów politechnik do podobnej akcji, nie wiem, czy w ogóle zostałaby wysłuchana.

Ważnym celem „Perspektyw" jest promowanie mądrych kobiet w technologiach.

Teraz ojciec może być dumny z tego, co robisz.

– Wtedy nawet on uważał, że robię coś dziwnego. W pierwszych latach akcja była szokiem. Przyjeżdżały TVN, „Teleexpress", żeby pokazać dziewczyny pracujące na politechnicznych maszynach. Przez kolejne lata bardzo wzrosła świadomość ich potencjału. Świat technologiczny zrozumiał, że potrzebuje kobiet, że potrzebuje różnorodności. Wkrótce weszło to do mainstreamu i przyjemnie rozkwitło.

W tej kadencji na polskich uczelniach pierwszy raz 14 kobiet zostało rektorkami. To przełom.

Otrzymałaś za swoją działalność sporo nagród. Którą cenisz szczególnie?

– Cenię sens ich wszystkich. Pozwalają informować szeroki świat, co robimy, co jest ważne w danym momencie. Dzięki nim mogę mówić o swoich celach, o swojej misji szerszemu gronu.

Znalazłaś się także na okładce znanego miesięcznika kobiecego.

– To było faktycznie super. Bo znaleźć się na okładce to coś symbolicznego. Doceniam, że zdecydowano się promować numer moją nieznaną twarzą. To dla mnie potwierdzenie, że jestem na dobrej drodze, że to, co robię, jest widoczne, interesujące i ważne.

Czego mogę ci życzyć na tej dobrej drodze?

– Wyzwań nie musisz mi życzyć, bo 2020 rok w nie obfitował. Olbrzymi *event* online był wielkim wyzwaniem. Chciałabym, żeby to, co robimy, miało szansę zwiększyć swój zasięg. Chciałabym wpływać na postawy naszymi działaniami. I żeby ludzie w różnych częściach świata, tam gdzie takiego *know-how* jeszcze nie ma, mogli od nas czegoś się uczyć. Dlatego dla mnie tak ważne są nasze działania na Wschodzie: na Ukrainie, Białorusi, Kaukazie, w Azji Centralnej. Chciałabym je kontynuować, bo na razie pandemia wszystko skomplikowała. Zbudowaliśmy tam więzi i nie chciałabym tego zaprzepaścić.

Na Wschodzie też wspieracie kobiety w technologiach?

– Wspieranie karier kobiet w technologiach jest problemem globalnym. Na Wschodzie mamy szczególne możliwości działania, bo przez wiele lat jeździliśmy tam w ramach projektu „Perspektyw" „Study in Poland" i nawiązaliśmy mnóstwo wartościowych relacji z uczelniami. Tam mało kto dociera z takim działaniem. Niektóre ośrodki na Wschodzie są bardziej zaawansowane niż nasze, ale ogólnie jesteśmy tam bardzo potrzebni. Zostałam ekspertką Banku Światowego od spraw gender w projekcie dotyczącym szkolnictwa wyższego i bardzo mnie to wciągnęło. Zaczęliśmy zapraszać na nasz *summit* po 200-300 dziewcząt stamtąd, stworzyliśmy pod to program stypendialny. Chcemy im pomagać w rozwoju inicjatyw wspierających kobiety w świecie technologii.

Czy polskie dziewczyny bardziej wiedzą, czego chcą?

– W Polsce młode pokolenie jest bardziej świadome, co widać na ulicach w trakcie obecnych protestów. W dużych miastach jest naprawdę wysoki poziom wiedzy, ale w małych miejscowościach, małych ośrodkach, dziewczyny cały czas potrzebują impulsu i wsparcia. Do tych środowisk kierujemy nasze działania. Bo w Warszawie raczej nie ma dziewczyny, która myślałaby, że nie ma równych szans lub dlaczego właściwie nie miałaby iść na politechnikę.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ae1bac6507

Szymon Hołownia – udany debiut polityczny.

Kogo z polityków dobrze zapamiętamy po roku 2020?

DR HAB. EWA MARCINIAK,
politolożka, UW

Ja stawiam na Szymona Hołownię – to udany debiut polityczny. Hołownia potrafi nazwać swoje oczekiwania, określić problemy i pokazać, jak je rozwiązać. Korzystając z nowoczesnych narzędzi komunikacji, skupił wokół siebie grupę sympatyków. Nie wiadomo, czy jest wystarczająca do przekroczenia progu wyborczego, ale kontynuuje on ten sposób komunikowania się z sympatykami – rozmawia z ludźmi. Taki rozmawiający z ludźmi polityk to jest coś, co warto w mijającym roku odczytać jako pozytywne zjawisko. To polityk, który rozmawia z wyborcami również wtedy, kiedy nie ma wyborów.

JACEK ŻAKOWSKI,
„Polityka", Radio TOK FM

Angela Merkel pokazała się w tym roku jako spełnienie marzenia o kompetentnym, odpowiedzialnym, poważnym liderze. W Polsce nie ma nikogo, kto mógłby z nią się równać. To jest moje marzenie, żebyśmy mieli, wszystko jedno, czy w wersji męskiej, czy żeńskiej, taką Angelę Merkel. Osobę, która potrafi wytrzymać rok, żeby nie powiedzieć nic dobrego o sobie, która potrafi słuchać mądrzejszych i w działaniach odnosi się do rzeczywistości, a nie do konkurentów politycznych. Osobę, której zależy na tym, by obywatelom dobrze się żyło, a nie na zdobywaniu punktów popularności. To naprawdę jest fenomen.

Gdybym jednak miał wskazać jakiegoś polityka w Polsce, to wskazałbym ludzi z opozycji ulicznej – Martę Lempart, Pawła Kasprzaka. Oni są na swoich miejscach.

DR HAB. RAFAŁ MATYJA,
politolog, UEK

Rok 2020 to rok pozornego *status quo.* W tle wygranych przez Andrzeja Dudę wyborów dokonuje się bowiem wielka zmiana pokoleniowa. Żaden kandydat w wyborach prezydenckich z wynikiem powyżej 1% nie przekroczył pięćdziesiątki. Do gry na ogólnopolskim poziomie weszli Rafał Trzaskowski i Szymon Hołownia. I tego ostatniego wskazałbym jako osobę, która w polityce odniosła największy sukces. Nie tylko z uwagi na dobry wynik indywidualny, ale też ze względu na stworzenie siły, która pozwala liczyć na zwycięstwo opozycji w następnych wyborach. Czasami w polityce budowanie nadziei jest czynnikiem najistotniejszym. Hołowni to się udało.

PAWEŁ KASPRZAK,
Obywatele RP

Poza politykami, którzy byli aktywni podczas protestów ulicznych, mijający rok daje bardzo zły obraz polityki opozycji. Poczynając od wyborów prezydenckich w pandemii, które powinny zostać zbojkotowane. Tu chodziło nie o to, aby wygrać Polskę, ale żeby poustawiać się w rankingach. Było to widać m.in. przy żenujących głosowaniach w sprawie podwyżek. Piątka dla zwierząt także była wyrazem podobnego kunktatorstwa. Kończymy ten rok ze świadomością, że nikt w opozycji parlamentarnej nie chce przejąć władzy. Jedyny polityk, który wystąpił z jakąś wizją przyszłej Polski, to Adam Szłapka, który napisał po raz kolejny o projekcie konstytuanty.

ZUZANNA DĄBROWSKA,
„Rzeczpospolita"

Dobrze zapamiętam Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk. Bez szczególnego zaplecza partyjnego znalazła swoje miejsce na lewicy i robi bardzo konkretne rzeczy. Przekształciła biuro poselskie w biuro interwencji dla pracowników, którzy ponoszą koszty pandemii, udziela im pomocy prawnej. Jednocześnie współdziałając głównie z posłankami i posłami Razem, zgłasza bardzo dużo inicjatyw w Sejmie. Angażuje się również w liberalizację ustawy antyaborcyjnej i związane z tym protesty. To posłanka, która naprawdę wypełnia swój mandat.

PIOTR GADZINOWSKI,
redaktor naczelny „Trybuny"

W Polsce rok 2020 był rokiem nie polityków, tylko epidemii i Strajku Kobiet. Aktywność SK to wezwanie, aby pokolenie polityków, których część zaczynała jeszcze przy Okrągłym Stole, wreszcie odeszło. Jeśli chodzi o polityków globalnych, to zapamiętamy Xi Jinpinga, sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin. Po roku 2020 zapamiętamy też innego Jarosława Kaczyńskiego – jako patrona zamordyzmu, państwa policyjnego i policji bijącej polskie kobiety.

ALINA CZYŻEWSKA,
Sieć Obywatelska Watchdog Polska

Patrząc na posłów i posłanki z perspektywy obywatelki, trzeba wskazać tych, którzy wspierali ludzi wychodzących na ulicę w obronie praw i demokracji. Są to m.in.: Joanna Scheuring-Wielgus, Magdalena Biejat, Marcelina Zawisza, Hanna Gill-Piątek, Barbara Nowacka, Urszula Zielińska, Monika Rosa, Klaudia Jachira, Krzysztof Śmiszek, Włodzimierz Czarzasty. Oni pokazują nowy standard bycia posłem i posłanką – że są to nasi współobywatele i współobywatelki, którzy są razem z innymi obywatelami i obywatelkami, a kiedy trzeba – występują w ich obronie. Niestety, cieniem na wielu położyło się głosowanie za ustawą o podwyżkach dla polityków. Tych nielicznych, którzy zachowali się godnie, znajdziemy we wszystkich sejmowych klubach oprócz PiS. I brawa dla Jachiry i Franciszka Sterczewskiego za publiczną krytykę poselskiej pazerności.

Not. Kornel Wawrzyniak

FOT. WOJCIECH STROŻYK/REPORTER

eprasa.pl ae1bac6507

Pandemiczne szusowanie, zagrożone ratowanie

Mówi się, że ratownicy narciarscy mają gorsze kwalifikacje niż górscy. To nieprawda

Robert Borkowski

Ratownik narciarski musi umieć posługiwać się specjalistycznym sprzętem do ewakuacji, takim jak akia, deska kanadyjska oraz norweskie pulki.

Nie wiadomo jeszcze, jak upłynie w warunkach pandemicznych obecny sezon zimowy. Kolejne decyzje władz zmieniają się pod wpływem zakulisowych przetargów, osobistych zamiłowań polityków oraz nacisków zainteresowanego biznesu. Wprawdzie całkowity lockdown dla wielu ludzi oznacza tylko brak zdrowej rekreacji na świeżym powietrzu i zimowej rozrywki, ale jego skutki ekonomiczne będą poważne. Nad hotelarzami i właścicielami stacji narciarskich zawisła groźba bankructwa, zwłaszcza na Podhalu i Podkarpaciu, natomiast dla całej rzeszy pracowników oznacza to utratę skromnych zarobków. Z kolei w razie funkcjonowania ośrodków ryzyko wypadku i kontuzji powiększone jest o przymus korzystania ze znajdującej się w stanie zapaści służby zdrowia i działających na granicy wydolności szpitalnych oddziałów ratunkowych, gdzie wcale nie tak trudno o zakażenie. Wobec pandemii, pojawiającej się tu i ówdzie społecznej histerii oraz politycznych napięć, grożących w perspektywie paru miesięcy poważnym wybuchem społecznym, chęć uprawiania sportów zimowych jawić się może jako zbędny kaprys warstw średnich.

Mimo efektu cieplarnianego i coraz słabszych zim rosnąca popularność narciarstwa doprowadziła do powstania w Polsce całego kompleksu gospodarki turystycznej, na który składają się stacje narciarskie z wyciągami i kolejkami linowymi oraz urządzeniami do sztucznego naśnieżania i przygotowywania tras narciarskich, hotelarstwo i baza noclegowa. Ponadto gastronomia i rozrywka, transport, handel sprzętem i ubiorami narciarskimi oraz rynek ubezpieczeń narciarskich. Przemysł narciarski tworzy zatem całkiem sporą liczbę miejsc pracy dla sprzedawców, kierowców, pracowników hoteli i gastronomii, kasjerek, obsługi wyciągów i ratraków oraz wypożyczalni sprzętu, serwisantów i instruktorów. Generuje niestety także pracę dla ratowników i ortopedów…

Przemysł narciarski tworzy sporo miejsc pracy, ale niestety także pracę dla ratowników i ortopedów.

Poza ratownictwem górskim, które jest finansowane przez państwo, a realizowane przez Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe oraz Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe (w siedmiu grupach górskich) każdy właściciel stacji narciarskiej ma ustawowy obowiązek zapewnienia dyżurów służby ratowniczej na swoich trasach narciarskich. Prowadzenie stacji jest bowiem działalnością komercyjną, i to całkiem rentowną, służby ratownicze finansowane przez podatnika nie mogą więc wspomagać prywatnego biznesu. Poza tym nie wszystkie ośrodki narciarskie są położone w górach, co oznacza, że znajdują się poza zasięgiem działania służb górskich. W dodatku ratownicy górscy nie są w stanie zapewnić asekuracji wszystkich stacji narciarskich z racji ograniczonej liczebności

NUMERY TELEFONÓW ALARMOWYCH

601 100 300 albo 985 – ratownictwo górskie (TOPR, GOPR)
112 – ratunkowy ogólnoeuropejski
999 – pogotowie ratunkowe

eprasa.pl ae1bac6507

kadr (GOPR ma 1 tys. ratowników, a TOPR tylko 240).

Obie służby górskie, borykające się wciąż z problemami finansowymi, co skutkuje niskimi zarobkami ratowników, uzyskują pewne profity, podpisując komercyjne umowy z właścicielami niektórych stacji.

Wszyscy ratownicy przechodzą jednolite szkolenie z udzielania kwalifikowanej pierwszej pomocy.

Dlatego np. na Kasprowym Wierchu i w Białce Tatrzańskiej spotkamy toprowców, a w Szczyrku, na Pilsku czy w Krynicy goprowców, lecz jest to wyłącznie dodatkowa działalność tych organizacji, która nie może się odbywać kosztem ich służby górskiej (poszukiwania zaginionych, ratowania w górach, akcji lawinowych itd.), finansowanej z kasy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Przedsiębiorcy mają zatem do wyboru: podpisywać umowy z GOPR/TOPR, zatrudniać ratowników narciarskich lub łamać ustawę, licząc na to, że jeśli nic złego się nie stanie, nikt nie zauważy braku ratownika.

Oprócz ratownictwa narciarskiego w ośrodkach, w których są kolejki linowe i wyciągi krzesełkowe, musi być zapewniona asekuracja wysokościowa. Chodzi o przeprowadzanie ewakuacji zmarzniętych narciarzy z krzesełek lub kabin w razie przedłużającej się awarii, jak swego czasu na Szrenicy w Szklarskiej Porębie czy na Złotym Groniu w Istebnej. Ratownictwo wysokościowe to domena TOPR, GOPR oraz Państwowej Straży Pożarnej, tylko te służby dysponują bowiem odpowiednią kadrą i sprzętem. To rzecz jasna kolejne koszty, które jeszcze przed rozpoczęciem sezonu musi ponieść gestor każdego linowego urządzenia przewożącego pasażerów na wysokości.

Powszechne zamiłowanie do białego szaleństwa, uprawianego z kawaleryjską nieraz fantazją, jest fenomenem społecznym naszego nizinnego kraju. Wciąż powstają małe stacje narciarskie, a pod wpływem sukcesów Justyny Kowalczyk przybyło też kilka tras do uprawiania narciarstwa biegowego. Wiadomo jednak, że jeśli przybywa narciarzy, to wzrasta liczba wypadków, kontuzji i urazów. W celu ograniczenia liczby wypadków Międzynarodowa Federacja Narciarstwa (Fédération Internationale de Ski, FIS) już dawno wprowadziła zbiór wytycznych regulujących bezpieczeństwo ruchu na stokach w całej Europie, w postaci Międzynarodowego Dekalogu Narciarza FIS, określanego w skrócie jako Dekalog FIS. W formie kolorowej grafiki znajduje się on zazwyczaj na tablicach przy dolnej stacji każdego wyciągu, jednak mało kto zadaje sobie trud zgłębiania i zrozumienia jego treści, podobnie jak innych dekalogów. Fisowski zbiór reguł ruchu narciarskiego nie ma niestety w Polsce charakteru prawa zwyczajowego ani nie jest częścią prawa stanowionego, to tylko zbiór zaleceń, podobnie jak „wskazówki dla narciarzy" opracowane przez GOPR i również złożone z dziesięciu reguł.

Znakiem ratowników ski patroli jest biały krzyż szwajcarski na czerwonym tle.

Obecnie kwestie bezpieczeństwa narciarzy reguluje w Polsce Ustawa z 18 sierpnia 2011 r. o bezpieczeństwie i ratownictwie w górach i na zorganizowanych terenach narciarskich. Jej przepisy dotyczą i terenów górskich, i nizinnych. Odnoszą się zarówno do stoków narciarskich, pólek ćwiczebnych, nartostrad, jak i do narciarskich tras biegowych w całej Polsce. Na mocy ustawy powstała nowa profesja związana z bezpieczeństwem narciarzy, czyli zawód ratownika narciarskiego, co można porównać do popularnych w wielu krajach formacji znanych jako ski patrol. Szczególnie prężnie organizacje takie działają w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Argentynie, Australii czy Nowej Zelandii. Tradycyjnie ratownicy ski patroli przyjmują za swój znak biały krzyż szwajcarski na czerwonym tle. Utworzenie w Polsce, a właściwie wyodrębnienie tego rodzaju ratownictwa było wręcz zdroworozsądkową koniecznością wobec ciągłego rozwoju ośrodków narciarskich i wzrostu liczby narciarzy. Wiadomo przecież, że karetka nie wjedzie na śnieg na Górkę Szczęśliwicką w Warszawie, a nikt i nic nie zmusi lekarza pogotowia i ratowników do wdrapywania się na ośnieżone stoki. Poza tym w jaki sposób pieszy personel medyczny miałby przetransportować połamańca w dół po śniegu, ryzykując bezpieczeństwo swoje i poszkodowanego?

Szkolenie ratownika narciarskiego może prowadzić zgodnie z ustawą tylko duopol TOPR/GOPR. Na wymagane kwalifikacje składają się umiejętności pewnej i skutecznej jazdy na nartach oraz posługiwania się specjalistycznym sprzętem do ewakuacji, takim jak akia (metalowa łódka do transportu po śniegu używana przez dwóch ratowników), deska kanadyjska (używana przez jednego ratownika) i tzw. norweskie pulki (najnowocześniejszy rodzaj akii z tworzywa sztucznego). Ratownik musi się wykazać umiejętnościami udzielenia

FOT. MAŁGORZATA BORKOWSKA

eprasa.pl ae1bac6507

pierwszej pomocy, ewakuacji poszkodowanego, wezwania na czas karetki i przekazania poszkodowanego zespołowi Państwowego Ratownictwa Medycznego oraz sporządzenia karty wypadku. W odróżnieniu od kwalifikacji ratowników górskich nie ma wymogów co do wspinaczki, ratownictwa wysokościowego ani terenoznawstwa, na stoku narciarskim czy trasie biegowej nie są one potrzebne. Kursów szkoleniowych organizuje się w całym kraju niewiele i są one dość kosztowne, co powoduje, że liczba ratowników narciarskich nie jest adekwatna do potrzeb. W niektórych środowiskach ratownictwa górskiego podnoszą się od czasu do czasu głosy, że ratownicy narciarscy mają gorsze kwalifikacje niż górscy. Nie jest to prawdą, bo zarówno górskich, jak i narciarskich ratowników szkolą ci sami instruktorzy TOPR/GOPR wedle jednego standardu i programu szkoleniowego, dobrych narciarzy jest zresztą znacznie więcej niż ratowników górskich, poza tym wszyscy ratownicy przechodzą jednolite szkolenie z udzielania kwalifikowanej pierwszej pomocy (KPP) z obowiązkiem jego odnawiania co trzy lata.

Za tego rodzaju enuncjacjami kryje się jednak nie rywalizacja o prestiż, ale walka o dochody z asekuracji stacji narciarskich. Jest tajemnicą poliszynela, że ta grupa goprowska, która ma profity z „obstawiania" stoków, w ogóle nie organizuje kursów dla ratowników narciarskich, traktując ustawowe rozwiązanie z 2011 r. jako konkurencję i zagrożenie dla swoich wąsko pojmowanych (bo ograniczonych do jednej grupy górskiej) interesów. Pozytywny przykład stanowi Krynicka Grupa GOPR, w której wyszkolono najwięcej jak dotąd ratowników narciarskich. Sposobem na utrącanie konkurencji stało się zaś podnoszenie ceny kursów. Oto za przyjemność trzydniowego poćwiczenia jazdy z akią kandydat musi obecnie zapłacić organizatorowi kwotę porównywalną z kosztem dwutygodniowego kursu instruktora narciarskiego. A liczyć może na zarobki kilkukrotnie niższe niż instruktorskie, na poziomie najniższej stawki godzinowej, czasami jeszcze mniejsze. Dla organizatora dochód z jednego kursu jest więc porównywalny z dochodem osiąganym z asekuracji jednej stacji narciarskiej.

Ustawa nałożyła na właścicieli zorganizowanych terenów narciarskich obowiązki oznakowania tras (znaki niebieskie, czerwone lub czarne stosownie do trudności trasy), właściwego przygotowania śnieżnego podłoża (armatki śnieżne, ratraki), zabezpieczenia terenu (siatki, materace osłaniające słupy wyciągu i inne miejsca niebezpieczne) i zapewnienia ratownictwa narciarskiego. Z tym ostatnim bywa różnie, zdarza się, że właściciel stoku i hotelu z basenem, tnąc koszty, uznaje, że jeden ratownik wodny na etacie wystarczy, bo zapamiętał z lekcji fizyki, że śnieg to forma wody. Inny biznesmen wpada na pomysł podpisania umowy z firmą transportu medycznego. To nic, że karetka jedzie do stacji narciarskiej 45 minut, a w tym czasie pechowiec ze złamaną nogą będzie leżał na śniegu bez pomocy. Ważne, że kolega będący właścicielem karetek zorganizuje w ośrodku szkolenie dla swojego personelu. Z kolei właściciele tras biegowych na ogół udają, że ich ustawa nie dotyczy, bo czy ktoś słyszał, żeby biegacz złamał nogę? Policja zajmuje się czym innym niż sprawdzanie, czy kapitaliści przestrzegają przepisów ustawy, poza tym ustawodawca nie przewidział stosownych sankcji.

Z egzekwowaniem wymogu zapewnienia ratownictwa jest podobnie jak z egzekwowaniem zakazu jazdy na nartach i snowboardzie po spożyciu alkoholu. Nie ma jednak sezonu bez wypadków, w których stukilowi zjazdowcy pędzący w stanie upojenia nie staranowaliby kogoś, uciekając potem z miejsca kolizji. Kwestie nieudzielenia fachowej pomocy i łamania Dekalogu FIS poruszane są co najwyżej na sali sądowej w walce o odszkodowania za utratę zdrowia w wypadku narciarskim. Zrozumiałe więc, dlaczego w renomowanych i zatłoczonych ośrodkach, gdzie o wypadek nietrudno, ratownictwo narciarskie jest zapewnione, i to na właściwym poziomie, a w małych i peryferyjnych stacjach niekoniecznie. W porównaniu z zapewnianiem bezpieczeństwa na pływalniach, w aquaparkach i kąpieliskach, część biznesu narciarskiego pozostawia jeszcze sporo do życzenia.

Chociaż w całym kraju jest już kilkaset osób legitymujących się ukończonym kursem, ratownicy narciarscy nie mieli dotychczas własnej organizacji. Nawiązując do tradycji sprzed kilkudziesięciu lat, inicjatywę ich skupienia podjęto w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym, w którego statucie w art. 7 wymienione są bezpieczeństwo turystyki i ratownictwo. W styczniu 2020 r. utworzona została Podkomisja Ratownictwa Narciarskiego w strukturze Komisji Turystyki Narciarskiej Zarządu Głównego PTTK w celu integracji środowiska ratowników narciarskich, opracowywania nowych koncepcji i rozwiązań technicznych w ratownictwie, propagowania bezpieczeństwa narciarstwa i edukacji społecznej z zakresu udzielania pierwszej pomocy w wypadkach narciarskich oraz prowadzenia badań i prac eksperckich. Podkomisja posługuje się logo Ratownik Narciarski PTTK Ski Patrol, a jej siedziba znajduje się w Centralnym Ośrodku Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie. Podkomisję wspierają eksperci z dziedziny ratownictwa, sportu i medycyny ratunkowej. Jednocześnie przystąpiono do tworzenia struktur terenowych, organizując m.in. Beskidzkie Koło Ratowników Narciarskich PTTK. Wybuch epidemii zastopował wiele inicjatyw, kiedyś jednak sytuacja wróci do normy, a ratownicy narciarscy do swoich dyżurów.

Jest tajemnicą poliszynela, że ta grupa goprowska, która ma profity z „obstawiania" stoków, nie organizuje kursów dla ratowników narciarskich.

Sposobem na utrącanie konkurencji stało się podnoszenie ceny kursów ratownictwa.

Robert Borkowski jest profesorem Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, instruktorem i ratownikiem narciarskim, trzykrotnym brązowym medalistą Mistrzostw Świata Dziennikarzy SCIJ w narciarstwie

eprasa.pl ae1bac6507

Z ulicy na Loomio

Ogólnopolski Strajk Kobiet przeniósł dyskusję na platformę internetową

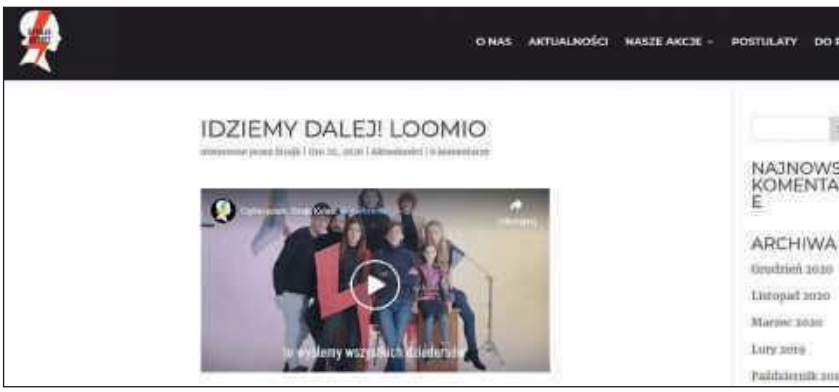

Kornel Wawrzyniak

Ogólnopolski Strajk Kobiet próbuje przenieść demokrację uliczną do internetu. Zebrane podczas protestów postulaty trafiają do sieci, gdzie są poddawane pod głosowanie. To utopia czy realna szansa dla obywateli na wprowadzenie w życie upragnionych przez nich zmian?

OSK ogłosił 22 grudnia wejście w drugi etap rewolucji. Aktywistki od 22 października, czyli od ogłoszenia wyroku Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, zebrały postulaty pojawiające się najczęściej na transparentach uczestniczek i uczestników protestów. Teraz merytoryczną dyskusję nad naprawą państwa chcą toczyć na internetowej platformie Loomio. Klementyna Suchanow, jedna z liderek OSK, zaprasza tym samym do pracy pozytywistycznej wszystkich, którzy chcą naprawiać państwo.

Loomio to platforma konsultacyjna, z której korzysta się za pomocą przeglądarki internetowej. Przypomina forum internetowe, jednak wyróżnia się tym, że od razu proponowane są na niej rozwiązania. Internauci mogą dyskutować o interesujących ich problemach, głosować na różne rozwiązania i proponować własne. Loomio zostało stworzone w Nowej Zelandii. Na początku platforma miała służyć do prowadzenia dyskusji na temat lokalnych spraw, ale szybko stała się narzędziem do budowania społeczeństwa obywatelskiego. Dyskusja odbywa się w grupach tematycznych. Użytkownicy włączają się do rozmów na interesujący ich temat i dyskutują, ustalając ostateczne rozwiązanie. Co ważne, katalog rozwiązań nie jest zamknięty i każdy może zaproponować swoje.

Na platformie Loomio pod adresem loomio.org/osk internautki i internauci mogą oceniać – i podsuwać własne – rozwiązania dotyczące obszarów tematycznych ustalonych w toku prac Rady Konsultacyjnej przy Strajku Kobiet. Rada składa się z ekspertów oraz aktywistów i liczy 800 osób, które pracują w 14 obszarach tematycznych. Na razie na Loomio można znaleźć wstępne wyniki prac pięciu zespołów Rady, które zajmują się prawami kobiet, pracą, edukacją, świeckim państwem i klimatem. Według aktywistek Strajku Kobiet w każdym ze zgłoszonych tematów zawarte są problemy, które podnoszono podczas ulicznych protestów.

Na Loomio toczy się dyskusja w pięciu obszarach: praw kobiet, pracy, edukacji, świeckiego państwa i klimatu.

OSK zapowiedział, że kolejne wątki będą otwierane wraz z postępem prac innych zespołów Rady. Aktywistki tłumaczą to tym, że chcą przedstawiać od razu zalążki odpowiednich rozwiązań, co ma przyśpieszyć przechodzenie od słów do czynów.

Nad obecnymi tematami będzie można dyskutować do 15 stycznia. Strajk Kobiet chwali się tym, że rezultaty będzie można szybko wprowadzić w życie, ponieważ zależy to nie od działań rządu, tylko od samorządów, szkół czy wreszcie obywateli. Kolejnym etapem, który ruszy w połowie stycznia, mają być rozwiązania długoterminowe. Będą one dotyczyły m.in. inicjatyw legislacyjnych, które miałyby wejść w życie, „gdy PiS stanie się już przeszłością".

Aby uczestniczyć w pracach OSK na Loomio, należy utworzyć sobie bezpłatne konto. Po zarejestrowaniu się dostaniemy jednak informację, że za miesiąc wygaśnie okres próbny, po którym trzeba płacić 30 dol. miesięcznie za korzystanie z platormy. Na głównej stronie loomio.org/osk podane są adresy poczty elektronicznej poszczególnych zespołów Rady Konsultacyjnej, gdzie można zgłaszać swoje pomysły. Niżej wydzielone są obszary dyskusji. W każdym są osobne tematy, a pod nimi proponowane rozwiązania. Pod niektórymi przegłosowanymi rozwiązaniami jest zaledwie 40 czy 50 głosów. Strajk Kobiet twierdzi, że wyniki na platformie będą podkładką dla obywatelek i obywateli, aby pokazać politykom, jakich rozwiązań potrzeba. – Będziemy mówić politykom: sprawdzam. Nie będą mogli powiedzieć, że nie robią czegoś, bo nie wiedzieli, że ludzie tego chcą. Teraz będzie dokładnie wiadomo, czego chcą obywatele, bo będziemy to razem wypracowywać w sieci – podkreślała Marta Lempart po starcie platformy.

W teorii wygląda to bardzo dobrze, jednak 50 głosów pod poszczególnymi rozwiązaniami może się okazać niewystarczającym argumentem w dyskusji. Innym problemem jest wykluczenie cyfrowe. Według danych Eurostatu z 2017 r. 40% osób w wieku 65-74 lata nigdy nie korzystało z komputera, a więc nie może się włączyć w dyskusję na Loomio. A warto, żeby starsi również uczestniczyli w podejmowanych przez OSK dyskusjach i mogli dzięki temu zetknąć się z problemami młodych. Ostatecznie to oni znowu będą mieli decydujący głos przy urnach.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ae1bac6507

Czarna ospa we Wrocławiu

Jak w 1963 r. zaszczepiono na ospę 8 mln Polaków

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

W 1963 r. śmiertelne wirusy krążyły po Wrocławiu ponad sześć tygodni, zanim zorientowano się, że to ospa prawdziwa. Ale już walka z epidemią zajęła wrocławianom tylko dwa miesiące. Głównie dzięki izolacji chorych i masowym szczepieniom.

Czarną ospę przywiózł do Wrocławia, z krótkiej podróży służbowej do Indii, oficer wywiadu Bonifacy Jedynak. Przyleciał 25 maja 1963 r., a już cztery dni później zaczął się skarżyć na dreszcze, wysoką gorączkę i wykwity skórne podobne do trądziku. Wrocławski lekarz stwierdził malarię, ale dla pewności skierował Jedynaka do gdańskiego Zakładu Medycyny Tropikalnej. Niestety, tamtejsi specjaliści ograniczyli się do potwierdzenia rozpoznania i nie dostrzegli, że pacjent oprócz malarii choruje na znacznie groźniejszą ospę. Ta błędna diagnoza uruchomiła łańcuch zakażeń, który zapisał się w historii jako epidemia czarnej ospy we Wrocławiu – największa po 1945 r. i ostatnia w Polsce, a także jedna z większych w powojennej Europie.

Łańcuch śmierci

Leczony na malarię Jedynak szybko uporał się również z czarną ospą i już 5 czerwca opuścił szpital MSW. Niestety, zdążył zarazić ospą Janinę Powińską, salową, która sprzątała jego szpitalną izolatkę. A kobieta przekazała chorobę nastoletniemu synowi i córce – 27-letniej Leokadii Kowalow. Zanim Kowalow poczuła się gorzej, nie tylko chodziła do pracy, ale także pomogła szwagierce w przygotowaniach do wesela na ok. 100 osób i wzięła udział w kursie pielęgniarskim. Zaraziła ok. 30 osób. To ona była pierwszą ofiarą śmiertelną wrocławskiej epidemii. Zmarła 8 lipca. Lekarze do końca nie potrafili jej dobrze zdiagnozować. Podejrzewali m.in. szkarlatynę, zapalenie płuc, silne uczulenie. W akcie zgonu wpisali: białaczka. Mamę Leokadii Kowalow leczono w szpitalu zakaźnym na wietrzną ospę. Stefana Zawadę, lekarza, który diagnozował Powińską, też leczono na „wiatrówkę". Mimo że objawy choroby wskazywały, że to coś innego. „Na tle białej pościeli jeszcze bardziej niż wcześniej uwidaczniały się czarne krosty, którymi obsypany był Zawada. Sprawiało to wrażenie, jakby ktoś spryskał jego twarz i ręce smołą przez rozpylacz i obrysował każdą plamkę czerwoną szminką", wspominał Jerzy Rodziewicz, lekarz z wrocławskiej stacji sanitarno-epidemiologicznej.

Dobrze powiązał fakty dopiero dr Bogumił Arendzikowski, lekarz sanepidu, gdy do szpitala im. Rydygiera trafił czteroletni chłopiec z podejrzeniem ospy wietrznej, chociaż już na tę chorobę chorował wcześniej. Arendzikowski – wiedząc, że na ospę wietrzną choruje się tylko raz w życiu – wreszcie postawił dobrą diagnozę: to ospa prawdziwa, zwana też czarną ospą, po łacińsku *variola vera* od *varius* – pstry, nakrapiany. Pacjenci i niektórzy pracownicy szpitala na wieść o diagnozie i koniecznej kwarantannie wpadli w panikę. Część odnalazła stare przejście w piwnicy i ukradkiem uciekła. Jeden – lekarz – umknął aż do Bułgarii. Zbiegów wyłapywali milicjanci.

Stan alarmowy we Wrocławiu ogłoszono natychmiast, tj. 15 lipca 1963 r., czyli 47 dni od pierwszego zachorowania na ospę. Gdy śmiercionośne wirusy zostały już rozwleczone po całym Wrocławiu i województwie. Pojedyncze przypadki zdiagnozowano wkrótce także w Opolu, Gdańsku i Wieruszowie w województwie łódzkim.

Bez wsparcia

Szybko się okazało, że administracja służby zdrowia w Polsce była zupełnie nieprzygotowana do zwalczania epidemii. Bolesław Iwaszkiewicz, przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. Wrocławia, na posiedzeniu egzekutywy KW PZPR 6 sierpnia 1963 r. powiedział: „Mimo bytności ministra Kostrzewskiego (Jan Karol Kostrzewski, wiceminister zdrowia i opieki społecznej – przyp. aut.) we Wrocławiu (…) brak było jakichkolwiek przepisów czy instrukcji w tej sprawie. Już po fakcie zachorowań ministerstwo zobowiązało naszych lekarzy do opracowania tych instrukcji". Czas pokazał, że pozbawiony wsparcia Wrocław potrafił własnymi siłami stawić czoła epidemii. Nad całością działań czuwał Iwaszkiewicz. Kierownictwo akcji powierzono Andrzejowi Ochlewskiemu, kierownikowi

Ospa prawdziwa, zwana też naturalną lub czarną – wirusowa choroba zakaźna o ostrym przebiegu, najczęściej przenoszona drogą powietrzną, kropelkową. Można się zarazić również przez kontakt ze skórą chorego, jego bielizną, pościelą, narzędziami lekarskimi używanymi w leczeniu zakażonych itp. Okres inkubacji wirusa to 7-17 dni. Objawy: gorączka, dreszcze, bóle głowy i pleców, wysypka plamkowo-grudkowa przechodząca w pęcherzykowatą. Po ok. 10 dniach pęcherzyki zamieniają się w strupy, które samoistnie odpadają, pozostawiając blizny. Śmiertelność osób niezaszczepionych – średnio ok. 30%, zaszczepionych – ok. 3%. Ospa od wieków dziesiątkowała ludzi. Skuteczne lekarstwo, szczepionkę przeciwospową stosowaną profilaktycznie, wynalazł dopiero w 1796 r. brytyjski lekarz Edward Jenner. Spopularyzowana została w XIX w. W Polsce obowiązkowe szczepienia przeciw ospie wprowadzono w 1919 r. Od 1951 r. szczepiono dzieci w wieku od dwóch do sześciu miesięcy i powtórnie po skończeniu siedmiu lat. A dorosłych do 60. roku życia – po pięciu latach od szczepienia pierwotnego. Szczepionka dawała ochronę na mniej więcej trzy lata. W 1980 r. WHO uznała ospę za chorobę całkowicie zwalczoną.

eprasa.pl ae1bac6507

Wydziału Zdrowia i Pomocy Społecznej MRN.

Błyskawicznie objęto kwarantanną placówki, gdzie pojawił się wirus, szpitale im. Rydygiera, MSW, zakaźny, a także szkołę pielęgniarstwa. Wstrzymano urlopy pracowników sanepidu oraz służby zdrowia i zarządzono natychmiastowe zaszczepienie ich przeciw ospie. Dosłownie z dnia na dzień rozpoczęto akcję powszechnego (początkowo dobrowolnego) szczepienia w przychodniach, a od 18 lipca – także w zakładowych ambulatoriach w całym województwie wrocławskim. Szczepiono od godz. 9 do 20. Zachęcano zwłaszcza osoby, które nigdy nie szczepiły się przeciwko ospie, oraz te, które zrobiły to dawniej niż w lipcu 1960 r. W ciągu dwóch pierwszych dni zaszczepiło się aż ok. 100 tys. mieszkańców Wrocławia.

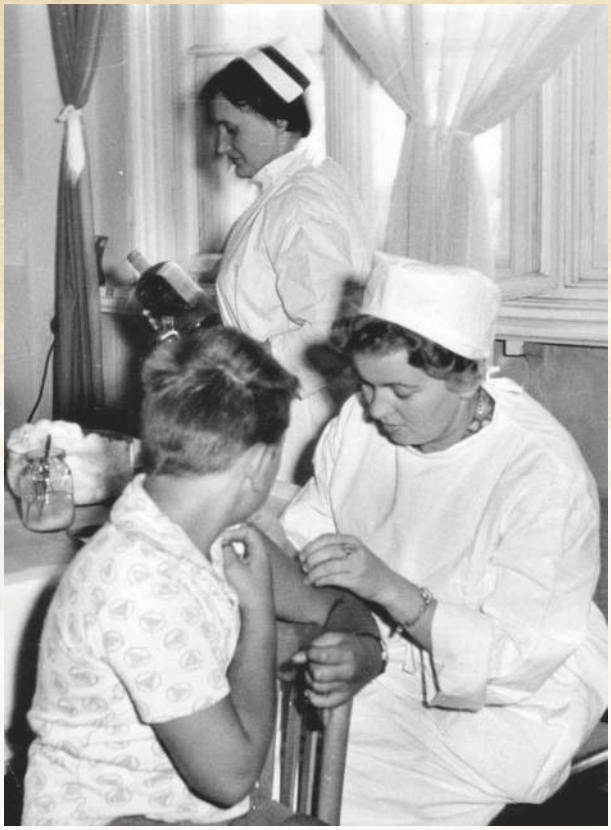

Obowiązkowe szczepienia przeciwko czarnej ospie.

Zorganizowano też obowiązkowe szkolenia dla lekarzy specjalistów poświęcone diagnostyce i leczeniu ospy. Wyszkolono 50 medyków, którzy odtąd konsultowali i prowadzili każdego pacjenta chorego na ospę.

Dezinformacja

Walkę z epidemią prowadzono od początku z ogromnym poświęceniem, nazwano ją akcją VV (od *variola vera*) lub akcją O (od ospy). Jednocześnie starano się jak najmniej informować społeczeństwo. W tajemnicy trzymano nawet fakt, że we Wrocławiu trwa stan alarmowy. A pierwsza – w dodatku czterokrotnie zaniżająca liczbę chorych – informacja prasowa o epidemii ukazała się dopiero 17 lipca na ostatniej stronie lokalnego „Słowa Polskiego". W zdawkowym komunikacie Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Rady Narodowej m. Wrocławia poinformowano, że „w ciągu ostatnich kilkunastu dni zarejestrowano i objęto leczeniem szpitalnym we Wrocławiu pięć przypadków, w których dotychczasowy przebieg nie wyklucza ospy prawdziwej".

Odwołano wszystkie imprezy sportowe. Zamknięto baseny i kąpieliska miejskie. „Motywowano to jednak nie faktem rozwoju zarazy, lecz zakazem moczenia miejsca szczepienia", pisze Grażyna Trzaskowska w książce „Epidemia czarnej ospy we Wrocławiu w 1963 r.".

Jednym z powodów informacyjnej wstrzemięźliwości był zbliżający się 22 lipca – najważniejsze święto państwowe, którego nie chciano odwołać nawet w czasie czarnej zarazy. Niedoinformowani ludzie wyszli więc świętować. „Takich jak tu (...) begonii, róż, goździków nie widziało się chyba nigdy (...). Odbywa się korso kwiatowe, korowód z orkiestrą, przebierańcami, końmi, kucykami, ustrojonymi w kwiaty. Wieczorem wielki festyn piosenki i kompozycje muzyczne tylko o kwiatach. Recytacje »Kwiatów polskich« Tuwima (...). 22 lipca zabawy trwają do późna w nocy. W tym samym czasie pod szpital ospowy w Szczodrem otoczony oddziałami KBW podjeżdża czarna »Nysa«. Warta wpuszcza ją aż do bramy, (...) ukazują się cztery kobiety, w maskach, okularach, czepkach, rękawicach, fartuchach i gumowych butach. Niosą trumnę. (...) Po północy dojeżdżają na cmentarz. W pogrzebie uczestniczy tylko ekipa oczyszczania miasta. Dla nich zmarła jest anonimowa. W piaszczystym kącie cmentarza, w nocy, bez świadków odbywa się pogrzeb salowej. (...) Nie ma rodziny – zresztą mąż i dziecko są też już chore. Nie ma kwiatów, przemówień. To drugi już grób w kwaterze zarazy", pisał Krzysztof Kąkolewski w artykule „Czarna Pani" w tygodniku „Świat".

Szybko stworzono trzystopniowy system oddzielania zdrowych od chorych i potencjalnie zarażonych. Chorych na ospę przywożono do ściśle izolowanych tzw. szpitali ospowych w Szczodrem i Prząśniku. Prawo wstępu do nich mieli tylko lekarze posiadający specjalne zezwolenie. W środku panował niemal wojskowy regulamin. Dezynfekcja: częste płukania gardeł i odkażanie skóry nadmanganianem potasu, klamki drzwi owinięte gazą stale zwilżano roztworem chloraminy, wszędzie stały miski z wodą i chloraminą, a maty słomiane nasączone płynem dezynfekcyjnym rozesłano przed wejściami do budynków. Ozdrowieńcy mogli zostać wypisani po 40 dniach pobytu, jeśli nie mieli żadnych objawów klinicznych ospy.

Wszystkich mających kontakt z chorymi (kontakty I rzędu) zaczęto zwozić do izolatorium w budynku Technikum Mechanizacji Rolnictwa w Praczach Odrzańskich. Kwarantanna trwała 21 dni. Na potrzeby transportu zarażonych powszechnie rekwirowano samochody należące do wrocławskich zakładów pracy.

25 lipca uchwycono we Wrocławiu 330 kontaktów I rzędu, 12 sierpnia – aż 1251. Izolatorium w Praczach Odrzańskich szybko zaczęło pękać w szwach, dlatego we Wrocławiu stworzono pięć kolejnych placówek tego typu. Niechęć do poddawania się odosobnieniu w wyznaczonych izolatoriach przybierała różne formy: „Zdarzały się przypadki pobicia

W ciągu dwóch pierwszych dni zaszczepiło się ok. 100 tys. mieszkańców Wrocławia.

eprasa.pl ae1bac6507

Izolatorium na Psim Polu dla potencjalnie zakażonych.

lekarzy, niektórzy skazani na izolację znikali gdzieś, chowali się na działkach, strychach, w piwnicach, barykadowali się w domach. (…) Kroniki szpitalne odnotowały również kilka prób wykradzenia dzieci przez rodziców, nieudaną akcję odbicia kumpla przez gromadę wyrostków, a nawet wzorowaną na gangsterskich filmach ucieczkę trzech chorych samochodem dostawczym po sterroryzowaniu kierowców strzykawkami z dużą igłą", wspominał dr Michał Sobków w książce „Ospa we Wrocławiu".

Natomiast tych, którzy mieli styczność z pacjentami zwożonymi do izolatoriów (kontakt II rzędu), poddawano nadzorowi sanitarnemu przez pięć dni w domach. Sprawdzano im temperaturę, bacznie przyglądano się skórze i błonom śluzowym.

Przymus szczepienia

„Szczepienia wykonywano metodą uciskową przy zastosowaniu krowianki w ten sposób, że w miejscu odtłuszczonym benzyną wykonywano 30-40 ucisków igłą lub skaryfikatorem", opisuje Grażyna Trzaskowska. Szczepiono nawet niemowlęta po ukończeniu pierwszego miesiąca życia i kobiety w ciąży, co wywoływało protesty lekarzy. Przeciwskazaniem były wyłącznie: choroba, której towarzyszyła wysoka temperatura, choroby zakaźne o ostrym przebiegu, czynna gruźlica, reumatyzm, białaczka, niedokrwistość złośliwa i cukrzyca, choroby nerek i wątroby, schorzenia wypryskowe oraz alergie.

Ponieważ nie wszyscy chcieli się zaszczepić, już 1 sierpnia wprowadzono we Wrocławiu obowiązek szczepienia. Kierownictwa zakładów pracy oraz administracje domów mieszkalnych musiały sporządzać imienne listy osób, kóre od szczepienia się uchylały. A niezaszczepionym nie wolno było korzystać z transportu zbiorowego ani indywidualnego. Posterunki MO rozstawione przy drogach wylotowych z Wrocławia kierowały niezaszczepionych podróżnych od razu do polowych punktów szczepień. Uchylającym się od obowiązku groziła kara do trzech miesięcy aresztu lub grzywna – do 4,5 tys. zł, a w przypadku zachorowania i zakażenia kolejnej osoby – 15 lat więzienia!

Uchylającym się od szczepień w przypadku zakażenia kolejnej osoby groziło 15 lat więzienia!

W szczycie epidemii punkty szczepień codziennie obsługiwały ok. 8 tys. osób. Do 19 sierpnia 1963 r. zaszczepiono 424,5 tys. wrocławian, a w województwie – 2053 osoby. Do Wrocławia zwożono szczepionki z całej Polski. Niestety, były różnej jakości. Bywało, że u 100 zaszczepionych jedną partią nie przyjęła się żadna. Gdy pod koniec lipca szczepionek zabrakło, Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej ściągnęło ok. 1 mln z ZSRR. W efekcie zaszczepiono 98% mieszkańców Wrocławia.

6 sierpnia wprowadzono obowiązkowe szczepienia przeciw ospie w całej Polsce, ale przymus dotyczył tylko obozów, grup wędrownych, pielgrzymek. W sumie zaszczepiono 7,9 mln Polaków, najwięcej w województwie wrocławskim – 2,6 mln, w opolskim – 978 tys., w katowickim – 724,2 tys., w Łodzi i województwie łódzkim – 499,7 tys., a w Warszawie – 465,7 tys.

Koniec zarazy

Masowe szczepienia i izolacja szybko poskromiły wirusa. Ostatni przypadek ospy (poza miejscami izolacji) stwierdzono 10 sierpnia. W połowie sierpnia fala zachorowań w widoczny sposób zaczęła słabnąć. 19 września minister zdrowia i opieki społecznej ogłosił Wrocław miastem wolnym od ospy.

Niestety, szczepienia nie były obojętne dla zdrowia. Dawały powikłania – skórne i neurologiczne. Czasem kończyły się kalectwem (zwłaszcza u noworodków), a nawet śmiercią. We Wrocławiu powikłania stwierdzono u 467 osób. Według lekarza Zbigniewa Hory na terenie Polski współczynnik ten wyniósł 1,51 na 100 tys. zaszczepionych. „Podczas epidemii czarnej ospy w 1963 r. w wyniku powikłań poszczepiennych zmarło na terenie kraju trzykrotnie więcej osób niż z powodu ospy", wyliczyła na podstawie archiwalnych danych sanepidu Grażyna Trzaskowska.

Zwycięstwo zatem czy porażka? WHO przewidywała, że epidemia zapoczątkowana we Wrocławiu potrwa dwa lata, zachoruje ok. 2 tys., a umrze ok. 200 osób. A trwała tylko cztery miesiące, zachorowało ok. 100 osób, zmarło siedem. Nie ma wątpliwości, wrocławianie w walce z ospą odnieśli spektakularne zwycięstwo.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz
m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

Od autorki: Pisząc artykuł, korzystałam m.in. z opracowania „Epidemia czarnej ospy we Wrocławiu w 1963 r." Grażyny Trzaskowskiej, opartego na dokumentacji archiwalnej wrocławskiego sanepidu.

FOT. MIECZYSŁAW DOŁĘGA/GAZETA WROCŁAWSKA/SŁOWO POLSKIE/EAST NEWS (2)

eprasa.pl ae1bac6507

Z Galicji

Jan Widacki

Covid wymiaru sprawiedliwości

Cała opozycja i mniej więcej połowa Polaków ma pełną świadomość, że tzw. reforma sądowa realizowana przez PiS w żaden sposób nie poprawia wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Przeciwnie, brutalnie próbuje go podporządkować władzy wykonawczej, godząc w to, co należy do fundamentów państwa prawa, a więc niezależność sądów i niezawisłość sędziowską. Krótko mówiąc, PiS chce mieć nie dobry, sprawny wymiar sprawiedliwości, tylko sobie podporządkowany. I w dużej mierze swój cel osiągnęło. Buntuje się garstka sędziów, reszta niby im kibicuje, ale na wszelki wypadek postępuje tak, aby nie drażnić prawicowych mediów i swojego nadzorcy, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego zarazem. Odgadując jego życzenia, wydaje surowsze niż dotąd wyroki, akceptuje wszystkie wnioski prokuratorów o areszt, boi się areszt uchylić, oskarżonego uniewinnić. To wszystko skrupulatnie odnotowują statystyki kryminalne. Tak jak „spisane będą czyny i rozmowy", spisane też będą wymierzane kary, orzekane areszty… Za parę lat po tych liczbach będzie można poznać, na ile sędziowie wykazali się konformizmem i lizusostwem wobec władzy, a na ile byli niezłomni.

Wiem, że to, co piszę, będzie niepopularne, lecz analizując dane statystycznych, tej „niezłomności" dopatrzeć się trudno. Nasz wymiar sprawiedliwości wymaga naprawy, nie tylko po pseudoreformach PiS. Gruntownej naprawy wymagał, jeszcze zanim PiS doszło do władzy! Ta reforma była konieczna już wcześniej. Nie potrafił jej zrobić żaden rząd przez cały okres III RP. Teraz będzie jeszcze trudniej. Można będzie jedną ustawą uczynić z pseudo-Trybunału Konstytucyjnego organ zasługujący na tę nazwę. Można będzie odesłać tam, skąd przyszli, nowych sędziów Sądu Najwyższego, rozpędzić Krajową Radę Sądownictwa. Ale naprostować przetrącone w czasach rządów PiS kręgosłupy sędziów i prokuratorów nie będzie łatwo. O ile to w ogóle będzie możliwe. I z tym trzeba się liczyć, planując prawdziwą reformę sądów.

Jeszcze poważniejszą przeszkodą dla głębokich reform będzie naturalna obawa przed byciem porównywanym do PiS. A środowisko sędziowskie oczywiście będzie reformie przeciwne. Historia nie zna chyba środowiska, które chciałoby być reformowane. Chyba w jakichś nadzwyczajnych momentach historii, które zdarzają się rzadko.

Czy opozycja o tym myśli? Czy ma jakiś plan prawdziwej reformy wymiaru sprawiedliwości? Nie słyszałem. Poza krytyką PiS (skądinąd jak najbardziej słuszną) żadnego pomysłu nie ujawnia. Nie ujawnia, bo najwidoczniej go nie ma.

Zanim PiS doszło do władzy, nasz wymiar sprawiedliwości trawiły dwie podstawowe choroby: niewydolność i niski poziom wymierzanej sprawiedliwości. Akurat tych dwóch chorób PiS nie próbowało nawet leczyć, dodało choroby nowe, swoisty covid wymiaru sprawiedliwości. Ten covid wraz ze zmianą władzy ustąpi, zostaną choroby towarzyszące, których nikt nie leczył, a na czas pisowskiego covidu zostały nawet zapomniane.

Niewydolność sądów przejawia się w przewlekłości postępowań. Zaradzić temu może dobre zarządzanie sądem. A to wymaga wzmocnienia władzy prezesów. I może nawet utrzymania albo wręcz zwiększenia nadzoru ze strony ministra sprawiedliwości, ale pod warunkiem, że nie będzie on równocześnie prokuratorem generalnym! To jednak nie wszystko. Dynamika pracy sądu zależy często, zwłaszcza w poważniejszych sprawach, od efektywności instytucji świadczących usługi opiniodawcze, wykonujących ekspertyzy. Cóż poradzi prezes (nawet wspierany przez ministra) lub przewodniczący składu sądzącego, gdy na opinię z instytucji (też państwowej, czasem nawet podległej ministrowi sprawiedliwości) trzeba czekać pół roku albo i znacznie dłużej? Usprawnienie pracy sądu to także usprawnienie pracy instytucji, które sąd lub prokuraturę wspierają ekspertyzami.

Gorzej z jakością wymierzanej sprawiedliwości. Co tu dużo mówić, jeśli o areszcie decyduje sąd na posiedzeniu, które trwa kilka minut. Codziennością polskich sądów jest nieraz kilkadziesiąt posiedzeń w sprawach aresztowych na jednej wokandzie u jednego sędziego. Mało tego, z zasady postanowienie o tymczasowym aresztowaniu lub jego przedłużeniu zostaje napisane jeszcze przed posiedzeniem. Czy tak samo nie dzieje się często z wyrokami? Czy ta cała szopka z mowami końcowymi oskarżyciela i obrońcy nie rozgrywa się w sytuacji, gdy wyrok już jest napisany i czeka tylko na odczytanie? Czy nie w takich okolicznościach decydują się losy ludzkie? Nie spotkałem sędziego, który z tego powodu czułby choć jakiś dyskomfort. Czy wymierzaniu kary zawsze towarzyszy refleksja, że ta kara ma jednak czemuś służyć? A jak jest ze zgodami sądu na stosowanie „kontroli operacyjnej", a więc na założenie podsłuchu? Jak długo sąd zastanawia się, zanim wyda postanowienie zgodne z wnioskiem służb?

A jakże częsta jest bezgraniczna wiara sędziego w to, co powie biegły! Bierze się ona z tego, że sędzia nie potrafi krytycznie ocenić opinii. Brakuje mu wiedzy, a jeszcze częściej doświadczenia życiowego. W zdecydowanej większości sędziami są ludzie prosto po studiach i aplikacji, nie znają żadnej innej instytucji, nie mają pojęcia o życiu, o funkcjonowaniu społeczeństwa, gospodarki. Poznają życie dopiero zza stołu sędziowskiego, a to naprawdę nie jest ani jedyna, ani najlepsza perspektywa.

Czy rzeczywiście opozycja myśli o tym, jak naprawić wymiar sprawiedliwości po odsunięciu PiS od władzy? Czy ma na niego jakiś pomysł? Covid wymiaru sprawiedliwości minie. Choroby wcześniejsze i towarzyszące pozostaną, co więcej, nieleczone w czasie pisowskiego covidu jeszcze się rozwinęły.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ae1bac6507

Autokrata czy autoparodia?

Koniec kadencji Trumpa to początek sporu o ocenę jego prezydentury

Jakub Dymek

20 stycznia – o ile na Waszyngton nie spadnie meteoryt, prezydent elekt nie umrze ani nie wybuchnie zbrojna rewolucja – dojdzie do pokojowego przekazania władzy w USA. Joe Biden złoży przysięgę w trakcie tradycyjnej ceremonii inauguracyjnej, choć w tym roku, ze względu na pandemiczne środki ostrożności, będzie ona inna niż wszystkie poprzednie. Ale jakkolwiek skromna czy okrojona się okaże, jej skutek będzie ten sam: Biden, 46. prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, rozpocznie urzędowanie, a jego poprzednik Donald Trump zakończy kadencję. Zacznie się nowa epoka.

Amerykanie jednak muszą jeszcze sobie poradzić ze starą. Przez ostatnie pięć lat byli nieustannie bombardowani kolejnymi szokującymi, oburzającymi lub komicznymi doniesieniami z Białego Domu. Teraz mogą wziąć głębszy oddech i spróbować poukładać sobie to wszystko w głowie. Czy odchodzący prezydent był autokratą i bezprecedensowym zagrożeniem dla amerykańskiej demokracji jako takiej? A może wypadkiem przy pracy, który pokazał słabości ustroju federalnego, ale wcale mu nie zagrażał? Co, jeśli Trump był tylko naturalnym produktem ewolucji Partii Republikańskiej, który poza wulgarnością nie wymyślił niczego, czego amerykańska prawica już dawno by nie opatentowała? Klaunem czy mężem stanu w przebraniu patentowanego idioty?

Ta dyskusja już rozpoczęła się na dobre. I nabiera tempa. Spór o ocenę 45. prezydenta i o jego dorobek – *legacy*, czyli dziedzictwo, jak zwykło się to górnolotnie określać – będzie ważną debatą. Nie z powodu samego Trumpa, o którym przecież napisano już i powiedziano wszystko. Będzie ważny dlatego, że dzięki niemu określi się cała opozycja – demokraci, umiarkowani republikanie i konserwatyści, młoda lewica. I albo zrozumie, co wynika z najnowszej historii, albo nie – skazując siebie i kraj na jej powtórzenie.

Antytrumpizm ponad podziałami

Spór o to, jakim prezydentem był Trump i co tak naprawdę przeżywała w ostatnich latach Ameryka, zaczął się oczywiście już w trakcie jego kadencji. Nagłówki z kampanii, o „ratowaniu demokracji" lub „dalszym przywracaniu Ameryce świetności", dawały dość dobry obraz tego, z czym będziemy mieli do czynienia i po jej zakończeniu.

W opowieści jednego z obozów – nazwijmy go partią oporu – odchodzący prezydent był w najlepszym razie autokratą lub strongmanem. W najgorszym – nowym wcieleniem faszyzmu, Hitlera albo Mussoliniego. On i jego ludzie grali w tej samej lidze co historyczne totalitaryzmy. Na okoliczność setnej rocznicy rewolucji październikowej, w 2017 r., Anne Applebaum opublikowała na łamach „Washington Post" esej zatytułowany „Powinniśmy się bać. Po stu latach bolszewizm wrócił". Robert Kagan jeszcze w czasach, gdy to Hillary Clinton wydawała się pewną zwyciężczynią wyborów, pisał, że wraz z Trumpem zmierza do Ameryki faszyzm. Z Mussolinim porównywało Trumpa poczytne pismo „The Atlantic". Przykłady podobnych wypowiedzi z ust polityczek, dziennikarzy i ekspertów trudno zliczyć.

FOT. WHITE HOUSE/TIA DUFOUR

eprasa.pl ae1bac6507

Wewnątrz obozu oporu ścierano się raczej o to, czy Trump jest faszystą, białym suprematystą-nacjonalistą, autokratą czy wyłącznie kimś o podobnych tendencjach. Panowała zaś zgoda co do tego, że nie jest normalnym prezydentem, jego wygrana w 2016 r. była oszustwem lub aberracją, a odsunięcie go od władzy wymaga odłożenia na bok politycznych i partyjnych różnic. W 2020 r. w tym celu powołano The Lincoln Project, przedsięwzięcie byłych i aktualnych republikanów, którzy prowadzili wartą dziesiątki milionów dolarów kampanię medialną przeciwko prezydentowi i kandydatom ich własnej partii. Szefem projektu został doradca polityczny George Conway, prywatnie mąż bliskiej współpracowniczki i byłej rzeczniczki Trumpa – Kellyanne Conway. To tylko pokazuje, jak polaryzująca i pełna nieoczywistych sojuszy była to kampania.

The Lincoln Project był szczytowym osiągnięciem antytrumpowskiej ideologii dwóch środowisk, nevertrumpistów i Resistance. Ci pierwsi to część konserwatywnego establishmentu, środowisk dyplomatycznych czy związanych z bezpieczeństwem i obronnością, które już w 2016 r. powiedziały „tylko nie Trump" – stąd ich nazwa. Resistance, czyli ruch oporu, to demokraci, którzy usunięcie Trumpa z urzędu i sabotowanie pracy jego administracji uznali za najważniejszy cel polityczny minionej kadencji.

Jedni i drudzy uważali, że listopadowe wybory rozstrzygną nie tyle o losach prezydentury, ile o przyszłości demokracji w ogóle. Amerykański ustrój, państwo prawa ani instytucje liberalnego ładu po prostu nie wytrzymałyby kolejnych czterech lat. Wygrana Trumpa, mówili, stanowiłaby dla nich wyrok śmierci.

Konstytucja i krewetki

Naprzeciw partii oporu stanęli, jak powiedzielibyśmy w Polsce, symetryści z obydwu stron politycznej barykady. Ludzie tak różni jak przekorny publicysta Matt Taibbi, konserwatywny komentator statecznego (i antytrumpowskiego) „New York Timesa" Ross Douthat czy Katie Herzog i Jesse Singal z lewicowego podcastu Blocked and Reported. Z tezą, że Trump jest dyktatorem i faszystą, polemizowali profesorowie Cas Mudde, znany europejski badacz populizmu, i Michael Sandel z Harvardu, gwiazda amerykańskiej humanistyki.

„Jeśli Trump był faszystą, dyktatorem, zbrodniarzem – pytają – to gdzie po czterech latach stosy trupów albo chociaż dowody na poważne zbrodnie tego tyrana?". Okazuje się, wytykają dalej, że największe skandale, jakich na arenie krajowej dopuścił się niedoszły dyktator, albo mają charakter obyczajowy, albo wiążą się z korupcją i nepotyzmem na styku polityki, rodzinnego interesu Trumpa oraz prywaty uprawianej przez jego świtę i zauszników. Dziś zresztą połowie z tych ludzi – prawników, doradców, popychadeł i speców od brudnej roboty – grożą wyroki, więc odchodzący prezydent jednego po drugim uniewinnia.

Trump bez wątpienia naruszył wiele konwencji i za nic miał dobre obyczaje. Ale czy łamał prawo? Czy pogwałcił umowy międzynarodowe albo dopuszczał się zbrodni wojennych? Czy łamał konstytucję i kłamał przed Kongresem, sądami i społeczeństwem? Symetryści uważają, że nie bardziej niż inni przywódcy USA w ostatnich 30 latach.

Fakt, że prezydent odchodzi z urzędu, zostawiając po sobie niejasności w zeznaniach podatkowych czy aferę z opłacaniem milczenia gwiazdy porno Stormy Daniels (z którą miał uprawiać seks, a potem ją szantażować), nie przydaje urzędowi prestiżu. Ale czy to jest miara jego dyktatorskich i autorytarnych zapędów? Ataki na prasę, na wolność słowa, niezależne sądownictwo i swobodę działania opozycji – u Trumpa wszystko to działo się wyłącznie na Twitterze. W innych krajach, gdy do władzy dochodzi autokrata, groźby wobec przeciwników prędzej czy później zamieniają się w czyny. W przypadku Trumpa obracały się w parodię.

Matt Taibbi wyzłośliwia się w niedawnym tekście „Dziedzictwo prezydenta Donalda Trumpa" i przypomina, że nawet korupcja nie szła Trumpowi specjalnie dobrze. Kazał swoim gościom i Partii Republikańskiej sypiać i organizować konferencje w należących do rodziny Trumpów hotelach i ośrodkach. Jak gdyby, szydzi publicysta, „zmuszanie tych ludzi do wcinania sałatek krewetkowych za 17 dol. w jego gównianych ośrodkach golfowych było szczytem uwłaszczenia się na urzędzie prezydenckim".

Wszędzie zmowa

Symetryści nie próbują przekonać świata, że Trump był uczciwy. Wręcz przeciwnie, mają go za skorumpowanego błazna i patologicznego kłamcę. Ale w tym sensie, podkreślają co złośliwsi z nich, Trump wcale nie był aż takim odstępstwem od reguł, jakimi rządzi się amerykańska klasa polityczna. Był nie dyktatorem ani faszystą, lecz skrajnym wcieleniem wszystkich wad od dawna obecnych w celebryckiej kulturze mediów i polityki w USA.

Na jeszcze ciekawszą rzecz zwraca uwagę Ross Douthat. Retoryka oporu i walki z Trumpem za wszelką cenę wzmacnia myślenie spiskowe po obu stronach sporu politycznego. Przekonanie, że Trumpa należało obalić za pomocą wyjątkowych środków i nie oglądając się na różnice polityczne, podsyca bowiem wiarę jego zwolenników w nieuczciwość amerykańskiej demokracji, a przede wszystkim w to, że Trumpa pokonało tajemnicze „państwo w państwie". Widzą oni porozumienie demokratów i republikanów przeciwko Trumpowi – takie jak The Lincoln Project – i skłonni są uznać, że to *deep state*, mityczna klika elit i oficerów służb, o której tyle słyszeli, dokonuje przewrotu w świetle jupiterów i „kradnie" wybory.

Trump zamiast amerykańską demokrację zniszczyć, wyłącznie ją ośmieszył.

Z drugiej strony – ciągnie Douthat – sami członkowie partii oporu nie są wolni od pokusy uwierzenia w podobny spisek: że Trump był zagrożeniem tak wielkim, że trzeba było specjalnych środków, by go pokonać, a demokracja to za mało. Tymczasem Trump przegrał sam ze sobą, w wyborach, których wyniku nie uda mu się podważyć i które – wbrew obawom wyrażanym czasem także na łamach „New York Timesa" – nie doprowadzą do wojny domowej. Zwyciężył nie żaden „ruch oporu" – bo i Ameryka nie była pod okupacją – ale normalna

eprasa.pl ae1bac6507

opozycja we względnie normalnych (jak na pandemię) wyborach.

Wszyscy, którzy chcą to podważać – kończy autor „NYT" – czy to z pro-, czy z antytrumpowskich pozycji – wzmacniają w gruncie rzeczy antydemokratyczny i szkodliwy mit.

Dwie drogi

To, czy ostatecznie wygra jedna lub druga interpretacja, będzie ważne dla losów całej opozycji wobec Trumpa – konserwatywnej i demokratycznej.

Warianty są dwa. Jeśli uznać, że Trump był wielkim zagrożeniem dla demokracji, liberalnego ładu na świecie i współczesnym Hitlerem lub Mussolinim, to w momencie wygranej Bidena można odetchnąć z ulgą i wrócić do starej, dobrej, partyjnej polityki. Wystarczy cofnąć wskazówki zegara do 2015 r. i wymazać ostatnią kadencję ze zbiorowej pamięci. O resztę zatroszczy się już naturalny rytm mediów i debaty publicznej, czas przyniesie nowe wyzwania, a instytucje powrócą na dobrze znane tory. Część obozu oporu z pewnością tak myśli i dokładnie na to liczy – że ten nadrzędny cel, odsunięcie Trumpa, został osiągnięty, więc i reszta spraw ułoży się zgodnie z planem.

Jeśli jednak Trump nie był wielką anomalią amerykańskiej polityki, tylko naturalnym skutkiem jej gnicia – produktem skorumpowanego systemu – wyzwanie na najbliższe lata wygląda zupełnie inaczej. Temu poglądowi oczywiście patronują symetryści. Przypominają oni, że Trump, zamiast amerykańską demokrację zniszczyć, wyłącznie ją ośmieszył. Bez odbudowania jej powagi, a szczególnie bez systemowych reform, scenariusz z 2016 r. prędzej czy później się powtórzy. By ludzie nie głosowali więcej na postacie w rodzaju Trumpa, trzeba zrozumieć, skąd się wzięła jego popularność i olbrzymi gniew na klasę polityczną, który był paliwem jego pierwszej kampanii prezydenckiej. Demokraci i republikanie – twierdzą symetryści – są dopiero na początku długiej drogi, a obalenie rzekomego dyktatora nie usunęło przyczyn jego popularności. Na Trumpa – pomimo straszenia dyktaturą – zagłosowało w tym roku więcej wyborców niż cztery lata temu.

By ludzie nie głosowali więcej na postaci w rodzaju Trumpa, trzeba zrozumieć, skąd się wzięła jego popularność.

W przeciwieństwie do wielu autokratów i faszystów z przeszłości wskaźników jego poparcia ani kart wyborczych nie trzeba było fałszować.

Spór o to, kim był Trump i jaka to była prezydentura, otwiera dwie drogi i zostawia dwie lekcje. Amerykańska opozycja zrobi dobrze, jeśli wybierze tę trudniejszą i wymagającą więcej wysiłku.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

eprasa.pl ae1bac6507

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Kwarantanna narodowa

Gdy doktor Bernard Rieux, bohater „Dżumy" Alberta Camusa, wyszedł któregoś dnia z gabinetu, natknął się przed drzwiami na zdechłego szczura. Zlekceważył to. Ale wkrótce potem martwe szczury wywożono już z miasta całymi workami. Zaczęła się epidemia, a wraz z nią kwarantanna. W pierwszym szeregu walczących z zarazą stanął doktor Rieux.

My na symptomy zarazy nie zwracaliśmy uwagi przez lata. Lekceważyliśmy je. Nie działały odpowiednie służby. Zresztą nie wydawało się to niezbędne – wirus nie powodował przypadłości cięższych niż grypa. No ale był! I nic z tym nie robiono. A jego najgroźniejsza mutacja żyła sobie spokojnie w przetrwalnikach. Wreszcie nastąpił atak. Ale nie zjawił się polski doktor Rieux.

Dziś trudno nawet określić, kiedy to naprawdę się zaczęło. Traktując rzecz medycznie – w marcu minionego roku. Patrząc jednak całościowo – już ponad pięć lat temu. Dobrze więc, że przynajmniej teraz ogłosiliśmy kwarantannę. I przede wszystkim: że jest to kwarantanna narodowa. Ale skoro narodowa – to narodową musi być też epidemia. A w takim razie zagrożeniem jesteśmy wszyscy – dumny polski naród.

Dumny? Już nie ma powodu do dumy. To przez naszą lekkomyślność polski organizm został zainfekowany. Co więcej jednak, Polska, dawne „przedmurze chrześcijaństwa", stała się dla tegoż chrześcijaństwa zagrożeniem. Bakcyl łże-katolicyzmu i łże-antykomunizmu, tyle lat u nas hołubiony, zdążył już przeskoczyć na Węgry, ba, dotarł do odległej Słowenii, nawet w zlaicyzowanych Czechach znalazł sprzymierzeńców. Polska, część Unii Europejskiej, stała się w niej czynnikiem rozkładu.

Można więc sobie wyobrazić, z jaką ulgą polską kwarantannę narodową przyjęła Europa. Z jaką ulgą przyjęli ją polscy sąsiedzi. Nareszcie wokół Polski powstał kordon sanitarny. Nareszcie ze strony Polski nic już Europie nie grozi. Zresztą 28 grudnia sama Polska uznała konieczność kordonu. I słusznie, kwarantanna narodowa jest dla narodu szansą. Możemy teraz działać szybko i bezwzględnie.

Osoby chore muszą być natychmiast izolowane! I to niezależnie od zajmowanego stanowiska – prawo jest równe dla wszystkich. Ozdrowieńcom nie ufamy – jeszcze długo będą mogli zarażać. Osoby zdrowe, które mogą nie wiedzieć o chorobie, poddajemy bacznej obserwacji. A przede wszystkim szczepimy się! Wszyscy się szczepimy! Lecz tu nagle pojawia się problem: większość narodu wcale nie chce! A tym bardziej – nie chce tego robić dwukrotnie.

Zbyt długo ulegaliśmy antyszczepionkowcom. Dlatego dziś trzeba wprowadzić obowiązek szczepień. I szczepić się nawet nie dwukrotnie, lecz... wielokrotnie. Pomyślmy bowiem: bakcyl szerzy się przez uszy. Możemy się zarazić, słuchając rządzących. Bakcyl szerzy się przez oczy. Możemy się zarazić, oglądając państwową telewizję. Czy szczepionka tylko dwukrotna jest w stanie nas zabezpieczyć? Czy przynajmniej niektórzy z nas – ludzie z osłabioną odpornością – nie powinni jej przyjmować codziennie? Ile razy trzeba powtarzać: to, co przechodzimy, to nie zwykła, banalna epidemia dżumy, z którą zmagał się doktor Rieux. To epidemia narodowa. I kwarantanna narodowa. W kwarantannie narodowej potrzebna jest narodowa kuracja.

Lecz problem największy to nawet nie wstręt do szczepień. Problem największy to rozumienie kwarantanny narodowej przez naród. Bo jakże to rozumienie jest wąskie! Owszem, słyszymy już, że do personelu lekarskiego wysyłanego do walki z bakcylem włącza się również psychiatrów. Ale czemu tylko ich?! I czy potrzebna jest tylko służba zdrowia?! Epidemia narodowa – to katastrofa narodowa, a w niej niezbędne są także inne służby. W tym – może zwłaszcza – służby prawne. I tu znów szok: bakcyl rozplenił się zwłaszcza wśród prawników! Oni albo już chorują, albo po wyzdrowieniu zarażają, albo są w grupie najwyższego ryzyka. Jakże niewielu nabrało trwałej odporności. Tymczasem potrzebni są sędziowie – byle odpowiedzialni. Potrzebni są prokuratorzy – choć raczej nie każdego szczebla. W każdym jednak razie należy kwarantannę narodową rozumieć szeroko. I pamiętać: w kwarantannie narodowej niezbędna jest narodowa mobilizacja.

Polska, dawne „przedmurze chrześcijaństwa", stała się dla tegoż chrześcijaństwa zagrożeniem.

Tak więc dużo przeszkód piętrzy się po drodze. A w przyszłości? Gdy zwalczymy wirusa – czy przypadkiem on znów nie zmutuje? Doktor Rieux przekonał się, że bakcyl „nigdy nie umiera i nie znika". Dziś takich doktorów muszą być tysiące, a tyle samo musi być sędziów, prokuratorów, nauczycieli… To jest wojna – słyszeliśmy niedawno na ulicach. Tę wojnę może zakończyć tylko bezwarunkowa kapitulacja. Bo – albo bakcyl, albo my. Na szczęście mamy kwarantannę narodową. Z kwarantanny narodowej musimy wyjść z narodową odpornością.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ae1bac6507

Mateusz Mazzini

Placek a duma narodowa

Najlepszej pizzy na świecie nie robią już Włosi. Czy to uderzenie w ich tożsamość?

Quartieri Spagnoli, dosłownie dzielnice hiszpańskie, historyczna część Neapolu, jest tak napakowana sklepikami, kawiarniami i knajpkami, że czasem trudno uwierzyć, by ktokolwiek mógł mieszkać tu na stałe. Do niesłychanie ciasnych uliczek, gdzie poobijane samochody wymijają się z wszędobylskimi skuterami, turyści ciągną jednak masowo. Częściowo po to, żeby poczuć klimat starego Neapolu, pamiętającego czasy sprzed zjednoczenia Włoch czy XX-wiecznej modernizacji miasta. Wielu z nich pakuje się jednak w ten labirynt wąskich przejść i nierównej kostki brukowej w jednym, bardzo konkretnym celu. Chcą zjeść znaną na całym świecie, chronioną prawnie i kulturowo neapolitańską pizzę.

Cienka, czasami tak bardzo, że wręcz pływająca. Z zapieczonymi, często zwęglonymi brzegami. Występująca najwyżej w kilku wersjach. Żaden ananas, awokado czy inne cuda z nowego świata. Prosty placek z sosem pomidorowym. Coraz popularniejszej nawet w Polsce pizzy „białej", na której czerwonej papki brak, w Neapolu, przynajmniej tym tradycyjnym, nie uświadczymy. Pizza bez pomidorów to bowiem wymysł rzymski, a niesamowicie przeczuleni na punkcie kulinarnych tradycji mieszkańcy regionu Kampanii żadnych naleciałości z północy jako swoje nie zaakceptują.

Tak było przez lata, a nawet całe wieki. To z Neapolu pizza wyruszyła na podbój – najpierw Włoch, później Europy, wreszcie pozostałych kontynentów. I choć o jej odejściu od korzeni napisano już setki artykułów i tomy książek, a amerykańskie sieci zamieniły ją z lokalnego dania w katastrofalny dla zdrowia i wyzuty z tożsamości kulturowej globalny produkt, na tę „prawdziwą" pizzę, jedzoną nieśpiesznie w długie letnie wieczory na południu Półwyspu Apenińskiego, licencję nadal mieli Włosi. Globalizacja pizzy im nie przeszkadzała tak długo, jak pozwalała na kulinarny snobizm. To tłuste ciasto, którym cały świat zajada się prosto z tekturowego pudełka, można było sobie nazywać pizzą, ale z prawdziwą włoską nie miało nic wspólnego. Twierdzili też, że to wina nie tylko przepisu czy składników. Pizzę taką, jaką powinno się jeść, trzeba jeść u źródła. Zrobioną przez Włochów, we Włoszech, z włoskich produktów. Wszystko inne będzie tanią imitacją.

Tymczasem pizza staje się coraz mniej włoska, dosłownie i w przenośni. Przyrządzania jej według tradycyjnej receptury nauczyli się już nie tylko obcokrajowcy. Sami Włosi, emigrujący za pracą do Wielkiej Brytanii, Niemiec czy krajów skandynawskich, skutecznie replikują całe neapolitańskie doświadczenie konsumpcji tego placka w innych miejscach na świecie. W dodatku nawet we Włoszech pizzę coraz rzadziej przygotowują lokalni *pizzaiolo*, jak nazywa się kucharza zajmującego się tym jednym daniem. Zatrudnienie przy nim, najczęściej na czarno, znajdują migranci z Afryki Północnej, Bliskiego Wschodu czy Afganistanu, co dla włoskiej skrajnej prawicy jest nie do zaakceptowania. Radykałowie widzą w tym zamach na włoską tożsamość, oddanie jej walkowerem ludziom, którzy, ich zdaniem, nie mają nawet prawa w Neapolu przebywać, a co dopiero zabierać się do wyrobu tamtejszej pizzy, rzeczy najbardziej włoskiej z włoskich. Krótko mówiąc, pizza zaczyna się Włochom wymykać spod kontroli.

W kilku turniejach pizzy zwyciężyli Japończycy.

Syreny alarmowe zawyły po raz pierwszy w poprzedniej dekadzie,

FOT. CIRO DE LUCA/REUTERS/FORUM

eprasa.pl ae1bac6507

kiedy tytuł mistrza świata w robieniu pizzy opuścił nie tylko Włochy, ale i Europę. W kilku turniejach podobnej rangi seryjnie zaczęli zwyciężać Japończycy, którzy do przygotowania placka podeszli zadaniowo. Do perfekcji odtworzyli cały proces, od ubioru po proporcje składników i czas pieczenia. Wtedy jednak uznano to za folklor, wypadek przy pracy. Dziennik „La Stampa" pisał wprawdzie o „neapolitańskiej porażce", ale zrzucał ją raczej na karb przygotowania zawodników z Japonii, stosujących strategię mimikry. Oni wyuczyli się naszego sposobu, argumentowała włoska prasa, ale to jedynie potwierdza naszą wyższość kulturową.

Nawet we Włoszech pizzę coraz częściej robią migranci z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu.

W kolejnych latach schemat ten zaczął się powtarzać coraz częściej. Laury zdobywali kucharze z innych krajów albo Włosi pracujący dla zagranicznych restauracji, nagród do Neapolu spływało coraz mniej. Pojawiły się nawet oskarżenia o dyskryminację i nacjonalizm wśród sędziów. W czasie ubiegłorocznych mistrzostw świata w robieniu pizzy, rozegranych w Parmie, niezadowolony z ich pracy był Gianni Gallucci z zespołu reprezentującego w turnieju Stany Zjednoczone. Był jedynym jego członkiem, który wziął udział w najbardziej prestiżowej dyscyplinie, jaką jest STG. Skrót ten pochodzi od włoskiego terminu *specialità tradizionale garantita* i oznacza przygotowanie pizzy z zagwarantowaniem tradycji niezmienianej od setek lat. Nie chodzi tu o samo pieczenie, ale też np. o zakładanie czapki w trakcie całego procesu. Co więcej, zasady STG nie są czczym gadaniem tożsamościowych konserwatystów, wyznacza je bowiem włoskie ministerstwo rolnictwa, a chronią unijne przepisy o lokalnych produktach spożywczych i dziedzictwie kulturowym. Żeby wszystko odbyło się z zachowaniem standardów, na mistrzostwach pilnuje ich zewnętrzny panel ekspertów. Jego zdaniem Gallucci złamał tradycyjny kodeks, używając składników w złych proporcjach wagowych. Sam *pizzaiolo* uważał, że to zarzut z kosmosu, i dał upust negatywnym emocjom w mediach społecznościowych. Niskie oceny od sędziów dostał ponoć dlatego, że, choć pochodzi z Neapolu, na turniej przyjechał, reprezentując swój lokal w Chicago. Gdyby wygrał, to tam powędrowałby puchar. A sędziowie mieli, przynajmniej według niego, starać się, by jednak wrócił do Quartieri Spagnoli.

Kontrowersje na mistrzostwach świata to problem może i ważny, ale mimo wszystko marginalny, dotyczący małego wycinka całej branży związanej z przygotowywaniem pizzy. Zupełnie innej natury jest kwestia masowego już zatrudniania migrantów w kuchniach nawet najbardziej konserwatywnych lokali. Większość przybyszów ma nieuregulowany status prawny, są tzw. dublińczykami, czyli migrantami podlegającymi dublińskiemu mechanizmowi relokacji. Oznacza to, że bez azylu politycznego zostają deportowani do kraju, w którym po raz pierwszy przekroczyli unijną granicę. Są więc na Półwyspie Apenińskim już wiele lat albo ciągle tu wracają z Francji, Austrii, Danii czy innych krajów. Kampania, region, którego stolicą jest Neapol, to jedna z tych części Włoch, w których migrantów z Południa i Wschodu jest najwięcej. Dla skrajnej prawicy to sytuacja wręcz idealna. Wykorzystuje ją, by uderzać w rządzącą koalicję centrolewicowej Partii Demokratycznej z populistami z Ruchu Pięciu Gwiazd. Pod koniec czerwca, przed wyborami samorządowymi, objazd po Kampanii zafundował sobie jej lider, Matteo Salvini. Na wiecu w Castel Volturno, dawnym kurorcie pod Neapolem, uważanym dziś za siedzibę nigeryjskiej mafii w Europie, krzyczał, że tożsamość tego regionu jest zagrożona masową migracją, a bezpieczna nie jest nawet tutejsza tradycja gastronomiczna.

Pizza i migranci to zresztą dwa tematy, które łączone są publicznie coraz częściej. Salvini używa tego związku, by przed migrantami ostrzegać, inni, by strach przed „obcymi" obalać. W samym środku tej kontrowersji stanął w ubiegłym roku Roger Waters, były basista legendarnego zespołu Pink Floyd. W czasie festiwalu filmowego w Wenecji, gdzie premierę miał dokument o jego życiu i twórczości, wyśmiał fobie włoskich narodowców. „Migranci nie przeprawiają się przez Morze Śródziemne, żeby ukraść i zjeść waszą pizzę. Oni są naprawdę zdesperowani. Uciekają ze stref wojny, chcą po prostu lepszego życia, to ludzkie. Dzięki Bogu, że nie ma już u was Salviniego u władzy", powiedział Waters. Należąca do ekspremiera Silvia Berlusconiego gazeta „Il Giornale" pisała wtedy, że muzyk „zaatakował i obraził wszystkich Włochów". Zarzucił im bowiem rasizm i brak empatii, ale też dotknął tematu pizzy. A co może o tym wiedzieć jakiś Brytyjczyk?

Pizza bywa jednak również sposobem wyrażania solidarności. Dwa lata temu, przy okazji światowego dnia uchodźców, furorę we Włoszech robił rysunek dzieci z jednej z neapolitańskich szkół. Przedstawiał klasyczną pizzę, do której – niczym brakujący kawałek – „wpływała" łódź pełna migrantów. Wiele lokali jest dumnych z tego, że ich zatrudnia, a włoscy właściciele pomagają im zalegalizować pobyt. Na drzwiach restauracji Il Figlio del Presidente (wł. Syn Prezydenta), jednej z najpopularniejszych pizzerii w Neapolu, przyklejono kolorowy znaczek Refugees Welcome (ang. Uchodźcy mile widziani). Jak widać, pizza wciąż potrafi łączyć, a nie tylko dzielić. Bez względu na to, kto, gdzie i w jaki dokładnie sposób ją przyrządza.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Nowy numer tygodnika „NIE":
Złamana igła do strzykawki. Pielęgniarki mogą zastrajkować lada chwila.

eprasa.pl ae1bac6507

Tomasz Skowronek

Hiszpańska marihuana zalewa Europę

Garaże, szopy, magazyny, strychy i samochody kempingowe są idealne do uprawy konopi pod lampami

Marihuana dotarła do Berlina z Hiszpanii, między cukinią a spleśniałymi mandarynkami – łącznie około jednej tony w pięciu dostawach ciężarówkami. W berlińskim sądzie toczy się proces przeciwko 63-latkowi, który jest oskarżony o pomoc w rozładowaniu nielegalnego towaru i który miał być wspólnikiem 36-letniego dilera organizującego transport używki. Choć w ostatnich latach to największy znany przerzut marihuany na terytorium Niemiec, nie był to jedyny przypadek jej przemytu z tego śródziemnomorskiego kraju. Zwykle jednak chodziło o znacznie mniejsze ilości, jak w październiku, kiedy znaleziono 2,4 kg marihuany w walizce 22-latka, który przyleciał do Stuttgartu z Barcelony.

Europejscy celnicy są coraz bardziej wyczuleni na wszelkie transporty z Półwyspu Iberyjskiego. Uprawiana na hiszpańskiej ziemi, a następnie przemycana – w warzywach, owocach czy słodyczach – marihuana staje się coraz powszechniejsza i łatwiej dostępna. Znaczenie Hiszpanii w biznesie narkotykowym potwierdzają statystyki i badania. Według europejskiego raportu narkotykowego ilość skonfiskowanej marihuany w Hiszpanii rośnie od dziesięciu lat.

Przez długi czas większość produktów z konopi indyjskich pochodziła z Maroka. Ale teraz, szczególnie ze względu na pandemię, która uszczelniła wiele granic, uprawa konopi w Hiszpanii staje się atrakcyjniejsza, a przy tym prostsza i bezpieczniejsza. „Klimat jest korzystny dla roślin, a hiszpańscy koledzy znajdują coraz więcej plantacji w budynkach", mówi „Süddeutsche Zeitung" Ruth Haliti, rzeczniczka niemieckiej służby celnej.

Statystyki potwierdzają trend – według hiszpańskiego MSW w 2019 r. skonfiskowano 1 538 995 roślin, czyli o 57% więcej niż rok wcześniej. W ciągu ostatnich pięciu lat liczba skonfiskowanych upraw wzrosła nawet czterokrotnie, z 400 tys. w 2014 r. do prawie 1,6 mln rok temu. Dane CITCO, tamtejszego wywiadu ds. zwalczania m.in. przestępczości zorganizowanej, pokazują, że Hiszpania w ciągu zaledwie czterech lat stała się trzecim co do wielkości producentem i eksporterem marihuany w Europie, ustępując jedynie Albanii i Włochom. Gram marihuany w iberyjskim kraju kosztuje zaledwie 5 euro, podczas gdy we Francji 9 euro, w RFN 11, w Szwecji 14, a w Finlandii aż 23 euro. „Takie marże przyciągają do Hiszpanii zagraniczne i wielonarodowe zorganizowane grupy, które tworzą tam linie produkcyjne, aby sprostać popytowi w swoich krajach", wyjaśnia Jan Op Gen Oorth, rzecznik Europolu.

W ciągu czterech lat Hiszpania stała się trzecim co do wielkości producentem i eksporterem marihuany w Europie.

Dziennik „El Mundo" alarmuje, że w ostatnich latach gwałtownie wzrasta liczba upraw konopi na terenach miejskich. W lipcu, w wyniku działań zapobiegawczych policji krajowej, agenci dowiedzieli się o istnieniu plantacji w kilku domach w madryckiej dzielnicy Fuencarral-El Pardo – uprawiane tam konopie przetwarzano na gotowy narkotyk. Domy miały wymyślny system oświetlenia i wentylacji, przeznaczony do uprawy na dużą skalę.

W listopadzie Gwardia Cywilna przechwyciła 17 tys. kg marihuany i zlikwidowała sieć biznesową, której celem były uprawa, zbieranie i sprzedaż konopi *sativa*. Większość interwencji miała miejsce w Villa del Prado. W wyniku operacji aresztowano pięć osób i przejęto 372 tys. krzewów konopi, przemysłową maszynę do sortowania oraz kilka ton już zapakowanych, gotowych do dystrybucji „pąków".

Policja zatrzymała także pięć osób i zlikwidowała dwie wewnętrzne plantacje w okręgu madryckim. W Paracuellos de Jarama zlokalizowano plantację, na której uprawiano 2,9 tys. krzewów konopi – co daje 3,625 mln euro. Właściwie bez przerwy hiszpańska prasa donosi o likwidowanych osiedlowych plantacjach.

Istotną rolę w biznesie narkotykowym odgrywa chińska mafia. „Doprowadziła ona do rozkwitu produkcji marihuany w Hiszpanii w ciągu ostatnich czterech lat", mówią śledczy w madryckim dzienniku „El País". „Chińczycy rozrzucili produkcję w 12 regionach, aby nie stracić całego plonu", tłumaczą. Każdy etap działalności został dokładnie zaplanowany: „Byli rekruterzy, którzy szukali domów i magazynów nadających się na założenie plantacji. W jednym z nich znaleźliśmy trzy piętra pełne roślin". Organizacje przestępcze z Państwa Środka do uprawy wykorzystują niewolniczą siłę roboczą z Azji. Mafiosi obiecują imigrantom pracę przy zbiorach, na budowach, w magazynach – a na miejscu odbierają tym ludziom paszporty, zamykają ich, grożą i szantażują.

Jednym z takich niewolników był X, 37-letni obywatel Wietnamu, który pod koniec lutego 2019 r. został uratowany przez Gwardię Cywilną u wybrzeży Walencji ze statku wypełnionego marihuaną. Jego historię opisał dziennik „El Periódico". Wietnamczyk miał „rodzinną potrzebę ekonomiczną" i postanowił wyemigrować do Rosji. „W styczniu 2018 r. spotkałem na lotnisku osobę, która dała mi wizę i bilet lotniczy. Powiedziała mi, że będę pracował w branży tekstylnej, zarabiając ok. 500 dol. – opowiada X. – W Rosji pracowałem 16 godzin dziennie, nie miałem żadnego dnia wolnego, zarabiałem 200 lub 300 dol. miesięcznie. Na miejscu powiedziano mi, że mam spłacić

eprasa.pl ae1bac6507

Zlikwidowana plantacja konopi w gminie Pedreguer w Walencji.

dług w wysokości 2 tys. dol. za wizę i podróż".

Udało mu się uciec, wraz z innymi wyzyskiwanymi robotnikami. „Powiedzieli mi, że inny Wietnamczyk organizuje wyjazdy do Niemiec i pracę w Europie na lepszych warunkach, więc skontaktowałem się z nim". Tyle że była to kolejna pułapka. W Niemczech znów został uwięziony, a potem przetransportowany do Walencji. Kiedy przybyli w odludne miejsce, „chiński kierowca zaprowadził nas na statek i powiedział: to jest twój dom", mówi porwany 37-latek.

X został przyjęty przez rodaka, który wyjaśnił mu, że będzie uprawiał konopie. Pokazał mu miejsce pracy i życia. Była tam kabina z „materacami na drewnianych paletach". Prowizoryczna „kuchnia, na końcu magazynu, była usytuowana w toaletach, tuż obok miejsca, w którym się myjemy. Tam też gromadziliśmy śmieci, nie mogliśmy ich wynieść na ulicę, żeby nikt nas nie zauważył", wspomina X.

Wietnamczyk został uwolniony przez agentów Centralnej Jednostki Operacyjnej Gwardii Cywilnej ze statku pełnego marihuany u wybrzeży Walencji. Nie tylko zresztą on, bo wielu azjatyckich niewolników – m.in. w Zamorze, Ourense, Jaén i Guadalajarze – uwolniono w ramach dwóch operacji likwidowania plantacji.

Ale konopie uprawiają także zwykli Hiszpanie, którzy chcą dorobić. Grupy przestępcze płacą nawet 5 tys. euro za zbiory. Pokoje, garaże, szopy, magazyny, strychy, małe łodzie, ciężarówki i samochody kempingowe są idealne do uprawy pod lampami. „Gangsterzy przygotowują dla nich wszystko – rośliny, okablowanie, światła – i zostawiają podręcznik z instrukcjami, jak dbać o krzewy", mówi rzecznik oddziału narkotykowego Gwardii Cywilnej w rozmowie z „El País". „Zgłaszają się po gotowe zbiory, 5-20 kg, trzy lub cztery razy w roku – i płacą uzgodnioną kwotę, ok. 5 tys. euro". Następnie towar wysyłany jest głównie do Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji, Szwecji, Łotwy czy Polski.

Hiszpańska prasa wciąż donosi o zlikwidowanych osiedlowych plantacjach.

Obecny pandemiczny kryzys zaostrza problem: według hiszpańskich mediów Gwardia Cywilna jest coraz bardziej świadoma istnienia osób spoza świata przestępczego, którym gangsterzy płacą za uprawę konopi. W ten sposób hiszpańskie rodziny są w stanie zarobić nawet 20 tys. euro rocznie.

Choć plantacje powstają w całej Hiszpanii, prawdziwym liderem pod względem upraw i handlu jest Katalonia. W samej Barcelonie działa 156 *asociaciónes*, czyli legalnych klubów konopnych. Około 70% wszystkich hiszpańskich stowarzyszeń konopnych znajduje się właśnie w Katalonii, gdzie – zgodnie z obliczeniami National Drug Plan – konsumpcja konopi indyjskich jest wyższa niż w pozostałej części kraju. Miasto Gaudiego jest także gospodarzem międzynarodowych targów konopi Spannabis. Ani policja, ani inne służby nie mają nic przeciwko legalnej marihuanie, sęk w tym, że region ten upatrzyły sobie organizacje przestępcze.

„Katalonia stała się europejskim ogrodem marihuany", podkreślał w „Euronews" Ramon Chacon, czołowy śledczy z regionalnej policji Mossos d'Esquadra. Katalońska policja przeprowadziła w pierwszym tygodniu października trzy naloty, z których jeden był wymierzony w dwie nieruchomości w San Esteban de Sasroviras niedaleko Barcelony. Tutaj wiele nieruchomości było pustych od momentu kryzysu finansowego z 2008 r. – do chwili, gdy zostały wynajęte lub przejęte przez grupy przestępcze, które zakładają plantacje pod dachem.

„Marihuana zakorzeniła się w taki sposób, że cała przestępczość zorganizowana ze Starego Kontynentu przybywa do Hiszpanii, a konkretnie do Katalonii. Dlaczego? Ponieważ Katalonia jest tym, co nazywamy »ogrodem Europy«: produkowana jest tam większość marihuany konsumowanej przez Europejczyków", tłumaczy Ramon Chacon. Potępia on sytuację, która doprowadziła do rozpowszechnienia marihuany. Wpływa to na „wszystkie warstwy społeczeństwa", w tym na policję i polityków, którzy są narażeni na korupcję.

Według miejscowych służb pranie pieniędzy i związana z nim korupcja „stanowią realne zagrożenie dla gospodarki i jakości demokracji w Katalonii. Nagły wzrost nielegalnej produkcji doprowadził do starć między klanami, zauważono również zwiększony handel bronią oraz handel ludźmi. W Katalonii odnotowuje się już zabójstwa związane z handlem konopiami", powiedział Chacon, który obawia się, że przemoc będzie się nasilać. „To zaczyna już wchodzić w nawyk". ■

FOT. GUARDIA CIVIL

eprasa.pl ae1bac6507

Zagadki pustyni

Prehistoryczni mieszkańcy Sahary uciekali przed suszą

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

PROF. ROMUALD SCHILD
– badacz epoki kamienia, laureat polskiego naukowego Nobla 2020

Ekspedycja, której był pan uczestnikiem, a w końcu dyrektorem, jest określana jako najdłużej trwająca w świecie. Dlaczego?

– Trzeba zrobić zastrzeżenie, że chodzi o ekspedycję archeologiczną badającą czasy przedhistoryczne, a więc niezwiązane ze starożytnym państwem egipskim. Egiptologiczne badania mają jeszcze dłuższy horyzont czasowy. Nasze badania zabytków epoki kamienia zaczęły się na początku lat 60. i trwają prawie 60 lat. Dlaczego tak długo? Nikt tego z początku nie zakładał, ale dobre wyniki poszukiwań sprawiły, że zainteresowanie sponsorów wzrosło i mogliśmy uzyskiwać pieniądze na dalsze badania. Po roku 2007 ekspedycja rozdzieliła się na dwie grupy.

Jaki był pierwotny cel powołania ekspedycji?

– To się wiązało z tzw. Kampanią Nubijską pod patronatem UNESCO. Celem było ratowanie zabytków archeologicznych, zarówno staroegipskich, jak i prehistorycznych znajdujących się w basenie utworzonym przez tamę asuańską, która stała się powodem powstania dzisiejszego Jeziora Nasera. Oczywiście przybyli tam archeolodzy zajmujący się starożytnym Egiptem, ale dwie inne ekspedycje miały badać zabytki z epoki kamienia. Wśród nich była nasza, sponsorowana na początku przez Amerykanów, konkretnie przez Narodową Fundację Nauki. Było to jednak przedsięwzięcie o charakterze międzynarodowym, pracowali tu od początku Francuzi, Anglicy, Belgowie, Egipcjanie i Polacy. Najpierw jeden, później trzech. Stopniowo powiększano zakres badań, bo wyniki były zachęcające. Początkowo uznano, że na tym obszarze zabytków z epoki kamienia wiele się nie znajdzie, bo teren był traktowany jako zacofany cywilizacyjnie, i stawiano głównie na znaleziska z klasycznego państwa egipskiego. Mieliśmy jednak poważne osiągnięcia już na samym wstępie i w związku z tym dużo publikacji źródłowych, co pozwalało ubiegać się o nowe środki. Pieniądze przydzielała głównie wspomniana już amerykańska fundacja, która wspierała wiele innych nauk, ale szczególnie w badaniach archeologicznych interesowała się antropologią, bytowaniem człowieka epoki kamienia na tych terenach.

I okazało się, że człowiek z epoki paleolitu i neolitu tutaj także się pojawił? Czy żył na terenach pustynnych?

– Trzeba wyjaśnić, że dzisiejsza Sahara przeżywała w swojej historii różne okresy bardziej wilgotne. Nigdy nie była porośnięta dżunglą, ale stwarzała stosunkowo dogodne warunki do życia. Na tych terenach była sawanna drzewiasta, więc zamieszkiwały je plemiona pasterskie i łowieckie. Żyło tu sporo zwierząt przystosowanych do suchego środowiska, a ludzie zbierali rozmaite dzikie owoce i warzywa, np. jagody, dynie. Warunki były raczej surowe, ale to się utrzymywało miliony lat. Nasze najstarsze znaleziska związane z człowiekiem pochodziły właśnie sprzed około miliona lat, ale generalnie natknęliśmy się na zabytki młodsze, np. sprzed ok. 11 tys. lat.

Wcześniejsze ekspedycje naukowe miały charakter podróżniczo-geograficzny, ale przypadkowo znajdowały też świadectwa bytowania ludzi, zwłaszcza na terenie wielkich oaz. Myśmy jednak poszli na dotąd nieznane pod względem archeologicznym i suche obszary wschodniej Sahary, gdzie 11 tys. lat temu rosła zieleń, choć okresy wilgotne były przerywane okresami pustynnymi i wtedy ludność emigrowała na tereny wilgotniejsze, a potem wracała. W holocenie było sześć okresów bardziej wilgotnych. Około 9 tys. lat temu zaczęły się początki hodowli bydła i kopieniactwa. Jednak ok. 6 tys. lat temu to zupełnie się skończyło i mieszkańcy wschodniej Sahary przenieśli się w żyzne okolice doliny Nilu. Ostatni epizod wilgotniejszy pojawił się na krótko jakieś 4 tys. lat temu. Jedynie w oazach zachowało się stałe osadnictwo, bo tam prócz rzadkich opadów deszczu dochodziła jeszcze woda ze źródeł artezyjskich. Nasze badania w oazach także były owocne. Oazy na Saharze istnieją do dziś, niektóre stały się wręcz miastami, inne są wioskami, mają wywiercone studnie artezyjskie i inne udogodnienia.

Nasze badania zabytków epoki kamienia zaczęły się na początku lat 60. i trwają prawie 60 lat. Nikt tego z początku nie zakładał.

eprasa.pl ae1bac6507

Co możemy powiedzieć o obyczajach dawnych mieszkańców z ostatniego okresu wilgotnego wschodniej Sahary?

– Społeczności łowiecko-zbierackie żyły w strukturach rodzinnych lub poszerzonej rodziny, natomiast nieco późniejsze ludy pasterskie charakteryzowały się strukturą społeczną opartą na układzie hierarchicznym i systemie wodzowskim, szczególnie widocznym w młodszych okresach. Elementy kultu i rozwiniętego ceremoniału pojawiają się już w grupach łowiecko-zbierackich z początkami hodowli i kopieniaczej uprawy ziemi. Najstarsze nasze odkrycie w tym zakresie datuje się na ok. 9 tys. lat temu i jest też najstarszym polem ofiarnym znanym na świecie. To centrum ceremonialne położone na górze o płaskim wierzchołku rozciągającym się na kilku hektarach. Znaleźliśmy tam setki małych kurhaników i bruków kamiennych, pod którymi były wykopane jamy, a w tych jamach – skonstruowane z płytek kamiennych jakby domki z kart. Miały one po kilkadziesiąt centymetrów, były piętrowe. W tych „domkach" składano ofiary. Kurhany były i większe, i zupełnie malutkie, można przypuszczać, że każdym zajmowała się jedna rodzina. Te większe, mające parę metrów średnicy, również z jamami, które drążono w piasku. Tu składano ofiary z upolowanych zwierząt (gazeli) i innych nadających się do spożycia produktów, które nie przetrwały. Miejsce to nazwaliśmy Górą Ofiarną. Jest ono położone na obszarze południowo-wschodniej Sahary, blisko granicy z Sudanem, w sąsiedztwie kopalnego jeziora o nazwie Nabta Playa. Terminem *playa* określane są sezonowe jeziora pustynne, które okresowo wypełniają się wodą.

Mówimy tu o zmianach geomorfologicznych, geologicznych i klimatycznych, jakie zachodziły w ciągu nie tylko tysięcy, ale i milionów lat. A nie były to, jak obserwujemy dzisiaj, zmiany wywołane działalnością człowieka.

– Oczywiście, że nie. Były to naturalne zmiany klimatyczne związane z procesami zachodzącymi wewnątrz skorupy Ziemi, pochyleniem jej osi i zmianami w cyrkulacji atmosfery. Na przykład w paleozoiku zlodowacenia dotarły nawet do północnej Afryki, ale to się działo jeszcze przed pojawieniem się człowieka. Podobnie deszcze monsunowe przesuwały się na północ, a teraz mamy je w okolicach równika. Miliony lat temu pojawił się nasz praprzodek. Badania wskazują np., że ok. 3 mln lat temu pojawił się w Afryce gatunek, który zaliczamy do rodzaju *Homo*. Produkował już narzędzia kamienne o różnych kształtach i przeznaczeniu. My badaliśmy stanowiska archeologiczne dużo późniejsze, sprzed ok. 1 mln, 400 tys., 300 tys., 230-70 tys. lat. I te sprzed 11-4 tys. lat.

Sahara stwarzała dość dogodne warunki do życia. Była tu sawanna drzewiasta, więc zamieszkiwały ją plemiona pasterskie i łowieckie.

Powalone i roztrzaskane menhiry.

Jednak nadciągająca susza powoli przeganiała mieszkańców.

– To nastąpiło już dużo później. Badaliśmy też kurhany ofiarne młodsze od tych, które opisałem, w niższych partiach, na brzegu Nabta Playa, nazwanych przez nas Doliną Ofiarną. Pochodzą one sprzed 7,5 tys. lat, a znajdują się w korycie dawnej rzeki sezonowej (*wadi*) i na jej brzegu. Rzeka ta w okresie opadów wpływała do jeziora Nabta Playa. Tutaj składano duże i mniejsze ofiary. Jeśli chodzi o duże, odkopaliśmy szkielet jałówki złożonej w jamie grobowej przykrytej kamiennym płaszczem kurhanu, były poza tym kości owiec lub kóz, a w jednym wypadku nawet szczątki człowieka. Można się domyślać, po co składano te ofiary. Chodziło zapewne o błagania o deszcz, który wypełniłby koryto rzeki wpływającej do jeziora.

Jak wyglądały kurhany ofiarne?

– Miały kształt stożkowaty. Były zbudowane ze zwałów kamienia. Użyto dość potężnych głazów, które z trudem mogło ruszyć z miejsca dwóch-trzech robotników. Głazy były łamane z piaskowca i układane w stożek nad komorami z jamami ofiarnymi. Ofiary składano dla jakiegoś bóstwa opiekuńczego.

Co jeszcze ze znalezisk ekspedycji, którą pan kierował, świadczyło o kultach religijnych ludzi epoki kamienia?

– Grupy menhirów, czyli steli sprzed 6,5 tys. lat, które odkryliśmy na brzegach Nabta Playa. Społeczności pasterskie, które nazywamy Budowniczymi Menhirów, stawiały płaskie płyty kamienne o kształcie zarysu człowieka. Spotkaliśmy menhiry od małych, o wysokości 50-60 cm, do większych, nawet trzymetrowych. Stały one w dużych grupach. Tego typu antropomorficzne stele znamy z Europy, z północnej Francji. Te afrykańskie prawdopodobnie były wszystkie ustawiane „twarzami" ku północy, czyli ku tej części nieboskłonu, gdzie znajdują się gwiazdy nieznikające z pola widzenia, z Gwiazdą Północną na czele. Można tutaj doszukiwać się podobieństwa

FOT. MAGDALENA WIŚNIEWSKA-KRASIŃSKA/ARCHIWUM FNP, ARCHIWUM ROMUALDA SCHILDA

eprasa.pl ae1bac6507

do obecnych w starożytnym Egipcie wyobrażeń tej części nieba, gdzie miałyby trafiać ludzkie dusze po śmierci. Oczywiście człowiek epoki kamiennej nie zostawiał żadnych zapisków, ale można się doszukiwać analogii z wierzeniami starożytnych Egipcjan, z egipską kosmogonią opisaną w Księdze Piramid. Te kamienne menhiry nie były związane z żadnymi pochówkami, nie składano też przy nich żadnych ofiar. Prawdopodobnie symbolizowały członków klanów, grup społecznych czy rozszerzonych rodzin, którzy odeszli, rozmiary steli zaś miały być może związek z ważnością poszczególnych postaci lub z ich wiekiem.

W jakim stanie były menhiry znalezione przez ekspedycję?

– Zastanawiające dla nas było to, że wszystkie leżały n

a piasku. Zachowało się zaledwie parę stojących monumentów.

Czy zwaliły się same pod własnym ciężarem, czy ktoś je poprzewracał?

– Staraliśmy się to zbadać. Stele zostały częściowo przemieszczone, stawiano je bowiem na wzniesieniach, na niewielkich górkach i byłoby naturalne, gdyby spełzały. Takie pełzanie pustynne może wynikać z różnic temperatury między nocą a dniem. Jednak zbadaliśmy metodą termoluminescencyjną piasek, który był pod menhirami, i okazało się, że od wieku tych płyt dzieli go ok. 2,5 tys. lat! Wszystkie stele pospadały 4 tys. lat temu i to się zdarzyło w tym samym czasie. Termoluminescencyjna metoda badania wieku osadów jest dosyć dokładna, pozwala określić wiek znaleziska z dokładnością do ok. 50 lat. Podobnie precyzyjna jest inna metoda wykorzystywana przez archeologów – radiowęglowa. Szukając sprawcy zdemolowania grup steli, doszliśmy do wniosku, że zrobiła to tzw. Grupa C krótkotrwale osiedlająca się na tym terenie, którą kamienne płyty przypominające ludzi musiały bardzo bulwersować. Uznała to za wrogą ideologię. Ślady jej osadnictwa znajdowaliśmy również nad jeziorem. Były to wojownicze plemiona pasterskie, które wędrowały w pobliżu terenów Nubii, a z Sahary wyprowadziły się ok. 4 tys. lat temu.

Nasze najstarsze znaleziska związane z człowiekiem pochodziły sprzed około miliona lat.

Co później się działo z tymi Budowniczymi Menhirów?

– Zostali zapewne wchłonięci przez społeczność żyjącą w dolinie Nilu. Poza grupami steli pozostawili na brzegach Nabta Playa długie ciągi menhirów, linie wyraźnie nakierowane w stronę obszaru Gwiazdy Północnej i niektórych innych ważnych w mitologii egipskiej gwiazd. Obszar Gwiazdy Północnej, czyli widocznych na niebie gwiazd, „które nigdy nie umierają", tzn. nie znikają z firmamentu, był w starożytnej kosmogonii egipskiej kluczowy, tam bowiem zmierzają dusze wszystkich zmarłych. Od doliny Nilu dzieliła Budowniczych Menhirów odległość ok. 100 km. Tereny były już zamieszkane. Nie wiadomo, czy przybysze dokonali podboju, czy wtopili się w lokalne społeczeństwo. Zapewne mieli ten sam lub podobny język.

Z okresu Budowniczych Menhirów zachował się nad jeziorem Nabta duży kurhan o średnicy ponad 20 m, niestety obrabowany i zniszczony. Jednak rabusie byli chyba religijni, bo wrzucili z powrotem do komory grobowej czaszkę młodego chłopca, który niewątpliwie należał do rodziny wodza plemienia i dziedziczył władzę. Z tego miejsca pochówku rozciągał się widok na całą okolicę. Wygląda na to, że grupy plemienne z późnego neolitu w okresie poprzedzającym pierwsze dynastie królów egipskich miały jakiś wpływ na rozwój wierzeń starożytnego Egiptu, które znamy już dużo lepiej, bo zachowały się przekazy pisemne.

Nad czym obecnie pracują archeolodzy badający zabytki neolityczne w północnej Afryce?

– Obecnie w południowo-wschodniej części Pustyni Zachodniej w Egipcie działają dwie grupy Zjednoczonej Ekspedycji Prehistorycznej. Jedna to grupa prof. Michała Kobusiewicza i dr. Przemysława Bobrowskiego na Berget el-Sheb, górze położonej ok. 20 km na południe od Nabta Playa. Druga, pod kierownictwem prof. Jacka Kabacińskiego, badająca obszar Gebel Ramlah, góry położonej ok. 20 km na północny zachód od Gebel Nabta. Obie związane są z Instytutem Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk. Pierwsza bada kurhany i konstrukcje kamienne pasterzy Budowniczych Menhirów, druga badała cmentarzyska z tego samego okresu, w tym unikatowe cmentarzysko noworodków.

Bronisław Tumiłowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ae1bac6507

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Politykom powiedzieć: sprawdzam

Merytokracja, czyli niemal powszechnie podzielany i akceptowany pogląd, że nasza wiedza, kompetencje, wysiłek i maksymalne wykorzystanie predyspozycji są głównymi mechanizmami awansu społecznego, materialnego, kulturowego – i w konsekwencji naszej pozycji społecznej, sukcesu, w tym finansowego – ma mnóstwo słabych stron. Słusznie też była poddawana krytyce.

Są jednak momenty, kiedy za pewną czytelną regułą merytokratyczną w naszym życiu dobrze jest zatęsknić. Ja czasami tęsknię i niekiedy daję temu wyraz. Mam taką przemożną potrzebę i teraz, kiedy do Polski nadjeżdżają przesyłki ze szczepionką przeciw SARS-CoV-2.

Ale to pragnienie zaczęło się u mnie dużo wcześniej. Podczas którejś kampanii w wyborach na prezydenta Warszawy, przyglądając się kandydującym i ich „programom", słuchając wygłaszanych z absolutną pewnością sądów i przekonań, miałem głębokie poczucie niedosytu. To wrażenie potęgowało się podczas tzw. zmagań o urząd prezydencki w państwie. Debaty, nieliczne, kretyńsko sformatowane (bez możliwości sformułowania spójnego, zrozumiałego i uargumentowanego przesłania), były, są i – jak należy się spodziewać – będą rodzajem karykaturalnego teatrzyku, który służy rozmaitym celom, ale z całą pewnością nie temu, żeby kandydujący mogli się skonfrontować z wieloraką materią politycznych i społecznych wyzwań, żeby mogli do nich odnieść się merytorycznie i osobiście. Żeby musieli napotkać istotną, ale i uczciwą krytykę swoich zamysłów, wizji, konceptów, jeśli w ogóle takie prezentują. *De facto* jest to bardzo rygorystycznie przygotowana procedura konkursowa, będąca jednocześnie całkowitą fikcją. Udaje stosowanie równych reguł, symuluje wymianę poglądów i nie pozwala w żaden sposób ocenić kompetencji kandydatów (a nie kandydatek, bo choć Polskę zamieszkuje większość kobiet i wśród osób lepiej wykształconych też stanowią one większość – to wśród kandydujących jest albo radykalna większość mężczyzn, albo po prostu sami mężczyźni). Można by zresztą sformułować tezę, że system ten jest skonstruowany pod mężczyzn, dla mężczyzn i nagradza mężczyzn, równocześnie znosząc wszystkie reguły, które mogłyby ten porządek (dominację) naruszyć. Nie oznacza to rzecz jasna, że nie istnieją kompetentni mężczyźni albo niekompetentne kobiety. System preferuje jednak niekompetencję.

Ciekawe, że w systemie opresji edukacyjnej, której poddawani jesteśmy wszyscy, wypracowano rygorystyczne metody oceny zdobytej i posiadanej wiedzy poprzez testy, egzaminy, z zachowaniem np. anonimowości (oceniający nie wie, kogo ocenia, dzięki czemu unikamy faworyzowania osobników, którzy na swoją pozycję zapracowali czymś innym niż wiedza lub umiejętności społeczne). Dlaczego te reguły, które dotyczą nas wszystkich w szkołach, w staraniach o pracę (wiem, wiem – złudzenie; najważniejszym czynnikiem są i tak znajomości), znikają, kiedy chodzi o powierzenie ludziom olbrzymiej władzy? Władzy podejmowania istotnych decyzji, organizowania nam życia w niewiarygodnie skomplikowanym systemie odniesień i relacji, w zmieniającym się świecie, w którym oprócz nieznikających problemów i kwestii wciąż pojawiają się kolejne, nierzadko ważniejsze, bardziej fundamentalne (zmiany klimatyczne i ich konsekwencje), co przecież wymaga niezwykłych umiejętności oceniania albo – co bardziej realistyczne – korzystania z pracy zespołów o wysokich kompetencjach. Gdzie i kiedy, skąd i jak nasi politycy mieliby tego się nauczyć? Rytmy zmian, procesów analitycznych, rozwiązywania problemów nie nakładają się na główną regułę funkcjonowania polityczno-partyjnego lewiatana – kadencję, kilkuletni czas od jednych wyborów do drugich. To są ramy, w których działają politycy, a nie świat. Pozwalamy im na to.

Andrzeja, który chce się zaszczepić ostatni, nie szczepmy nigdy. Bo nie.

Czytałem kiedyś, że podczas studiów medycznych w pewnym tzw. wysoko rozwiniętym kraju każdy studiujący nosi przez jakiś czas (głównie podczas zajęć praktycznych w szpitalu) ciężarki obciążające nogi, musi też funkcjonować czas jakiś, mając zasłonięte oczy, kiedy indziej z zatyczkami w uszach. Po co to wszystko? Żeby pobył choć przez chwilę w świecie ograniczeń, których z racji wieku i zdrowia po prostu nie doświadcza – trudności z chodzeniem, wzrokiem, słuchem. Takie ćwiczenie pozwala wejść w świat doznań tych, którym za kilka lat będzie pomagał. Marzę o systemie testów dla polityków na każdym szczeblu. Kandydat na prezydenta miasta? Dwa dni na wózku inwalidzkim i wykonywanie zwykłych obowiązków, podobnie z zasłoniętymi oczyma, pokonanie trasy komunikacyjnej z obciążonym wózkiem dziecięcym (bez żywego dziecka). Obecny prezydent i premier? Test z czytania ze zrozumieniem – np. lektura dokumentu „Nauka przeciw pandemii. Biała księga" (file:///C:/Users/user/Downloads/Nauka-przeciw-pandemii_Biala-Ksiega_2020_12_21.pdf). I konieczność odpowiedzi na 20 pytań na temat tego raportu. Byłby pogrom. Merytokratyczny. Bardzo im i sobie tego życzę. A Andrzeja, który chce się zaszczepić ostatni, nie szczepmy nigdy. Bo nie.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ae1bac6507

Osiem najbardziej emocjonujących osiągnięć naukowych 2020 roku

Anna Brzeska

Może się wydawać, że owładnięty koronawirusem rok 2020 nie był dobrym czasem dla naukowców. Musieli mierzyć się z lockdownem, ograniczeniami uniemożliwiającymi prowadzenie badań czy spotkania – wielu zaś z koniecznością zmiany priorytetów i skupienia się wyłącznie na sprawach okołocovidowych. Część eksperymentów została odsunięta w czasie, spowolniona, a nawet odwołana.

Mimo to nauka nadal się kręci, a i sama pandemia stała się akceleratorem dla niektórych osiągnięć. Co udało się zdziałać w 2020 r.?

1. Najszybsza szczepionka w historii

Choć krótki czas powstania szczepionki przygotowanej przez firmy Pfizer i BioNTech wzbudza obawy i kontrowersje – skupmy się na faktach. Tuż po tym, jak 2 stycznia naukowcy z Wuhan rozszyfrowali pełną

sekwencję genetyczną koronawirusa SARS-CoV-2, niezwłocznie rozpoczęto pracę nad szczepionką. Ponieważ epidemia COVID-19 w ciągu kilku miesięcy stała się pandemią o globalnym zasięgu, walka z nią była priorytetem dla świata medycyny i farmaceutyki.

Szybkie opracowanie szczepionki przeciw koronawirusowi nie byłoby możliwe, gdyby badania nad bezpieczeństwem zastosowanej w niej technologii mRNA nie rozpoczęły się znacznie wcześniej. Już bowiem od co najmniej 2011 r. testuje się ją na ludziach – np. w badaniach nad szczepionkami antynowotworowymi. Jak dotąd naukowcy nie natknęli się na żaden poważny problem, który nakazałby wycofanie się z prac nad tą metodą.

Na czym polega jej innowacyjność? Szczepionka przygotowana z wykorzystaniem mRNA nie zawiera – jak tradycyjne szczepionki – laboratoryjnie wyhodowanego martwego ani żywego wirusa, lecz jedynie jego informacyjne RNA (oznaczone właśnie jako mRNA), umieszczone w kapsułce z nanocząsteczek lipidowych. Gdy ta dostanie się do komórek zaszczepionej osoby, uruchamia proces syntezy wrogiego nam białka koronawirusa. Jego obecność wyzwala odpowiedź naszego układu odpornościowego w podobny sposób, jak w tradycyjnych szczepionkach powoduje to obecność martwego lub żywego wirusa bądź jego fragmentu (jak np. w szczepionce przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu B, której preparat również zawiera tylko jedno z białek wirusa). Zaletą metody z wykorzystaniem mRNA jest jej szybkość – naukowcy, mówiąc wprost, nie muszą hodować wirusa, który w tradycyjnej szczepionce zostałby użyty do produkcji. Fragment wirusa (jedno z jego białek) zostaje bowiem „wyhodowany" przez nasze własne komórki – a następnie unicestwiony przez nasz „uczący się" układ odpornościowy.

Wydaje się, że największe obawy społeczeństwa wzbudza obecność „obcego RNA" w preparacie. Trzeba jednak powiedzieć, że w toku wieloletnich badań nie stwierdzono, aby obce mRNA mogło w jakikolwiek sposób wniknąć do jądra naszych komórek, zawierających ludzkie DNA, i na nie wpłynąć. Wyhodowane w naszych komórkach – na bazie mRNA wirusa – białko jest przez nasz organizm traktowane jak każdy inny obcy patogen.

Co więcej, jeśli chodzi o niezbędne etapy badań nad szczepionką, przyśpieszono je nie poprzez rzekomą rezygnację z ich części, jak sugerują niektórzy, lecz przez skrócenie procedur urzędowych oraz przeprowadzanie różnych faz badań jednocześnie, a nie jedna po drugiej.

2. Enzym rozkładający PET

Ogarnięci pandemicznymi obawami nie możemy zapomnieć o klimacie. Dlatego numerem dwa w ubiegłym roku może być odkrycie

enzymów, które pozwalają na rozkładanie politereftalanu etylenu (PET), używanego przy produkcji jednorazowych butelek – zalewających świat setkami milionów ton – a także odzieży i innych przedmiotów codziennego użytku. Nowo opracowane enzymy rozkładają plastik do prostszych jego składników, dzięki czemu można z nich znów wyprodukować tworzywo, bez konieczności wykorzystywania nowych surowców.

Enzymy opracowali naukowcy z Centre for Enzyme Innovation w Wielkiej Brytanii i National Renewable Energy Laboratory w Kolorado.

3. Sztuczna inteligencja od Google

30 listopada ogłoszono, że jedna z odnóg giganta, zajmująca się sztuczną inteligencją, osiągnęła

eprasa.pl ae1bac6507

przełom w pracach nad swoim algorytmem DeepMind. Potwierdzono, że jego program AlphaFold jest zdolny trafnie określać trójwymiarowy kształt białka na podstawie jego sekwencji aminokwasów. Dlaczego to tak ważne? Białka, z których składają się wszystkie żywe organizmy, to dla biologów wciąż w dużym stopniu zagadka. Działanie danego białka jest bowiem zależne właśnie od jego kształtu – możliwość szybkiego odgadywania struktury, a więc jednocześnie funkcji badanych białek to klucz do zrozumienia setek procesów, które odbywają się w naszym ciele, a także znacznie efektywniejszego niż dotychczas badania struktury białek nieznanych nam patogenów. Możliwość odgadywania funkcji białek przy pomocy sztucznej inteligencji jest milowym krokiem na drodze do znacznie szybszego i skuteczniejszego opracowania nowych leków i terapii.

4. Dinozaur, jakiego jeszcze nie widzieliśmy

Odkrycie kolejnego gatunku wymarłego gada mogłoby się wydawać mało interesujące dla kogoś, kto nie pasjonuje się paleontologią – ale grudniowe znalezisko naukowców z Uniwersytetu w Portsmouth

pokazuje, że i w tej dziedzinie wciąż może nas coś zaskoczyć. W Brazylii znaleziono bowiem dinozaura, który żył mniej więcej 110 mln lat temu i z wyglądu był podobny... No właśnie – zupełnie do niczego. Gad miał wielkość kury, chodził na dwóch nogach, a nad przednimi łapami wyrastało mu coś przypominającego sztywne pręty, długości ok. 15 cm, złożone z keratyny, czyli z tego samego białka, z którego składają się nasze paznokcie i włosy. Prawdopodobnie pełniły one funkcje ozdobno-ostrzegawcze – by zwabić partnerki, a jednocześnie odstraszyć potencjalną konkurencję.

Poza owymi osobliwymi „naramiennikami" dinozaur mógł się pochwalić grzywą na grzbiecie. Zespół naukowców nazwał go *Ubirajara jubatus*, co oznacza „władca włóczni" w języku używanym przez rdzennych mieszkańców Brazylii.

5. Nowy sposób wykrywania choroby Alzheimera

Obecnie diagnostyka choroby Alzheimera jest procesem złożonym i obejmuje wiele różnych badań. Problemy z pamięcią czy codziennym

funkcjonowaniem mogą bowiem wskazywać na różne inne schorzenia, które wiążą się z zespołem otępiennym. Właśnie dlatego, zanim dojdzie do postawienia ostatecznej diagnozy, mijają często miesiące. Tymczasem szybkie wykrycie choroby jest niezwykle istotne, ponieważ – jakkolwiek wciąż jest ona nieuleczalna – dzięki wczesnemu wdrożeniu leczenia można w znaczący sposób wydłużyć życie i okres sprawności chorego.

Ubiegłoroczne wyniki badań naukowców z Uniwersytetu w Lund pozwalają sądzić, że jest możliwe wykrywanie nieprawidłowych, charakterystycznych dla choroby Alzheimera białek (oznaczanych jako p-tau217) poprzez testy krwi – i to już na bardzo wczesnym jej etapie, nawet 20 lat przed pojawieniem się objawów.

Aby zoptymalizować test do powszechnego zastosowania, potrzeba dalszych prac, ale osiągnięcia z 2020 r. naukowcy określają jako bardzo obiecujące. Wykrywanie nieprawidłowych białek poprzez badanie krwi będzie znacznie tańszym i szybszym sposobem niż stosowane obecnie badanie PET (tomografia pozytonowa) czy pobieranie próbki płynu rdzeniowego poprzez punkcję lędźwiową.

6. Woda na planecie karłowatej Ceres – i nie tylko

Naukowcy już od kilku dekad mieli mocne podstawy, by sądzić, że w pasie planetoid między Marsem a Jowiszem znajduje się woda. W ubiegłym roku, dzięki danym zebranym przez sondę Dawn, udało się z całą pewnością potwierdzić jej istnienie na Ceres – planecie karłowatej o średnicy 950 km, będącej największą ze wszystkich planetoid pasa.

Istnienie podpowierzchniowego oceanu podejrzewano już wcześniej, ale zdjęcia tajemniczych świetlnych plam zrobione przez sondę kilka lat temu – do złudzenia przypominające zdjęcia satelitarne ziemskich miast – wzbudziły niemało emocji wśród fanów kosmicznych nowinek. Jednak stojący twardo – *nomen omen* – na ziemi badacze już wtedy sądzili, że jasne, „świecące" plamy na Ceres to blask odbity od płatów lodu lub soli na jej powierzchni.

I rzeczywiście. Dane z sondy Dawn przeanalizowane w 2020 r. potwierdziły, że chodzi o skorupy węglanu sodu, którego źródłem jest ogromny, podpowierzchniowy ocean. To kolejny dowód, że na Ceres – podobnie zresztą jak na Marsie – może istnieć

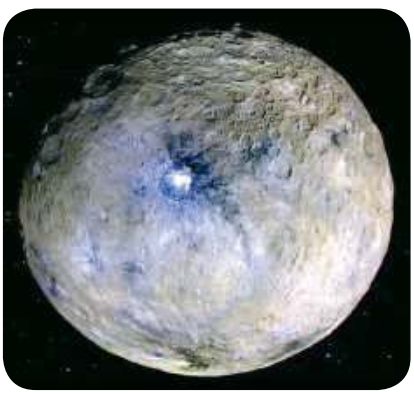

życie. Obecność słonej wody pod czapą lodowca w okolicy południowego bieguna Czerwonej Planety stwierdzono w sierpniu.

W październiku naukowcy dokonali też innego wodnego odkrycia – na Księżycu, a dokładnie w kraterze Clavius, znajdującym się na oświetlonej przez Słońce stronie naszego satelity. Wcześniej sądzono, że

FOT. NASA, EASTNEWS, ADOBESTOCK (3), PIXABAY, GOOGLE, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ae1bac6507

woda może się znajdować jedynie w zacienionych obszarach Srebrnego Globu.

Ciekawostką jest metoda fotografowania Księżyca. Tak dokładne jego zdjęcia były możliwe dzięki umieszczeniu teleskopu na samolocie Boeing 747SP, który wznosi się ponad najgęstsze warstwy ziemskiej atmosfery. Pozwala to na uzyskanie znacznie ostrzejszych obrazów kosmicznych obiektów.

7. Miniwątroby wyhodowane z ludzkich komórek

W czerwcu naukowcy z medycznego uniwersytetu w Pittsburghu

ogłosili, że korzystając z komórek skóry ochotników, stworzyli w pełni funkcjonalne miniwątroby, które następnie przeszczepili szczurom.

Narządy powstałe w laboratorium przeżyły cztery dni w szczurzych organizmach. Badania wykazały jednak, że prawidłowo wydzielały kwasy żółciowe i mocznik – a więc działały podobnie jak naturalnie rozwinięta wątroba. I chociaż jej dojrzewanie w organizmie trwa około dwóch lat, amerykańskim naukowcom udało się wyhodować mininarządy w niecały miesiąc.

Rzecz jasna, od tego eksperymentu do realnego zastosowania laboratoryjnych organów w transplantologii musi minąć jeszcze sporo czasu, lecz naukowcy mają już przynajmniej dowód, że wątroba z probówki może działać w żywym organizmie. Daje to nadzieję na rozwiązanie w przyszłości problemu długiego oczekiwania pacjentów na przeszczep.

8. Terapia genowa dla chorych na anemię sierpowatą

Innowacyjną technikę naprawy genów przetestowali m.in. naukowcy w Boston's Children Hospital – u pacjentów z anemią sierpowatą. To dziedziczna choroba powodująca uszkodzenie genu odpowiedzialnego za produkcję hemoglobiny. Prowadzi do deformacji czerwonych krwinek

– co skutkuje anemią, uszkodzeniem narządów i ogromnym bólem. Dzięki terapii genowej udało się przywrócić prawidłowe działanie genów u ośmiorga pacjentów.

Podobne sukcesy w leczeniu anemii sierpowatej raportowały w ubiegłym roku grupy badawcze w innych ośrodkach, stosujące technikę edycji genów, oznaczaną jako CRISPR/Cas9.

Osiągnięcia te są znaczące nie tylko dla chorych na anemię sierpowatą. Eksperci uważają, że za pomocą nowo opracowanych terapii genowych będzie można w przyszłości wyleczyć wiele chorób genetycznych, takich jak hemofilia, genetyczne niedobory odporności czy niektóre nowotwory.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

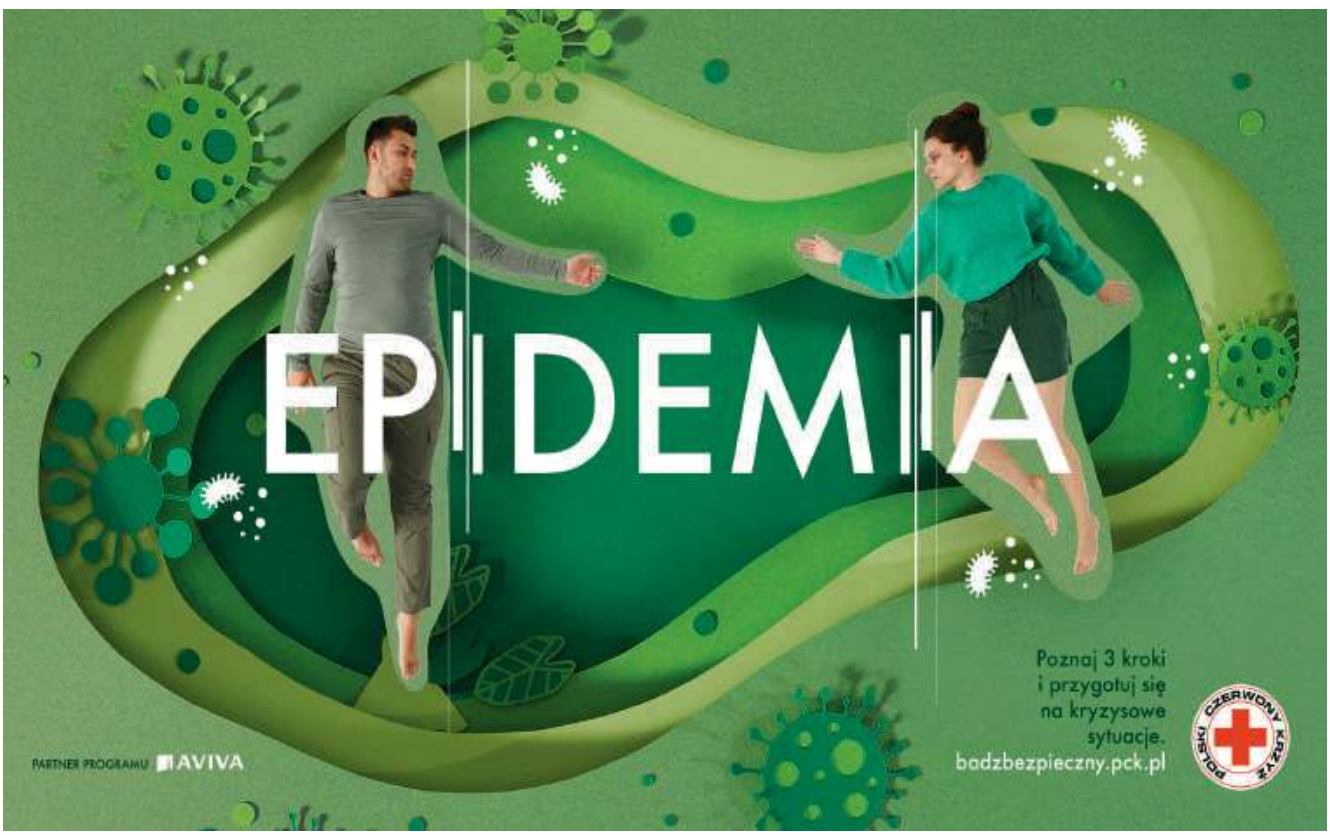

eprasa.pl ae1bac6507

Oko w oko Tomasz Jastrun

Garść słów

Wigilia u przyjaciół. Wspominamy dawną wspólną wigilię, jestem pewien, że spędzaliśmy ją kilka lat temu. A okazuje się, że minęło lat 20. Za następne 20 będę miał 90 lat, jeśli jeszcze będę. Być tak długo to nie jest rozsądne ani humanitarne. W pierwszy dzień świąt u rodziny żony. Ciocia Danusia w dobrej formie, za to jej brat nie widzi, nie słyszy, ale zajadły pisowiec. Jak się nie widzi, nie słyszy, to rozumiem, że można kochać „Prawo i Sprawiedliwość". Ciocia Danusia ma skrajnie odmienne poglądy na politykę. Ma wielką ochotę oglądać nowy serial o Agnieszce Osieckiej, problem, że on na pierwszym programie TVP. Jak wejść w coś tak obrzydliwego? Dobrze to oddaje stan naszych emocji.

•

Jak zmieni świat pandemia? Oczywiście tego nie wiemy, to się ułoży jakoś inaczej, niż oczekują ci, którzy odważają się przewidywać przyszłość. Zawsze jest inaczej. Są trzy opinie, każda może być prawdziwa. To zmiana rewolucyjna, będzie bardzo inaczej. Drugi pogląd: sporo się zmieni. I trzeci: nic się nie zmieni. Jedno pewne – świat wyskoczył z kolein, którymi jechał w wielkim pędzie, zagarniając co się da, więcej pieniędzy, jedzenia, przyjemności. Ale czy w te koleiny nie wskoczy na powrót?

Ludzie mniej się spotykają, prawie wcale się nie spotykają, to pogłębi problem naszej cywilizacji, a jest nim zanik bezpośrednich kontaktów, brak spotkania w cztery oczy z innym człowiekiem. A przecież jesteśmy zwierzętami stadnymi, izolowanie się nie jest bezkarne dla naszej psychiki. Epidemia depresji musi mieć związek z zanikiem życia stadnego, wielopokoleniowych rodzin. I jest lęk. Strasznie żyć w lęku. Wirus niewidoczny, przenosi się tajemnymi drogami, krąży w powietrzu, osadza się na przedmiotach. A efekty pandemii zagrażają podstawom naszego bytu, firmy bankrutują, ludzie tracą pracę lub im to grozi. Utrata pracy obok rozwodu i śmierci kogoś bliskiego należy do najbardziej traumatycznych doświadczeń. Większość ludzi do tej pory funkcjonowała wedle wyznaczonych reguł gry, zdawało się nam, że panujemy nad rzeczywistością. Poczucie bezpieczeństwa to jedno z najważniejszych ludzkich złudzeń, bez tego życie staje się udręką.

•

Kolejni znajomi się rozwodzą, inni właśnie się pobierają. Myśląc o instytucji małżeństwa – jak często to, co miało być podporą, staje się dybami.

•

U stomatolożki, bo ukruszył mi się kawałek zęba, tak, już się kruszę w różnych miejscach. Widujemy się raz na rok, to komplement dla moich zębów. Potem sesja zdjęciowa. Bardzo mi się nie chciało i marudziłem, trzeba było jeszcze brać jakieś ubrania i się przebierać. Pozowanie do portretu ma ciekawy aspekt psychologiczny, zakładanie i zdejmowanie masek, robienie min i gąb. Mizdrzenie się. Nie ma jednej prawdy na temat naszej twarzy, są liczne jej warianty. A prawda nie zawsze jest piękna, irytuje to szczególnie kobiety, więc chcą kłamstwa. Widać to świetnie na Facebooku, jakie zdjęcia są na profilu – sprzed lat i zwykle wyidealizowane. Mądrzę się, a sam mam takie dawne i wylizane. Napisałem i od razu je zmieniam na bardziej aktualne.

•

Po kilku latach ponownie czytam dzienniki pisarki Anny Kowalskiej. Utalentowanej, ale znanej głównie z tego, że była przyjaciółką Marii Dąbrowskiej. I to był dramat jej życia, rola tej mniej znanej, uwikłanie miłosne, biseksualność. Dąbrowska spijała z niej wszystkie soki, była pająkiem, a Kowalska muchą. Piekielnie inteligentna, cenił jej mądrość Miłosz. Obie pisały dzienniki, oba świetne. Nowy wymiar ich związkowi daje wydana dopiero co książka Sylwii Chwedorczuk „Kowalska. Ta od Dąbrowskiej", w niej wiele cytatów z setek ich listów, niektóre bardzo namiętne. Miłosz tak kiedyś napisał o Dąbrowskiej: „Ten trochę zezowaty karzełek, z grzywką przyciętą na pacholę, był dla mnie ostatnią istotą, do której mógłbym zwracać erotyczne zapały". Tak, Dąbrowska nie była urodziwa, ale była prawdziwą pięknością przy Annie Kowalskiej. Listy i dzienniki pisarek czasami zmuszają nas, by wyobrazić sobie, jak uprawiają seks. Nie jest to łatwe zadanie dla wyobraźni. Dokładam sobie jeszcze fragmenty dziennika mojego ojca, gdzie wspomina spotkania z pisarkami. A one z kolei piszą co jakiś czas o nim. Obraz ma zatem kilka wymiarów. Odwiedziłem z rodzicami pisarki w Komorowie, pamiętam tylko tulipany w ogrodzie i małego, chyba białego psa Dyla. A w finale myśl typowa dla depresyjnego osobnika, jakim jestem: wszystko to marność nad marnościami, tyle było emocji, namiętności, tyle życia, a potem zostaje garść słów, o ileż jednak więcej niż po większości ludzi.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ae1bac6507

Sztuka w blasku pieniędzy

Rynek sztuki w PRL nie doczekał się opracowania. Nikt nie spisał historii, nie zbadał archiwów

JANUSZ MILISZKIEWICZ
– publicysta, znawca rynku sztuki

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Artyści lubią narzekać na swój los. W pandemii jest im jednak wyjątkowo trudno. Ale czy kiedyś było łatwo? Na przykład za PRL?

– W PRL nie było wolnego rynku, nie było aukcji sztuki. Był monopol państwa. Ceny prac plastycznych ustalano arbitralnie na niskim poziomie. Przedsiębiorstwo państwowe DESA handlowało głównie dziełami sztuki dawnej. Sztuka nowa w jej galeriach pojawiła się dopiero po 1980 r. Do 1989 r. ceny były spłaszczone na skutek arbitralnej decyzji politycznej. Chodziło o to, by ceny dóbr uważanych za luksusowe nie drażniły klasy robotniczej.

Rynek sztuki zawsze był u nas zacofany w porównaniu z Europą.

Ceny obrazów i antyków w Polsce były szokująco niższe od porównywalnych dzieł w Europie. Jednak bulwersowały ludzi.

– Na początku lat 80. byłem świadkiem awantury. W Warszawie obok Ministerstwa Kultury działała państwowa Galeria Art. W oknie wystawowym wisiał obraz Eugeniusza Eibischa z podaną ceną. Przed wystawą zatrzymała się grupa dostatnio ubranych osób. Mężczyzna zobaczył, że cena obrazu jest wyższa od urzędowej ceny poloneza. Dostał szału! Wrzeszczał: jak takie coś może tyle kosztować?!

A jak artyści czuli się w tym systemie? Czy ich twórczość była komuś potrzebna?

– Jeśli się zakręcili wokół swojej kariery, upolitycznili ją, to mieli dostęp do państwowych galerii sztuki, zresztą innych nie było. Wystawa np. w Zachęcie świadczyła o wysokiej pozycji, nie tylko artystycznej, ale także politycznej danego twórcy. Mieczysław Ptaśnik, w latach 1977-1989 dyrektor tej narodowej galerii, wspominał w dziennikach, że na niektórych wernisażach zdarzało się oglądać w szatni na półkach ze 40 generalskich czapek. To może dawać pojęcie, jaką rangę polityczną miała sztuka. Jako pierwszy dziennikarz streściłem w 2004 r. w dodatku „Rzeczpospolitej" „Plus Minus" fragmenty szczerych aż do bólu rękopiśmiennych dzienników Ptaśnika. Świadczą one o tym, jak upolityczniona była sztuka, jak cenzurowano wystawy. Posłuszni artyści mieli zapewnione zakupy muzealne swoich prac, dostawali pracownie, paszporty. Mieli etaty na uczelniach. Zapraszani byli na międzynarodowe plenery do bratnich krajów socjalistycznych.

Starali się, żeby cały ich dorobek trafił do któregoś z muzeów, nawet jeszcze za ich życia. Uważali, że dzięki temu staną się nieśmiertelni.

– Praktyka pokazała, że to wolny rynek najlepiej rozsławia artystę, utrwala jego nazwisko w świadomości społecznej. W 2019 r. odbyło się 330 aukcji, przed każdą była wystawa. Drukowano katalogi, oferty aukcyjne krążyły w internecie. Na rynku artysta żyje. W muzeum jego obrazy wiszą w magazynie.

Kto i jak wyceniał współczesną sztukę?

– O cenie nie decydowały popyt ani podaż. Cena miała charakter uznaniowy. Przy mnie w państwowych galeriach wielokrotnie spisywano umowy komisu. Współczesny artysta oddawał do komisowej sprzedaży swoje prace. Cena prac docenta lub profesora musiała być istotnie wyższa niż prac magistra sztuki. Nawet gdy obrazy magistra były rozchwytywane przez klientów, a prac docenta nikt nie chciał… Tak było na rynku. Natomiast w państwowych rozliczeniach z artystami nie było zróżnicowanych honorariów, panowała urawniłowka. Wybitny plakacista Franciszek Starowieyski nagradzany był w świecie. Skarżył mi się, że dostaje za plakat tyle samo, co byle miernota.

Kryteria wycen były absurdalne, pozarynkowe.

– Dziwię się, że tak ciekawy temat jak funkcjonowanie rynku sztuki w PRL nie doczekał się opracowania. Nikt nie spisał historii, nie zbadał archiwów. Odchodzą ostatni świadkowie wydarzeń. Niedawno na Nowym Świecie w Warszawie zlikwidowano

eprasa.pl ae1bac6507

restaurację. Firma zabrała ze sobą szyld. Okazało się, że pod nim widnieje wykuty w kamieniu napis: „Galeria Nowy Świat 1952". Tę prestiżową galerię zlikwidowano pod koniec lat 90. Znam jej likwidatora. Zwróciłem się do niego, żeby podał dokładną datę zamknięcia galerii. Nie pamiętał… Inni uczestnicy zdarzeń też nie pamiętają.

Wszystko jednak zmieniło się po transformacji.

– Nie od razu! To był proces. 1 kwietnia 1989 r. weszła w życie liberalna ustawa o działalności gospodarczej, powstały prywatne galerie. Najpierw trzeba było urealnić ceny sztuki. Podstawą całego rynku w PRL był czarnorynkowy przelicznik dolara. W dolarach nieoficjalnie określano wartość różnych towarów. Jeszcze w 1989 r. w pracowni klasyka powojennego malarstwa można było kupić jego świetny obraz za 100-200 dol. Na tle świata były to żałosne ceny.

Mirosław Zeidler z Gdańskiego Kantoru Sztuki jako pierwszy próbował urealnić ceny. 1 kwietnia 1990 r. zorganizował aukcję sztuki współczesnej w hotelu Marriott. Nadał temu wydarzeniu wielką rangę. W ofercie były prace np. Andrzeja Wajdy, Güntera Grassa i partytura Krzysztofa Pendereckiego, przypominająca grafikę. Były dzieła Jerzego Dudy-Gracza, Kiejstuta Bereźnickiego, Jerzego Skarżyńskiego, Tadeusza Dominika.

Padły rekordowe ceny sprzedaży, o których radio i telewizja na bieżąco informowały w sensacyjnych doniesieniach.

– To była niedziela, galerie Desy były zamknięte. Widziałem wieczorem, jak pracownik Desy zmieniał w oknie wystawowym cenę obrazu Dudy-Gracza na sensacyjnie wysoką, jak na aukcji… Zapukałem w szybę, pogadałem z nim. Specjalnie przyjechał z domu, żeby urealnić cenę na wystawie. Nazajutrz po aukcji we „Frankfurter Allgemeine Zeitung" doniesiono o nowych, wysokich cenach polskiej sztuki współczesnej. Nowe ceny poszły w świat. Dzięki temu Zeidler w pertraktacjach z zachodnimi galeriami mógł być ich partnerem. Nie oznacza to, że w Polsce współczesna sztuka automatycznie weszła na aukcje i zaczęły obowiązywać rekordowe ceny. Na aukcjach do końca lat 90. handlowano prawie wyłącznie dawną sztuką.

Ceny dawnej polskiej sztuki urealnili dwaj legendarni biznesmeni, Bagsik i Gąsiorowski, którzy ostatecznie uciekli z kraju.

– Licytowali dawną sztukę. Przepłacali. Dzięki temu obrazy z prywatnych domów wyszły na rynek, bo nareszcie opłacało się je sprzedać. W 1993 r. pod jednym z domów aukcyjnych spotkałem staruszkę. Bagażówką przywiozła na sprzedaż świetny obraz Jacka Malczewskiego. Pracownicy antykwariatu nieśli obraz, a starsza pani tłumaczyła komuś, że to pamiątka rodzinna. Spontanicznie wyraziłem żal, że musi pozbyć się pamiątki. Pani odpowiedziała mi, że w latach 60. proponowano jej za ten obraz tyle, że mogła sobie za niego kupić komara, motorower. W latach 70. po sprzedaży ledwie by jej starczyło na fiata 126p. Teraz po sprzedaży zamierza kupić mieszkanie dla wnuka i domek dla wnuczki.

Do 2000 r. na aukcjach handlowano prawie wyłącznie sztuką dawną.

– Powojenna sztuka długo nie miała wstępu na krajowe aukcje. Andrzej Starmach najpierw wprowadził na aukcje obrazy Jerzego Nowosielskiego. W listopadzie 2000 r. po raz pierwszy na aukcji obraz powojennego malarza sprzedano za 100 tys. zł. Było to dzieło Nowosielskiego. Starmach za swoje pieniądze w 2003 r. zorganizował w Zachęcie monograficzną wystawę Nowosielskiego, wydał gigantyczny katalog-album. To umocniło zainteresowanie tym artystą.

Kupowanie obrazu do domu stało się tak oczywiste jak kupno telewizora.

Na krajowym rynku polskie dzieła pochodzą głównie z importu.

– Obrazy powojennych polskich artystów, które w czasach PRL wyeksportowano, po 1989 r. wróciły do kraju. W świecie nie mają rynkowej pozycji, nie budzą zainteresowania tamtejszych miłośników sztuki. W kraju popyt zawsze przewyższa podaż. Importowane są dzieła np. Władysława Hasiora, Zdzisława Beksińskiego, Tadeusza Kantora.

Kto kupował obrazy w czasach PRL?

– Ci, którzy mieli nadwyżki finansowe, czyli przede wszystkim bogaci ogrodnicy, w oficjalnej nomenklaturze pogardliwie nazywani badylarzami. Ale nie tylko oni. Po 1970 r. za Gierka przeżywał prosperity przemysł na Śląsku. Górnicy byli finansowo uprzywilejowani, mieli specjalne sklepy w typie Pewexu, kupowali też obrazy Kossaków. Mniej więcej 20 lat temu antykwariusze skarżyli mi się, że Śląsk zalała powódź falsyfikatów Wojciecha i Jerzego Kossaków. To rodziny górników próbowały spieniężyć obrazy kupione za Gierka. Okazało się, że najczęściej były to falsyfikaty.

Panuje opinia, że dziś krajowy rynek sztuki jest słabo rozwinięty, bo w czasach PRL nie było wolnego rynku.

– Posłużę się opinią naszego najwybitniejszego marszanda, wspomnianego Andrzeja Starmacha,

Popularne na aukcjach sztuki PRL figurki z Ćmielowa.

eprasa.pl ae1bac6507

Wystawa prac Franciszka Starowieyskiego na zamku w Reszlu, 1987 r..

który co roku bierze udział w targach Art Basel w Bazylei. Tam jest bardzo ostra selekcja. Starmach wystawia dzieła np. Magdaleny Abakanowicz, Henryka Stażewskiego, Edwarda Krasińskiego. W kraju ma monopol na Nowosielskiego. W jednym z wywiadów powiedział mi, że nawet gdyby nie było PRL, krajowy rynek nie wyglądałby tak jak światowy. Zdaniem Starmacha jesteśmy odporni na sztukę. Żyjemy mitem, że wszystkie cenne dzieła zrabowali nam okupanci. Warto poczytać „Zbiory polskie" Edwarda Chwalewika i obejrzeć tysiące archiwalnych fotografii w „Dziejach rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej" Romana Aftanazego. Okazuje się, że w polskich domach ziemiańskich nie było sztuki. Były ryngrafy z Matką Boską, biała broń. Jeśli były obrazy, to o treści religijnej lub marne portrety przodków. Nie było sztuki dla sztuki!

Nie było w Polsce prawdziwego mieszczaństwa, a to mieszczańskie rodziny w innych krajach z pokolenia na pokolenie gromadziły obrazy i piękne przedmioty codziennego użytku. Na Zachodzie sztuka była w każdym mieszczańskim domu.

My też mieliśmy kolekcjonerów, np. Raczyńskiego w Poznaniu.

– Raczyński w Poznaniu kolekcjonował europejskie malarstwo. Te obrazy były anachroniczne, już kiedy je kupował. Dlaczego nie kupował młodych francuskich artystów, którzy niedługo uznani zostali za geniuszy sztuki? Rynek sztuki zawsze był u nas zacofany w porównaniu z Europą. Historyk sztuki Konrad Niemira pisze o słabiutkim rynku za czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego. Warto zajrzeć do „Almanachu Warszawy", tom 12. Przed II wojną też prawie nie było rynku i nie można za to winić zaborców.

Nie chcieliśmy mieć wybitnych dzieł w swoich zbiorach?

– Na to wychodzi. Byli kolekcjonerzy, którym udawało się zgromadzić dzieła wartościowe w skali świata. Takim był Henryk Grohman, którzy stworzył zbiór wybitnej grafiki europejskiej. Kolekcję podarował Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Feliks Jasieński stworzył światowej klasy zbiór sztuki japońskiej. Chciał kolekcję podarować Warszawie. Ostatecznie przekazał ją do Krakowa, bo w stolicy została wrogo przyjęta.

Najwybitniejszą polską kolekcję stworzyła pisarka Gabriela Zapolska. Miała dzieła np. van Gogha, Gauguina, Pissarra i innych. Zorganizowała wystawy swoich zbiorów w Krakowie i Lwowie. Nasza kołtuneria wrogo przyjęła wystawy. Zapolska sprzedała dzieła marszandowi z Paryża.

Wystawa np. w Zachęcie świadczyła o wysokiej pozycji, nie tylko artystycznej, ale i politycznej twórcy.

Popatrzmy na ceny, jakie dziś osiągają współczesne dzieła na aukcjach. Obraz Fangora sprzedano ostatnio za 7,3 mln zł.

– Jeszcze około roku 2000 dzieła Fangora nie miały wysokich cen. Obrazy artysty weszły na aukcje koło roku 2010. To przede wszystkim koła pulsujące kolorami. Inne obrazy tego malarza są istotnie tańsze. DESA Unicum od kilku lat z powodzeniem wprowadza na polski rynek abstrakcyjne obrazy europejskich klasyków, takich jak Victor Vasarely. To też świadectwo zmian. O sukcesach rynku informuje coroczny, bogato ilustrowany „Raport" portalu Artinfo.pl.

Młode malarstwo dzięki aukcjom zbłądziło pod strzechy.

– W 2008 r. po globalnym krachu finansowym nasz rynek sztuki ostro przyhamował. Wprowadzono wtedy aukcje młodej sztuki, gdzie wszystkie ceny wywoławcze wynosiły 500 zł. Niska cena miała być zachętą dla kupujących. Ten eksperyment odniósł wielki sukces. W 2019 r. ponad 40% wszystkich dzieł sprzedanych na krajowych aukcjach to była młoda sztuka. Dziś średnia cena sprzedaży na tych aukcjach wynosi ok. 1,9 tys. zł. Dzięki względnie niskiej cenie sztuka jest dostępna. Kupowanie obrazu do domu stało się tak oczywiste jak kupno telewizora… Polacy oswoili się ze sztuką dzięki rynkowi, a nie dzięki muzeom, gdzie frekwencja nie jest najwyższa.

Wchodzi na aukcje sztuka użytkowa z czasów PRL.

– Najpierw licytowano przede wszystkim porcelanowe figurki z Ćmielowa, zaprojektowane przez artystów z kręgu Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Później przebojami stały się np. szkła Zbigniewa Horbowego. Niestety, nadal zdarza się, że prace nawet wybitnych projektantów są lekceważone przez ich właścicieli i lądują na śmietniku. Dotyczy to przede wszystkim mebli ze spółdzielni Ład.

Bronisław Tumiłowicz
b.tumiłowicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM JANUSZA MILISZKIEWICZA, PAP/RAFAŁ GUZ, ZENON ZYBURTOWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl ae1bac6507

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Przedatowani

Kiedy moja Żona wstaje z łóżka lewą nogą, a jest to wedle aktualnych badań naukowców, z którymi jestem zgodny, najpiękniejsza lewa noga świata, skądinąd w niczym nieustępująca prawej, uginam się pod ciężarem ambiwalencji, albowiem widzę piękno kasandryczne. W najlepszym razie skończy się na porannym utyskiwaniu. Dziś np., jak to w noworoczny poranek, poszło o czas, a mianowicie jego wektor wanitatywny – oto bowiem, choć nikomu nie żal słusznie minionego roku pandemicznego, nowy wszakże przybliżył nas do utraty ważności. Oto więc moja Żona przy porannej kawie z tostem włącza Radio Pogoda, ustawione co prawda przez nianię naszego brzdąca, ale niezmieniane przez nas, bo najczęściej spośród wszystkich radiostacji puszczające piosenki Agnieszki Osieckiej. Widząc, jak mi wpada w ucho song sprzed półwiecza, uświadamia mnie: „A wiesz, że to jest radio dla emerytów?”. I ciągnie temat, a nawet rozciąga go nieco nad miarę, narzekając, że w dawnych czasach mielibyśmy za sobą już trzy czwarte życia, a teraz nie wiadomo, ile człowiek jeszcze będzie musiał się męczyć. Jesteśmy już starzy, powiada, wszystko zatem, co przed nami, to nie życie, lecz starość, niechciane i źle napisane posłowie do powieści. Przypominam mojej Żonie, że mamy pięcioletnie dziecko i przez kilkanaście lat jeszcze powinniśmy dla dobra jego psychiki udawać młodych rodziców. Ale robak acedii już się we mnie wgryzł, już drąży korytarze w duszy.

Z Pogody nadlatuje Julio Iglesias i jakiś jego przebój z wczesnych ejtisów, kolejna piosenka mojego dzieciństwa; wyrastałem w takiej audiosferze, te kawałki mi się zaszyły w zaułkach magazynów pamięci, przylgnęły do nich także resztki innych wspomnień. Kiedy to słyszałem po raz pierwszy? Świeżo po stanie wojennym, stoję z ojcem w kolejce do wyciągu narciarskiego w podhalańskiej wsi. Stoi się długo, a zjeżdża krótko, więc jestem przemarznięty, ale znajomy góral zauważa nas i mruga, żebyśmy przeszli do pustego wejścia dla górników – tak, tak, górnicy mają przywileje – idziemy zatem w stronę orczyka, odprowadzani nienawistnymi spojrzeniami ludności niekopalnianej. Widzę, że góral dolewa sobie z termosu herbaty do kubka, częstuje ojca – pytam, czy też mogę się napić, bo mi zimno, ojciec tłumaczy, że nie, bo to jest herbata dla dorosłych. My udajemy górników, alkohol udaje herbatę, żyjemy w kraju, który do końca dekady będzie udawał demokrację – czy czegoś nie rozumiem?

Iglesias w radiu wybrzmiał, Żona odjechała z synkiem do przedszkola, chcę się zabrać do pisania, ale dostaję SMS od kumpla z liceum. Nagle przyszło do głowy, że przed sylwestrem 90/91 upili nas Bagsik i Gąsiorowski, przyszli aferzyści, naonczas nocujący przejazdem w chałupie znajomej góralki, w którejśmy spędzali młodzieńcze bachanalia. Próbujemy odtwarzać fakty – jeden był duży, drugi mały, blondyn i brunet, mieli swoich kierowców i bulgotali przy wódce, jak to spełniają marzenia, bo mogą rozdeptywać pomarańcze na ulicach ciepłych krajów. Częstowali nas jakimś drogim trunkiem i euforycznym mentalem nuworyszy; pamiętam jeszcze, że kumpel zasnął z krzesłem na głowie, a ja nazajutrz miałem takiego kaca, że wypijałem wodę z każdego jeziora podziemnego podczas akcji jaskiniowej. „To było 30 lat temu, ja prdl…”, wstukuję SMS, a kumpel chyba się obraża, bo nie odpisuje, osiągnęliśmy wiek, w którym nie powinno się z nadmiernym pietyzmem pochylać nad osią czasu.

Wracam do roboty, miałem spisać doroczną dziesiątkę ulubionych filmów; pandemiczne wykluczenie kinomanów jednak zawęziło horyzonty, sprawdzam topteny znanych krytyków, u większości nie ma ani jednego z moich faworytów – czyli jak zwykle – ale u jednego ze znajomych widzę niemal na samym czubie jeszcze ciepłą premierę Netfliksa, rodzimy komediohorror. Sprawdzam, oglądam do końca z wielkim wysiłkiem i jeszcze większym niesmakiem, to jest tandetna podróba czegoś w rodzaju „This is the end” Setha Rogena i jego paczki, który sam w sobie był w zamierzenie złym guście – rodzaj kina, który można określić jako *apocalyptic teen sex comedy*. Krytyk broni tego polskiego gniota, tłumacząc, że oglądał go na pokazie testowym wśród zanoszących się śmiechem nastolatków, i sadzi dyrdymały o świetnym scenariuszu, wspaniałej roli żeńskiej etc.

Zapadam się w trzęsawisku starości, moja Żona miała rację, jesteśmy przedatowani, odklejamy się, bezradniejemy cyfrowo, zamykamy się w swoich bańkach ze starymi kawałkami sączonymi przez radio dla emerytów, z papierowymi książkami, do których musimy zmieniać okulary, z niemym kinem, które po latach wydaje się skrojone na naszą miarę. Wieczorem zasiadamy przed kolejnym odcinkiem serialu o Osieckiej i choć oglądamy go bez zachwytów (może poza Elizą Rycembel, która aktorsko przerasta o kilka długości wszystkich swoich rówieśników), do głowy nam by nie przyszło, że największym problemem widowni okaże się niezrozumiały kontekst historyczny. „To nie jest serial dla młodych ludzi”, pisze recenzent „Gazety Wyborczej”, „Ci, którzy nie pamiętają PRL-u, szybko się w nim pogubią”. „Chodźmy już lepiej spać, starenia”, mówię do Żony, cytując serialowego Cybulskiego, a ona patrzy na mnie wzrokiem Marleny Dietrich, której Zbyszek tym zwrotem niechcący złamał przed laty serce.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ae1bac6507

Wychowany na Lemie

Świat stworzony przez Cixin Liu ma to coś, co decyduje, że science fiction zmienia się w literaturę z najwyższej półki

Tomasz Borejza

Film „Wędrująca Ziemia" (2019), oparty na jednym z opowiadań, to druga najbardziej kasowa produkcja w historii chińskiego kina.

W Europie przyzwyczailiśmy się myśleć o wojnie jak o abstrakcji. W Chinach jest inaczej. By się zorientować, jak bardzo konflikt z Zachodem jest obecny w ich kulturze, wystarczy poczytać gwiazdę światowej fantastyki naukowej – Cixin Liu. Jego książki na świecie sprzedają się w milionowych nakładach, a w ojczyźnie są już lekturami szkolnymi. Powtarzającym się motywem jest w nich wojna. Wygrywa zaś w niej prawie zawsze ten, kto ma przewagę technologiczną.

Cixin Liu przez dużą część życia pracował jako inżynier w elektrowni wodnej. Robił to jeszcze długo po wydaniu pierwszych książek, które przyniosły mu sławę i pieniądze w Chinach. Pracę rzucił, dopiero kiedy przyszły sukcesy za granicą. I to nie od razu. Najbardziej znane dzieło Chińczyka to trylogia „Wspomnienie o przeszłości ziemi". Za jej pierwszy tom, „Problem trzech ciał", otrzymał nagrodę Hugo. To najbardziej prestiżowe wyróżnienie, na jakie może liczyć autor literatury *science fiction.* Był pierwszym Azjatą, któremu udało się je zdobyć. Książka została też nagrodzona Nebulą. Trylogia przyciągnęła miliony czytelników na całym świecie. Fani i krytycy stawiają ją na równi z takimi pozycjami jak „Diuna" Franka Herberta oraz „Fundacja" Isaaca Asimova. Na przykład „London Review of Books" uznał ją za „jedną z najbardziej ambitnych książek *science fiction,* jakie kiedykolwiek napisano". Moim zdaniem słusznie. W opowieści stworzonej przez Cixin Liu nie tylko wciąga fabuła, ma ona również to coś, co decyduje, że *science fiction* z czytadeł dla dzieci zmienia się w literaturę z najwyższej półki – mądre, filozoficzne spojrzenie na świat i możliwą przyszłość, które każą inaczej spojrzeć na teraźniejszość.

To coś, co potrafił robić także Stanisław Lem, inspirację którym da się odnaleźć u Cixin Liu niekiedy w stylu i osadzonym w nauce podejściu do świata. Chińczyk nie ukrywa zresztą, że Lem to jeden z tych pisarzy, których ceni najwyżej. „Miał niezwykłą wyobraźnię, naprawdę jedyną w swoim rodzaju. To niesamowite, że żył w Polsce będącej w orbicie władzy Sowietów, a mimo to udało mu się być kochanym zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie", zachwalał autora „Niezwyciężonego". Jest w tym duże podobieństwo, bo jego samego kochają Wschód i Zachód.

Książki Cixin Liu na świecie sprzedają się w milionowych nakładach, a w Chinach są lekturami szkolnymi.

Kosmiczna socjologia

Są jednak także różnice, bo Cixin Liu zrobił coś, czego nigdy nie zrealizował Lem. Polak skupiał się na pojedynczych historiach i opowiadaniach, dlatego do najważniejszych jego książek zalicza się „Dzienniki gwiazdowe" oraz „Cyberiadę". Chińczyk, tak jak Herbert i Asimov, stworzył wielką – akcja trylogii jest rozciągnięta na 18,9 mln lat – opowieść, która natychmiast dała mu miejsce wśród największych autorów gatunku. „Nie piszę z miłości do literatury – mówi Cixin Liu. – Piszę z miłości do nauki". To widać w książkach pełnych teorii fizycznych.

A mimo to nie męczą. Może dlatego, że autor bardzo umiejętnie – tak jak Lem robił z teorią ewolucji – pokazuje, jakie te koncepcje mają znaczenie dla świata. Stawiając przy tym pytania, które należą raczej do nauk społecznych i historii, a nie fizyki. Nie chcę zdradzać zbyt wiele z fabuły trylogii, ale jedno z owych pytań jest warte przywołania. Wśród wątków historii jest poszukiwanie zasad kosmicznej socjologii, która pozwoli zrozumieć charakter relacji panujących między różnymi cywilizacjami. Wnioski nie są optymistyczne. Jeden z kluczowych wyśmiewa ludzką naiwność. A dokładnie to, że Ziemia wysyła w kosmos informacje o tym, że jest zamieszkana. Tymczasem – pokazuje Cixin Liu – jeżeli ktokolwiek ten sygnał odbierze i będzie w stanie do nas dotrzeć, będzie to oznaczało, że ma ogromną przewagę technologiczną i znajdziemy się na jego łasce lub

eprasa.pl ae1bac6507

niełasce. To tak, jakby amerykańscy Indianie pod koniec XV w. zaprosili Europejczyków. Zaproszenia nie było, ale wiemy, jak skończyła się wizyta.

Kto zaprasza do siebie potencjalnego wroga, z którym nie może wygrać? – pyta Cixin Liu.

Realpolitik i front technologiczny

W jego twórczości powracającymi wątkami są wojna i *Realpolitik*. Niekoniecznie w kontaktach z obcą cywilizacją. Konflikt równie dobrze może się rozgrywać między Zachodem a Chinami. Ten pierwszy dybie bowiem na bezpieczeństwo tych drugich i nie chce im pozwolić przejąć roli światowego lidera. W „Erze supernowej" z Ziemi znikają wszyscy dorośli. Wcześniej mają rok na przygotowanie nieletnich do przejęcia świata. W Chinach wybierają do tego zadania bystre dzieci, które będą potrafiły zapewnić innym dobrobyt. Za to w USA znajdują młodego prezydenta, który ładnie się uśmiecha i dobrze prezentuje, ale realne rządy powierzają sekretarzowi stanu. To stanowisko otrzymuje najbardziej cyniczny z chłopców. Do tego – wbrew układom – pozostawiają im uzbrojony arsenał nuklearny.

Cixin Liu stał się gwiazdą światowej fantastyki.

Zachodowi nie można ufać. Trzeba więc się zbroić. A dokładniej – wygrać wyścig technologiczny. W dzisiejszym świecie dominują nie ci, którzy mają najwięcej karabinów, ale kraje dysponujące najnowocześniejszą bronią. Książki Cixin Liu mówią, że Chiny o tym wiedzą i mają ochotę wygrać ten wyścig. Dlatego największymi bohaterami są tam naukowcy pracujący nad przełomowymi technologiami. Takimi jak wykorzystanie naturalnych zjawisk pogodowych w działaniach zbrojnych. Naukowcy muszą pamiętać o swojej lojalności i o tym, że nie należy być zbyt otwartym w dzieleniu się osiągnięciami z Zachodem. Ten bowiem odkrycia przekazane w dobrej wierze gotów jest wykorzystać do działań militarnych.

U Cixin Liu pojawiają się konkretne technologie, ale to nie one są najważniejsze. Najistotniejsze jest to, że konflikt z Zachodem może się wydarzyć i o wyniku zdecyduje nauka. Książki zachęcają do tego, by rozwijać zainteresowania inżynierskie i szukać ścieżek kariery, które są z tym związane. Jasno pokazują, co najlepszego może zrobić młody czytelnik uważający się za patriotę, by przywrócić Chinom rolę światowego lidera, którym były kilka wieków temu. Znaczące jest i to, że *science fiction* czyta się tam dziś równie chętnie, jak na Zachodzie czytano je w czasie największego zainteresowania technologią i jej rozwojem – na przełomie XIX i XX w. Prawdopodobnie nikt nie wie, jak wyglądałaby obecnie wojna światowa między mocarstwami, ale panuje przekonanie, że gdyby miała się odbyć na poważnie, nie przypominałaby już wielkich konfliktów z pierwszej połowy XX w. Być może przeniosłaby się do cyberprzestrzeni, może manipulowano by pogodą lub systemem finansowym, a może sięgnięto by po biotechnologię.

> Chińczyk nie ukrywa, że Lem to jeden z tych pisarzy, których ceni najbardziej.

Nie bez powodu wokół pandemii koronawirusa powstało tak wiele teorii spiskowych. Powstają i są nośne, dlatego że właśnie tak mógłby wyglądać kolejny światowy konflikt. Pojawienie się choroby, przed którą da się ochronić własną populację (w Chinach na COVID-19 oficjalnie zmarło niewiele ponad 4,5 tys. osób, a szczepionki są dostępne od kilku miesięcy), i jednoczesne wykorzystanie narzędzi wpływania na media i opinię publiczną, by wywołać panikę, to jeden z możliwych scenariuszy globalnego konfliktu. Co nie oznacza oczywiście, że tak było tym razem. Mutacje wirusów i bakterii zdarzają się regularnie, człowiek coraz bardziej zdecydowanie niszczy nisze ekologiczne, a przed ryzykiem pandemii chorób odzwierzęcych WHO ostrzega od lat. Na tym przykładzie widać jednak doskonale możliwe efekty celowych działań tego rodzaju: to osłabienie gospodarki rywala i zaburzenie równowagi sił na świecie. Dlatego – niezależnie od przyczyn pandemii – Kazik może o Chińczykach śpiewać w jej kontekście: „Wygrali trzecią wojnę bez jednego wystrzału".

W kanonie lektur

Cixin Liu jest pupilem władz. Jego książki są w kanonie lektur, a nawet pojawiają się na ważnych egzaminach rozdzielających kolejne etapy edukacji. W 2019 r. zrealizowano film „Wędrująca Ziemia", oparty na jednym z jego opowiadań, który szybko stał się drugą najbardziej kasową produkcją w historii chińskiego kina. W Polsce można go teraz obejrzeć na platformie Netflix. Autorka poświęconego Cixin Liu artykułu w „New Yorkerze", która spędziła z pisarzem kilka dni w USA, zwróciła uwagę, że odwdzięcza się on deklaracjami poparcia dla prowadzonej przez chiński rząd polityki.

O polityce mówi wprawdzie niechętnie, ale kiedy już to robi, zdradza dużą sympatię dla realizowanej przez Xi Jinpinga *Realpolitik*. Kiedy dziennikarka zaczęła go wypytywać o stosunek do różnych kontrowersyjnych spraw, w tym obozów reedukacji przez pracę, odpowiedział: „Popieram je". Zdziwiona zasugerowała, że to może efekt prania mózgu i propagandy. „Wiem, co myślisz. A co z wolnością osobistą i demokracją? Chińczycy się tym nie przejmują. Dla zwyczajnych ludzi ważne są koszty opieki zdrowotnej, ceny mieszkań i edukacja dzieci. Nie demokracja. Dlatego nie lubię o tym mówić. Prawda jest taka, że wy tego nie rozumiecie. Nie możecie rozumieć", odparł.

Jest to jednak tylko część odpowiedzi. Wnioskując z książek Cixin Liu, jest też druga. Zachód lubi patrzeć na siebie jak na oczywisty kolejny krok w rozwoju takich krajów jak Państwo Środka i zakładać, że będą one zmierzać w kierunku rozwiązań demokratycznych i upodabniania swoich instytucji do np. USA. Stoi za tym przekonanie, że postęp za każdym razem pokonuje taką samą drogę i zmierza do tego samego celu. Tymczasem coraz lepiej widać, że to nie działa w ten sposób. Pekin znalazł własny model społeczno-gospodarczy, dzięki któremu się bogaci

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ae1bac6507

i umacnia pozycję na świecie. Model nie jest demokratyczny, ale – jak przekonują niektórzy – to akurat może być zaletą.

Na przykład wpływowy izraelski historyk i pisarz Yuval Noah Harari wskazuje, że jeśli chodzi o globalną wielką grę o dominację nad światem, oświecony autorytaryzm może mieć przewagę nad demokracją. Ta ostatnia jest niestabilna (z powodu choćby upowszechnienia się mediów społecznościowych) i podatna na sprawnie prowadzone działania informacyjne. Ich efektem może być destabilizacja systemu politycznego, zwiększenie szans wybranego kandydata na zajęcie stanowiska, na wyborczą wygraną określonej partii lub konkretny wynik referendum (mówi się dużo o wpływie na wybór Donalda Trumpa, ale też na brexit). Demokracje nie mają dziś narzędzi, by przed tym zagrożeniem się bronić, m.in. dlatego, że większość ich obywateli – niesłusznie – nie wierzy, że da się nimi tak łatwo manipulować. A państwa rządzone autorytarnie mogą sobie pozwolić na planowanie polityki na kilka dekad naprzód. Mogą również robić rzeczy, na które większość zachodnich demokracji nie może lub nie chce sobie pozwolić.

W Chinach dość popularny jest więc pogląd, że nie trzeba kopiować Zachodu, by z nim wygrać. Trzeba z nim po prostu wygrać. A jeżeli narzędziem do tego ma być autorytaryzm, niech tak będzie. Także na Zachodzie nie brakuje ludzi, którzy to dostrzegają. Na przykład słuchany konserwatywny intelektualista Niall Ferguson twierdzi, że to już schyłkowy okres dominacji Stanów Zjednoczonych i szeroko rozumianego Zachodu nad światem. Jego zdaniem nasze instytucje się degenerują, ale też przestaliśmy dostrzegać zagrożenia i odpowiednio na nie reagować, bo wydaje nam się, że obecny układ sił na świecie jest czymś naturalnym. Tymczasem nie jest i głodni dawnej wielkości Chińczycy planują wywrócić go do góry nogami. To, że Cixin Liu i jego *Realpolitik* promuje się w szkołach i popkulturze, jest tylko jednym z wielu dowodów.

Konflikt z Zachodem może się wydarzyć i o jego wyniku zdecyduje nauka.

Stany Zjednoczone zdecydowały w maju o wpisaniu wielkiej chińskiej korporacji technologicznej Huawei na listę przedsiębiorstw, z którymi Amerykanie nie powinni robić interesów – efektem było odebranie producentowi telefonów komórkowych dostępu do systemu operacyjnego Android. Powodem były podejrzenia o szpiegostwo przemysłowe, ale i obawy, że Chińczycy zbierają dane o mieszkańcach USA. Aresztowano również córkę założyciela korporacji. Ten skomentował te wydarzenia: „Poświęciłem siebie i moją rodzinę dla celu, którym jest to, byśmy stanęli na czele świata. Nie da się zrealizować tego celu bez konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi".

Tomasz Borejza

LIST

Język oj(czysty)?

Radio Gdańsk ogłosiło konkurs dla szkół „Uśmiech, uprzejmość, życzliwość". Zaraz się do tego zapaliłam. Dzieci, mówię do moich 12-latków, kartka na stole, długopis w ręku, zamknijcie oczy i przypomnijcie sobie jakieś zdarzenie, w którym albo wy doświadczyliście tego, co w tytule konkursu, albo może sami komuś okazaliście życzliwość. Ileż radości było, kiedy klasa dostała zaproszenie do rozgłośni i jakąś nagrodę, ale przede wszystkim nagrano z dziećmi audycję, w której opowiedziały swoimi słowami to, co je spotkało miłego. I te ich dobre słowa poszły w świat z falami eteru. Było to dawno. Właśnie startowałam w zawodzie nauczycielskim, do którego trafiłam trochę przypadkowo. Propaganda szalała sobie, a Polskie Radio Gdańsk robiło swoje, jak radził Wojciech Młynarski, i zachęcało młodych do wydobycia tego, co dobre.

Nie chcę uprawiać taniej psychologii, ale dostrzegam pewną zależność między naszymi praprzodkami a nami, ludźmi XXI w. Agresja, okazanie siły i przewagi były niegdyś konieczne, aby zdobyć pożywienie i oznaczyć granice swojego terytorium. Też mamy to pewnie zakodowane w naszej psychice, jedni głęboko, drudzy niekoniecznie. Wystarczy jakiś detonator, jakaś podpałka i już agresja i towarzysząca jej nienawiść są pod ręką albo nawet we wzniesionym ramieniu, często z dłonią zaciśniętą w pięść. Niestety, tak to działa. Nasi praprzodkowie wrzeszczeli na siebie, pokazywali kły, aby komunikować się albo odstraszać wrogów. My, ludzie, mamy wspaniałe narzędzie, mowę, JĘZYK OJCZYSTY! Za pomocą słowa możemy wyrazić wszystko, co wiemy i czujemy, dobro i zło, piękno i brzydotę, chwałę, ale też hańbę, prawdę, ale i fałsz. I korzystamy z tego słownictwa do woli. I w dobrej sprawie, i w tej złej. No właśnie, czasem zamiast używać pazurów i maczugi możemy przyłożyć komuś słowem i triumfować nad pokonanym i poniżonym albo zmanipulowanym specjalnymi trikami i kłamstwem, bezbronnym i często naiwnym bliźnim. Słowo, złe słowo, może wszystko. I nie mam tu na myśli tzw. brzydkich słów. One są w każdym języku, mają nawet swoje oddzielne słowniki. Nie da się ich zastąpić żadnym synonimem ani eufemizmem, bo wówczas utraciłyby swoją energię i wydźwięk. Złe słowa, o których piszę, to te z pozoru przyzwoite, które jednak mają zaszkodzić drugiemu jak wirus.

Zastanawiam się, czemu służy ten coraz powszechniejszy mechanizm igrania z nienawistnym językiem. Czemu służy wydobywanie z naszej psychiki tego, co najgorsze? Czy tylko temu, żeby popatrzeć z góry na pokonanego? Nasycić się przewagą, pożywić możliwością bezkarnego poniżania innych? Czy tylko po to, żeby błogi uśmiech pobył chwilę na twarzy? Czy po to, żeby można było bezczynne ręce zacierać z satysfakcją, zupełnie jak handlarz na targu w Berdyczowie, któremu udało się dobrze sprzedać ślepego konia? Obawiam się, że jest to jedna z głównych przyczyn, choć z pozoru tak żałosna i nieprawdopodobna. Przypatruję się tej powszechnej już niestety bokserce na złe słowa i wspominam moich uczniów z pierwszych dni pracy w Szkole Podstawowej nr 72 w Gdańsku, którzy wiedzieli i czuli, co znaczy uśmiech, uprzejmość, życzliwość, bez zaglądania do słownika wyrazów obcych. Z wnętrza człowieka można jak z kopalni wydobyć na powierzchnię diamenty albo uwolnić wybuchowy metan.

Teresa Marciniak

eprasa.pl ae1bac6507

NA POWAŻNIE

KOMEDIA MATRYMONIALNA DON PASQUALE

Wspaniały prezent dla kulturalnej publiczności od łódzkiej opery. To doskonale zrealizowana w technice telewizyjnej komedia operowa, którą po włosku, ale z polskimi napisami, można oglądać przez stronę www.operalodz.com. Nie ma tutaj żadnego zagranicznego solisty, jednak występ jest na poziomie muzycznym mediolańskiej La Scali. A dodatkowo pomysłowa reżyseria z wieloma zaskakującymi efektami wizualnymi pozwala nam się przenieść do XIX-wiecznej Italii. To przedstawienie nagrano już w czasie pandemii, bez publiczności, a część muzyków orkiestry gra w maseczkach. Natomiast na scenie panują swoboda i ruch.

Bronisław Tumiłowicz

Gaetano Donizetti, „Don Pasquale", kierownictwo muzyczne Tadeusz Kozłowski, reżyseria Michał Znaniecki, Teatr Wielki w Łodzi, premiera online 26 grudnia 2020

ZASŁUCHAJ SIĘ

Melody Gardot

Sunset in the Blue

Decca Records

Wyjątkowo przytulna – oto chyba najlepsze słowa na opisanie „Sunset in the Blue". Piosenkami z tej płyty, w większości autorstwa Melody Gardot, można się owinąć jak kocem po czubek nosa. To zasługa przede wszystkim głębokiego i kojącego głosu artystki, jedwabiście gładkich partii smyczkowych, ciepłej gitary. Wracają tu etnizujące brzmienia z „The Absence", bossa nova, język portugalski, choć akurat Portugalczyk António Zambujo pojawia się w „C'est magnifique", ale to językowa mieszanka tropikalna. Są poza tym jazzowe ballady, choćby kameralna „I Fall in Love Too Easily" – miłość zresztą króluje jako tematyka – pięknie płynie też „Moon River" Manciniego. Zapowiedzią albumu był singiel „From Paris with Love", nagrany z muzykami z różnych stron świata, którzy zjednoczyli się w zdalnej „globalnej orkiestrze". Mówi o nadziei, że pewnego dnia, wkrótce, się zobaczymy. Oby!

Aleksandra Pańko

SERIAL

OSIECKA

reż. Robert Gliński i Michał Rosa, prod. Polska, TVP 1

Serial miał przede wszystkim rozsławić Agnieszkę Osiecką w młodym pokoleniu, ale zrobiony jest z użyciem archaicznych środków wyrazu, jakby głównymi odbiorcami byli seniorzy. Fakty z życia tekściarki reżyserzy odhaczają jeden po drugim, przez co opowieść ślizga się po biografii Osieckiej, nie pogłębia jej i nie pozwala powiedzieć o bohaterce wielu w końcu biografii i opracowań czegoś nowego. Produkcję ratuje Eliza Rycembel, żywiołowa, charyzmatyczna i wyrazista aktorka (w kolejnych odcinkach, poświęconych dorosłemu życiu autorki „Małgośki", zastąpi ją Magdalena Popławska), której interpretacja wydobywa niezależność, siłę, ale i niedostosowanie wiecznie zakochanej w niewłaściwych facetach bohaterki. Odkryciem jest Jędrzej Hycnar jako Marek Hłasko, kolorowy ptak szarej epoki. Cieszy pokazanie stalinizmu i późniejszego PRL-u nie tylko jako czasu donosicielstwa i komunistycznej indoktrynacji, ale też okresu buntu i szukania wolności poprzez sztukę. Jednak jak na serial o poetce metafory i poezji jest tu zdecydowanie za mało.

Artur Zaborski

DOKUMENT

PLATFORMA NON FICTION

Ponad 100 filmów dokumentalnych

Najlepsze filmy dokumentalne z całego świata można oglądać na nowej platformie vod.mdag.pl. To internetowa odnoga popularnego wśród widzów festiwalu Millennium Docs Against Gravity, dlatego i tu znajdziemy dobrze znane sekcje, np. Historie intymne, Fetysze i kultura, Klimat na zmiany czy Bohaterowie są wśród nas, ponadto nowe kategorie i kolekcje stworzone przez organizacje związane z festiwalem (WWF Polska czy Amnesty International). Na platformie już znajduje się ok. 90 tytułów, ale cały czas będą przybywać następne. Można wykupić e-bilet na pojedynczy seans albo zrobić sobie własny festiwal dokumentalny, kupując jeden z trzech rodzajów karnetów.

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ae1bac6507

Agata Kus, Idol – 1. miejsce

Łukasz Patelczyk, Wirus III – 1. miejsce

Młodzi artyści,

którzy już się liczą na rynku sztuki

Karolina Jabłońska, Sleeping – 2. miejsce

Irmina Staś, Organizm 87 – 5. miejsce

eprasa.pl ae1bac6507

Katarzyna Karpowicz, Siła kobiet – 6. miejsce

W 2020 r. pierwsze miejsce w rankingu Kompasu Młodej Sztuki zajęli *ex aequo* Agata Kus i Łukasz Patelczyk. Agata Kus w wielowątkowych pracach zajmuje się egzystencją kobiet i dotykającymi je ograniczeniami. Ostatnia wystawa „Niebieskie słońce" potwierdziła jej oryginalne spojrzenie na świat. Łukasz Patelczyk po mistrzowsku łączy sztukę figuratywną z abstrakcją. Jego pejzaże są nowatorskim podejściem do znanego od wieków motywu natury. W czołówce znaleźli się też kolejno: Karolina Jabłońska, Kamil Kukla, Martyna Czech, Irmina Staś, Katarzyna Karpowicz, Olga Pawłowska, Daniel Rycharski, Dawid Czycz, Zuza Golińska, Tomasz Górnicki, Diana Lelonek, Łukasz Stokłosa i Jan Możdżyński.

Wystawa pokonkursowa widoczna całą dobę przez witrynę w Muzeum im. Bolesława Biegasa, Aleje Jerozolimskie 51 w Warszawie, do 7 stycznia.

Kamil Kukla, 19VXV – 3. miejsce

epraca.pl/ae1bac6507

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Martyna Czech, De-presja muchy wokół gówna – 4. miejsce

SKANDAL w Komitecie Noblowskim

Po opublikowaniu reportażu śledczego o nadużyciach seksualnych i korupcji w 2018 r. nie przyznano literackiej Nagrody Nobla

Matilda Voss Gustavsson

Christine:

To było latem 2000 r., studiowałam literaturoznawstwo, Jean-Claude'a Arnaulta spotkałam na promie do Niemiec. Miałam 25 lat. Zaczęłam publikować w różnych czasopismach. W tym czasie nie czułam się najlepiej. Dziś powiedziałabym, że miałam depresję, takie epizody zdarzyły mi się już wcześniej, gdy byłam nastolatką. Wtedy nie zdawałam sobie z tego do końca sprawy.

Pamiętam, jak stałam ubrana cała na czarno na gorącym, nasłonecznionym pokładzie promu i zauważyłam, że przygląda mi się jakiś starszy mężczyzna. Od razu fajnie się z nim rozmawiało. Był niezwykle wiarygodny. Szybko oświadczył, że jest mężem Katariny Frostenson, dla mnie wybitnej osoby. Był w drodze do Paryża. Tam miał się spotkać z pisarzem Horace'em Engdahlem, swoim bliskim przyjacielem. Niedawno czytałam w wywiadzie w „Dagens Nyheter", że ten traktował Arnaulta jako wzór stylu bycia.

Teraz myślę, że Jean-Claude wcześnie dostrzegł moje zagubienie, to, że byłam przygnębiona, ale też, że chciałam coś osiągnąć. (...) Poza tym znajdowałam się w trudnym, granicznym momencie. Nie miałam żadnego kulturowego backgroundu. Pochodziłam z zewnątrz, jeszcze nie słyszałam o Arnaulcie. Fascynowało mnie to, że osobiście znał pisarki, które wydawały mi się wszystkim. W tym czasie sama zaczęłam tworzyć jako osoba pisząca. Stałam na progu tego świata.

Przez całą podróż promem rozmawialiśmy o literaturze i pisaniu. Przysiadłam się do niego, po raz pierwszy podróżowałam pierwszą klasą.

Podświadomie to wszystko miało znaczenie. Gdy schodziłam z promu w Niemczech, zapytał, czy nie zechciałabym przyjechać do niego do Paryża. Miałam wrażenie, że to szansa, której nie wolno odrzucić. Zanim się rozstaliśmy, pocałował mnie. (...) Zaledwie po kilku dniach w Niemczech postanowiłam pojechać do Paryża. Zdarzało się, że gdy działałam w odpowiednio szybkim tempie, lepiej radziłam sobie z lękiem.

Sprawdziłam go przed wyjazdem do Paryża. Naprawdę był mężem Katariny Frostenson, poczułam się bezpieczna. Potem napisałam mejla do najbliższej koleżanki: „Jeśli coś mi się stanie, to jest jego numer". (...) Wsiadłam do nocnego autokaru do Paryża. Nigdy wcześniej tam nie byłam i już nigdy tam nie wróciłam. Nie ze względu na rzeczy, które mnie tam spotkały, ale ponieważ to tam się wszystko zaczęło. Dni w tym mieście okazały się dopiero początkiem.

W Paryżu Jean-Claude był już inny niż na statku, stał się opryskliwy. Zaczął dawać drobne sygnały,

Jean-Claude Arnault został skazany za dwa gwałty.

eprasa.pl ae1bac6507

robił uwagi na temat mojego ciała czy bluzki, którą kupiłam. Zachowywał się protekcjonalnie, ale przede wszystkim przestał ze mną rozmawiać. Pamiętam, jak pewnego wieczoru siedzieliśmy w barze, a on w widoczny dla otoczenia sposób trzymał rękę w moich majtkach. Obrzydliwy gest. Nie byłam pruderyjna. Jadąc do Paryża, chciałam uprawiać z nim seks – ale to, że nie odezwał się do mnie ani słowem… Pełniłam tylko jedną funkcję. (…)

Postanowiłam wyjechać. Po powrocie do domu opowiadałam o Paryżu jako o szalonym przeżyciu. Zamieniłam to doświadczenie w historię, z którą będę mogła żyć.

Jean-Claude Arnault ma oko do ludzkich słabości.

Jednak Jean-Claude umocnił tę ciemną stronę, która była we mnie już wcześniej. Tej jesieni czułam się dużo gorzej. A on dzwonił i dzwonił. Nie chciałam mieć z nim do czynienia. Namawiał mnie. Byłam słaba, w końcu nie miałam już siły się sprzeciwiać. (…) Byłam unieruchomiona jak w imadle. Całe ciało się trzęsło, pamiętam tylko jedną myśl: jesteśmy w piwnicy. Nawet jeśli się uwolnię i zacznę krzyczeć, nikt mnie nie usłyszy. Wydaje mi się, że trwało to dość długo, choć dokładnie nie wiem ile. Właśnie ta scena na zawsze pozostanie mi w pamięci.

Potem dalej wydzwaniał. Kiedyś poinformował mnie, że zaprosił do Forum moją ulubioną pisarkę. Chciał, żebym ją poznała. W końcu zdecydowałam, że pójdę tam z kolegą. Nie miałam zamiaru być ofiarą. Nie chciałam myśleć o sobie w ten sposób. (…) Kiedy kolega i ja wychodziliśmy z odczytu, ktoś zaczął dotykać mojej pupy. Od razu zrozumiałam kto, ale i tak się odwróciłam. Moja reakcja była bardzo gwałtowna, bo za mną szedł nie tylko on, lecz także Katarina Frostenson. Widziała. Musiała widzieć. Stali blisko siebie. Sytuacja była niezrozumiała, szybko stamtąd zniknęłam. Dlaczego zachował się tak przy żonie? (…)

Uwolniłam się od Arnaulta dopiero po przeprowadzce i zmianie numeru telefonu. Mieszkałam z kolegą, który dostał ode mnie instrukcje, by pod żadnym pozorem nie przekazywać mu nowego numeru. Powiedział mi, że Jean-Claude ciągle dzwonił, chociaż znajomy wyraźnie mu powtarzał, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Od tamtej pory trzymałam się z dala od tych kręgów. (…)

Mira:

Wcześniej także ciągnęło mnie do mężczyzn ze świata kultury, którzy potrafią być interesujący – tworzyć poczucie, że przy nich jest się w centrum, że tworzy się historię. W tamtym okresie aktywnie szukałam sposobu na życie jako wolna artystka. Byłam świadoma swojego klasowego pochodzenia, raczej czarno widziałam własne perspektywy w tym zawodzie. Nie miałam żadnego wsparcia ze strony rodziny. To, co chciałam osiągnąć, musiałam osiągnąć zupełnie sama. Wiosną, gdy miałam 22 lata i przygotowywałam portfolio do jednej ze szkół artystycznych, Jean-Claude zobaczył na imprezie, jak całuję się z inną dziewczyną. Nie miałam pojęcia, kim jest. Później często powtarzał, jak to mnie „wybrał" i „pilnował" – przypominał mi to, aby mieć nade mną kontrolę.

Jakiś tydzień później nasz wspólny znajomy zaproponował, żebym wpadła do restauracji, gdzie umówił się z grupką przyjaciół na kolację. Był tam Jean-Claude, poprosił mnie wtedy o numer telefonu. Kiedy go dostał, zaczął intensywnie wydzwaniać – kilka razy dziennie. Jego zainteresowanie schlebiało mi, był przeciwieństwem moich rówieśników, którzy rzadko wylewnie okazywali aprobatę. Mój stosunek do niego był sceptyczny, uważałam, że Jean-Claude jest stary. Kiedy zasięgnęłam języka, ludzie mówili, żebym trzymała się z dala, bo może mnie skrzywdzić. Dopiero wtedy poważnie się nim zainteresowałam. (…) Pełna nadziei przyjęłam od niego zaproszenie na kolację. Podczas spotkania otworzyłam się naiwnie jak dziecko. (…) Jean-Claude natychmiast zaoferował, że się „mną zaopiekuje". Umożliwi mi karierę. Zacznie od opłacania całego czynszu. Uznałam, że to brzmi genialnie. Co za przygoda! Przed nami stawiano kolejne drinki. Tak się upiłam, że nic z tej nocy nie pamiętam. Zabrał mnie do kawalerki w budynku Akademii Szwedzkiej na Starym Mieście. Kiedy się obudziłam, zrozumiałam, że uprawiał ze mną seks. Był przyjazny, miał łagodny głos. (…)

Jean-Claude ma oko do ludzkich słabości. Dostrzegł, że mam jakieś ambicje. Dość szybko wyprowadziłam się z wynajmowanego pokoju, na który było mnie stać. Znalazłam za to mieszkanie, które było trochę za drogie, i w ten sposób szybko uzależniłam się finansowo od Jean-Claude'a. Wstydziłam się, że co miesiąc muszę mu przypominać o czynszu. Czasem płacił, czasem nie. Oczywiście cały czas żądał czegoś w zamian. Często chodziło o przekraczanie seksualnych granic, co do których wyrażałam wątpliwości, czasem odmawiałam. (…) Od początku traktowałam relację czysto erotycznie. (…)

Układ był taki, że nie wolno mi było chodzić do łóżka z nikim innym. Jednocześnie mogłam odejść, kiedy chciałam. (…) Relacja, z której później próbowałam się wydostać, była zupełnie inna niż ta na początku. Dwa ostatnie lata z Jean-Claude'em zmusiły mnie, żebym dojrzała. Skrzywdziły mnie w sposób, którego raczej nigdy nie zapomnę.

Mawiał o sobie, że jest najlepszą szkołą dla młodych. Wyszukiwał je i „szkolił", po czym odpowiednio przygotowane przekazywał dalej.

Pamiętam naszą wczesną, dość surrealistyczną wizytę na wernisażu w Sztokholmie. Już wtedy zaczęłam odczuwać niepokój. Witał się z różnymi kobietami o podobnej do mojej urodzie, o włosach w tym samym blond odcieniu. Były w różnym wieku. Po każdym takim spotkaniu opowiadano mi, że Jean-Claude utrzymywał z tymi kobietami w poprzednich latach kontakty erotyczne. Czułam się jak kopia, jak klon. (…)

Wszystko wymykało mi się z rąk. Po paru latach związku to, że całkowicie sterował moim życiem, było normalne. To on decydował, jak ma wyglądać seks. Kiedy, gdzie i co mam jeść. Zaczęłam marzyć o tym, żeby przestać istnieć. Miałam wrażenie, że ważę tysiąc ton i że jednocześnie

FOT. JONAS EKSTRÖMER/TT NEWSAGENCY/FORUM

eprasa.pl ae1bac6507

znajduję się w jakiejś odległej galaktyce. Stawałam się coraz bardziej pasywna i zdystansowana. Moja odraza zniknęła. Wielu przyjaciół zerwało ze mną kontakty. Nie mogli znieść widoku, jak on i ja wspólnie znęcamy się nade mną. Żaden człowiek nie może zrobić drugiemu takiej krzywdy, jaką można zrobić sobie samemu.

Od czasu do czasu znajdowałam w sobie wystarczająco dużo siły, żeby zażądać zerwania. Wydzwaniał do mnie jak maniak. Mówił, że będę skończona. Wierzyłam mu. (...) Wszyscy rozumieli moją rolę, oprócz jednej starszej pary. „Nie wiedziałam, że Katarina i Jean-Claude mają córkę", powiedziała kobieta. Wszyscy uznali to za bardzo zabawne. Większość przywykła. Niektórzy mężczyźni przejmowali dziewczęta od Jean-Claude'a. Mawiał o sobie, że jest najlepszą szkołą dla młodych. Wyszukiwał je i „szkolił", po czym odpowiednio przygotowane przekazywał dalej. (...)

W końcu zostawiłam Jean-Claude'a, kiedy byłam już absolutnie przekonana, że chcę odebrać sobie życie. Nic nie miało już dla mnie znaczenia. Nic poza tym, żeby się z tego wydostać.

Gdy zrozumiał, że mówię poważnie, nazwał mnie robakiem, którego należy zdeptać. Miał zamknąć przede mną wszystkie drzwi. Wydzwaniał i zastraszał. Jedną moją koleżankę opluł na ulicy. Żądał, żeby nasi wspólni znajomi zerwali ze mną kontakt i usunęli mnie z Facebooka. Często przypominał mi, że jestem obserwowana. Miał „swoje źródła", mówił. Zaczęłam unikać tłumu i klubów. Bałam się stać samotnie na peronie metra oraz w innych miejscach.

Mam wrażenie, że po zakończeniu naszej relacji trudno było mi znaleźć pracę w branży. Że wszystkie wyciągnięte wcześniej ręce cofnęły się. (...) Gdy po kilku latach ponownie się spotkaliśmy, miałam nadzieję, że Jean-Claude wybaczył mi, że go zostawiłam. Wyjaśnił, że „zablokował" mnie na wszystkich artystycznych uczelniach, w których mogłam chcieć się uczyć, ale może mnie „odblokować", jeśli znów zaczniemy się widywać. Naprawdę miał taką władzę, żeby mnie „zablokować"? Tego nie wiem. Nigdy nie sprawdziłam.

Kiedy kolega i ja wychodziliśmy z odczytu, ktoś zaczął dotykać mojej pupy. Od razu zrozumiałam kto.

Mona:

Wczesne lata 90. Właśnie się rozwiodłam, miałam 35 lat. Zaczęłam pisać poezję. Pewnego wieczoru, po występie, ktoś przedstawia mnie Jean-Claude'owi, który przygląda mi się od stóp do głów i pyta, czy chcę wydać książkę. Powiedział, że tak czy siak powinnam sprawić sobie bluzkę z większym dekoltem i pójść do znanego szwedzkiego wydawcy, którego wymienił z nazwiska. Stałam oniemiała. Co on sobie myślał?

Naprawdę mi nie zaimponował. Za to Forum miało bardzo dobry program kulturalny. Ich wieczory były oryginalne – bezpretensjonalne, choć elitarne. Miałam wrażenie, że w szczególny sposób podkreślano znaczenie literatury klasycznej i tej współczesnej. To rezonowało. Brakowało mi tego.

Kiedy witałam się z Jean-Claude'em w piwnicy, za każdym razem był nieco arogancki. Czasem rozmawiałam z przyjaciółmi o tym, jakie to dziwne, że obmacuje asystentki w obecności Katariny Frostenson.

Przy pewnej okazji Jean-Claude powiedział do mnie coś zupełnie obleśnego. Spytałam prosto z mostu: jak ona może się na to godzić? Odpowiedział, że inspiruje ją ta dynamika, że to ich umowa. (...) Był dla mnie małym, komicznym człowieczkiem, który stał się ważniakiem kosztem żony, wydawało mu się, że ma władzę, bo zna elitę kulturalną.

Po jednym z wieczorów w Forum poszłam z przyjaciółką do knajpy. Gdy pojawił się Jean-Claude, usiadł koło mnie przy barze, po czym wdaliśmy się w gorącą i śmieszną dyskusję na temat sztuki. (...) Gdy już zamykali, spytał, czy mam ochotę wstąpić do Forum. Wypilibyśmy tam po ostatnim kieliszku wina – zaproponował. Poszłam z nim. (...) Na miejscu poczęstował mnie jakimś drinkiem – a potem już nie wiem, co się działo. Od ponad 25 lat zastanawiam się, co takiego było w tym kieliszku. Narkotyki? (...)

Nagle obudziłam się na podłodze. Leżałam. Jean-Claude siedział na krześle. Był słabo oświetlony, ale dostrzegłam, że przygląda mi się z obrzydzeniem. Skonany. Zauważyłam, że mam rozpięte spodnie, a potem poczułam, że był we mnie. Po udach coś spływało. Minęły najwyżej dwie godziny. Nic nie pamiętałam. Powiedziałam: „Coś ty, kurwa, zrobił?". Jean-Claude nie odpowiedział. (...)

eprasa.pl ae1bac6507

Przez wiele lat próbowałam udawać, że nic się nie wydarzyło. Potem jednak zaczęłam myśleć o tym jak o przestępstwie. Uświadomiłam sobie, że być może zostałam zgwałcona i że nie mogę z tym nic zrobić. Niczego nie mogłabym udowodnić. Dalej pisałam. Coraz rzadziej poruszałam się w kręgach Forum, nigdy nie miałam już kontaktu z Jean-Claude'em Arnaultem.

Lata później opowiedziałam o tym pewnemu mężczyźnie, który uważał, że powinnam zgłosić to na policję. Czułam jednak zbyt wielki wstyd, że jako dorosła kobieta i matka dałam się tak wykorzystać. Fizycznie czułam, że zostałam zhańbiona. #MeToo obudziło we mnie wspomnienia.

•

W środę 19 września 2018 r. na oświetlonych plamami porannego słońca schodach siedziby sądu w Rådhuset ciągnie się kolejka. Jean-Claude Arnault wysiada z taksówki. Nie on pierwszy zmierza na rozprawę oskarżony o przestępstwo na tle seksualnym. Podobne rozprawy często odbywają się w Szwecji. Różnica polega na tłumie ludzi, który gromadzi się na zewnątrz. Arnault daje dyskretny sygnał ochroniarzowi, który prowadzi go obok kolejki czekającej na wejście. Mija mnie i podchodzi do kontroli bezpieczeństwa. Włosy zaczesał do tyłu. (…)

Rozprawa za zamkniętymi drzwiami trwa trzy dni.

Kiedy po zakończonych przesłuchaniach prokurator okręgowa Christina Voigt informuje media, że Arnault zostaje aresztowany, wiele kobiet jest tak samo zaskoczonych jak ja.

Kiedy Mira widzi zdjęcie Arnaulta w kajdankach, jej pierwszą reakcją jest chęć pogłaskania go po włosach i szepnięcia, że wszystko się ułoży.

Christine mówi, że wiadomość, a później wyrok, sprawiają, że wpisuje w wyszukiwarkę nazwę aresztu: Kronobergshäktet.

„Zobaczyłam celę i stół do ping-ponga. Nie potrafię tego strawić. Jakiś czas później jadę do Sztokholmu na spotkanie. Uświadamiam sobie, że ma się odbyć w Vasastanie, dzielnicy, której unikałam przez ostatnie 20 lat. Arnault jest za kratkami. Ryzyko, że go spotkam, jest zerowe, postanawiam więc przejść obok piwnicy. Drzwi są otwarte, wygląda na to, że na dole odbywa się jakiś remont. Nagle czuję, że ulice należą do mnie".

•

1 października jestem przy wejściu do Rådhuset. Kiedy w Szwecji ogłasza się wyrok, odbywa się to najpierw w tradycyjny sposób, w holu. Jeśli sprawa jest medialna, przestrzeń przy okienku recepcji wypełnia się dziennikarzami i kamerami z telewizji, które za chwilę będą relacjonować na żywo. Wiele osób przestępuje z nogi na nogę albo siedzi wpatrzona w ekrany telefonów. W pomieszczeniu czuć to intensywne znużenie w oczekiwaniu na wiadomość, która równie dobrze może pojawić się lada moment lub za pół godziny. Kiedy wyrok zostaje ogłoszony, dziennikarze rzucają się do okienka, wybucha zamieszanie.

Na drugim końcu holu Rådhuset widzę Emmę. Stoi w kącie ukryta razem z mężem. Christine siedzi w domu z bliską przyjaciółką.

„Jeśli go zwolnią, nie mogę być sama. Nawet jeśli powódką jest inna kobieta, mam wrażenie, że sprawa dotyczy także mnie, nas wszystkich. Gdy nadchodzi wyrok, czuję, że dostał za swoje".

Ktoś wykrzykuje wyrok. Sąd okręgowy w Sztokholmie skazał Arnaulta na dwa lata więzienia za jeden z gwałtów. (…)

3 grudnia o 14.00 sąd apelacyjny skazuje Arnaulta również za drugi gwałt. Kara zostaje zaostrzona do dwóch i pół roku. Zeznania siedmiu kobiet oceniono każde pojedynczo oraz wszystkie razem. Sąd przyjmuje opowieść Lydii o tym, dlaczego tak długo wstrzymywała się z oskarżeniem. Opowieść o obawach przed konsekwencjami, podczas gdy tak wiele osób w jej miejscu pracy znało Arnaulta, i przed jego wpływami w środowisku kulturalnym. Opowieść o fizycznym strachu, który czuła po pierwszym gwałcie, a którego występowanie potwierdzili inni świadkowie i notatki terapeutki.

Stały sekretarz Akademii Szwedzkiej Anders Olsson początkowo nie chce komentować wyroku. „Nie mamy nic do powiedzenia, ponieważ nie jest to związane z Akademią", mówi w biurze prasowym. Nieco później formułuje wypowiedź na piśmie. Stwierdza, że to dobrze, że zadośćuczyniono ofiarom przemocy: „Akademia Szwedzka odżegnuje się, rzecz jasna, od wszelkich form przemocy seksualnej, nawet jeśli przestępstwa będące podstawą wyroku sądu apelacyjnego nie mają żadnego powiązania z naszą działalnością". Jednak za trzy dni udziela wywiadu „Wiadomościom Kulturalnym", i wówczas mówi o „roli, jaką Akademia Szwedzka odegrała w budowaniu pozycji Jean-Claude'a Arnaulta".

„Sądzę, że Akademia Szwedzka ponosi jednak odpowiedzialność za całą sytuację. Odpowiedzialność za to, w jaki sposób przez lata traktowaliśmy relację z Forum i Jean-Claude'em Arnaultem".

Na rozprawy w sądzie apelacyjnym Arnault przyjeżdżał na plac Birgera Jarla w transporcie więziennym, a do budynku eskortowali go funkcjonariusze. Wyglądał na wychudzonego i osłabionego. Ręce miał skute kajdankami przypiętymi u pasa, ułożone jak do modlitwy.

Czasem rozmawiałam z przyjaciółmi o tym, jakie to dziwne, że obmacuje asystentki w obecności żony.

Wydaje mi się, podobnie jak wielu innym, że Arnault zostanie uniewinniony. Od dawna, może nawet od zawsze, miałam wyobrażenie, że sprawy o gwałt nie da się wygrać. W procesach brakuje zaświadczeń lekarskich z obdukcji, które mogłyby udokumentować fizyczne krzywdy. Żadnych śladów z oględzin miejsca przestępstwa.

Pamiętam jednak, jak rok wcześniej, kiedy zaczynałam własne śledztwo, czytałam o sprawach o gwałt, w których oskarżenia nie spełniały wymogów formalnych. Słowo przeciwko słowu nie wystarczy, by wyrok był skazujący. Jednak wiarygodne zeznanie pokrzywdzonego potwierdzone przez wiarygodne zeznania wielu innych osób mogą spełniać wymogi dowodowe. (…)

Fragmenty książki Matildy Voss Gustavsson *Klub. Skandal w Komitecie Noblowskim*, przekład Justyna Czechowska, Wielka Litera, Warszawa 2020

eprasa.pl ae1bac6507

Jeffrey A. Lieberman

Sesje gadania

Wojna w Wietnamie przyniosła większą ilość przypadków traumy wojennej niż II wojna światowa

Wojna wietnamska stanowiła kolejny ważny punkt zwrotny w relacjach amerykańskiej armii z psychiatrią. W jakiś sposób ta wojna stała się jeszcze bardziej przerażająca niż jej przerażające poprzedniczki – fala napalmu spadała z nieba i paliła skórę dzieci; zwykłe przedmioty, jak wózki zakupowe czy pudełka ze słodyczami, stawały się improwizowanymi ładunkami wybuchowymi; amerykańskich żołnierzy wziętych do niewoli przez całe lata poddawano torturom. Wojna w Wietnamie przyniosła jeszcze większą ilość przypadków traumy wojennej niż II wojna światowa. Dlaczego? Często spotyka się jedną z dwóch teorii.

Jedna z nich głosi, że tzw. wielkie pokolenie było po prostu silniejsze i bardziej opanowane od pokolenia boomu demograficznego, walczącego w Wietnamie. To pierwsze dorastało w czasie wielkiego kryzysu, kiedy chłopcom kazano „zachowywać zimną krew", „zamknąć się w sobie" i w ciszy znosić emocjonalne cierpienie. Jest jednak i inne wytłumaczenie, które wydaje mi się bardziej prawdopodobne. Wedle tej teorii weterani II wojny światowej doświadczali takich samych konsekwencji psychicznych wojny co weterani z Wietnamu, ale społeczeństwo nie umiało rozpoznać objawów. Innymi słowy, szkody psychiczne u weteranów II wojny światowej były po prostu niedostrzegane i niediagnozowane.

II wojna światowa była słusznie celebrowana jako narodowy triumf. Wracających żołnierzy witano jako wielkich zwycięzców, a Amerykanie przymykali oko na ich psychiczne cierpienia, bo emocjonalne nieprzystosowanie nie pasowało do obrazu odważnego bohatera. Nikt nie chciał zwrócić uwagi na zmiany i problemy, jakich doświadczali weterani po powrocie do domu, by nie być oskarżonym o brak patriotyzmu. Mimo to łatwo dostrzec zapisy traumy wojennej w kulturze popularnej tamtej epoki.

Nagrodzony Oscarem film „Najlepsze lata naszego życia" pokazuje trudności w dostosowaniu społecznym trzech żołnierzy wracających z II wojny światowej. Każdy z nich do pewnego stopnia ma objawy PTSD. (…) Mało znany film dokumentalny Johna Hustona, w którym narratorem jest jego ojciec, Walter Huston, też przedstawia problem psychologicznych ofiar II wojny światowej. Film „Let There Be Light" (Niech stanie się światłość) pokazuje losy 75 dotkniętych traumą żołnierzy po powrocie do domu. „20% poległych po naszej stronie miało objawy psychoneurologiczne – mówi narrator. – Poczucie nadchodzącej katastrofy, uczucie beznadziei i izolacji". Film ukończono w roku 1946, ale szybko wycofano go z dystrybucji pod naciskiem armii, powołującej się na rzekome naruszenie prywatności pokazywanych w filmie żołnierzy. W istocie armia obawiała się, że film może mieć demoralizujący wpływ na rekrutów.

Innym powodem częstszego odnotowywania traumy wojennej u weteranów z Wietnamu były wątpliwe powody, które doprowadziły do wojny. W czasie II wojny światowej Ameryka została zaatakowana na Pearl Harbor, później zaś przeciwstawiała się morderczemu szaleńcowi, który chciał podbić cały świat. (…) Wietkong z kolei nigdy nie zagrażał Stanom Zjednoczonym czy narodowi amerykańskiemu. Nasz rząd przystąpił do walki z powodów niejasnych i chwiejnych. Chociaż południowi Wietnamczycy byli naszymi sprzymierzeńcami, wyglądali i mówili tak samo jak Wietnamczycy z północy, których mieliśmy zabijać. Amerykańscy żołnierze walczyli w imię abstrakcyjnych zasad politycznych w odległej, parnej dżungli, pełnej śmiertelnych pułapek i labiryntowych tuneli, przeciw wrogowi, którego często nie dało się odróżnić od sprzymierzeńca. (…)

Różnica w amerykańskim stosunku do II wojny światowej i do wojny wietnamskiej widoczna jest w pomnikach obu wojen stojących w Waszyngtonie. Pomnik II wojny światowej przywodzi na myśl architekturę rzymską, z fontannami, strzelistymi filarami i reliefem przedstawiającym żołnierzy składających przysięgę, prowadzących heroiczny bój i chowających poległych. Pomniki wietnamskie są dwa. Pierwszy to zaprojektowany przez Mayę Lin grobowiec z czarnej płyty, przywodzący na myśl wyrytą w ziemi ranę, na której wypisano nazwiska 58 209 zabitych. Kawałek dalej stoi bardziej konwencjonalna rzeźba z brązu przedstawiająca trzech żołnierzy. (…) Wpatrują się martwo w dal, prezentując „spojrzenie tysiąca jardów", klasyczny objaw traumy wojennej. (…)

Kiedy dotknięci traumą weterani z Wietnamu wracali do domu, witała ich wrogość i brak medycznej wiedzy na temat ich stanu.

Mimo wyraźnych postępów w leczeniu „wyczerpania wojennego" w czasie II wojny światowej, podczas wojny wietnamskiej trauma psychologiczna była równie mało rozumiana co schizofrenia w epoce „schizofrenogennych matek". Chociaż psychoanalityczne terapie poprawiały stan wielu straumatyzowanych żołnierzy, kondycja innych w miarę upływu czasu raczej się pogarszała. Zdumiewające z perspektywy czasu jest, jak niewiele zrobiono dla rozwoju wiedzy medycznej na temat traumy psychologicznej w okresie między I wojną światową a wojną wietnamską, podczas gdy cała medycyna wojskowa uczyniła tak znaczne postępy. W czasie I wojny światowej ponad 80% rannych na polu bitwy umierało. W ostatnich wojnach w Iraku i Afganistanie ponad 80% rannych przeżywało za sprawą ogromnych postępów chirurgii polowej i całej medycyny. PTSD, częściej

eprasa.pl ae1bac6507

Czas Apokalipsy

rozpoznawany, ale bez terapii opartej na postępach naukowych, stał się chorobą zawodową żołnierzy XXI w.

Kiedy dotknięci traumą weterani z Wietnamu wracali do domu, witała ich wrogość i niemal całkowity brak medycznej wiedzy na temat ich stanu. Porzuceni i wyszydzani, znaleźli jednak niespodziewanego orędownika swojej sprawy.

Chaim Shatan był pochodzącym z Polski psychoanalitykiem, który w roku 1949 przyjechał do Nowego Jorku, gdzie otworzył prywatną praktykę. Shatan był pacyfistą. W roku 1967 wziął udział w proteście antywojennym, na którym spotkał Roberta Jaya Liftona, psychiatrę z Yale, podzielającego jego antywojenne przekonania. Dwaj mężczyźni wkrótce odkryli, że łączy ich coś jeszcze: zainteresowanie kwestią psychologicznych skutków wojny.

Lifton poświęcił wiele lat na badania emocjonalnej traumy u ofiar Hiroszimy. Pod koniec lat 60. przedstawiono mu weterana, który był obecny przy masakrze My Lai, niesławnym incydencie, kiedy amerykańscy żołnierze wymordowali setki nieuzbrojonych wietnamskich cywilów. Za pośrednictwem tego weterana Lifton poznał grupę byłych żołnierzy, którzy regularnie się spotykali i dzielili doświadczeniami. Swoje spotkania określali mianem „sesji gadania".

„Ci ludzie cierpieli i byli samotni – wspomina Lifton. – Nie mieli nikogo innego, z kim mogliby porozmawiać. (…) Jedynymi osobami, które potrafiły zrozumieć ich doświadczenia, byli inni weterani".

Około 1970 r. Lifton zaprosił swojego nowego znajomego, Shatana, na sesje gadania w Nowym Jorku. Pod koniec spotkania Shatan był całkiem blady. Weterani mieli za sobą niewyobrażalne cierpienia – niektórym z nich kazano zastrzelić kobiety, dzieci, a nawet niemowlęta – swoje makabryczne doświadczenia opisywali zaś ze szczegółami. Shatan szybko zorientował się, że te sesje gadania dają szansę zrozumienia efektów psychologicznych wojennej traumy.

„Pojawiła się okazja rozwinięcia nowego podejścia terapeutycznego – wyjaśniał Lifton. – (…) Tworzyli wspólnotowe i skłonne do współpracy środowisko. Weterani wiedzieli dużo o wojnie, a psychiatrzy wiedzieli co nieco o tym, co powoduje ludzkim zachowaniem".

Shatan stopniowo doszedł do przekonania, że weterani doświadczają spójnego zespołu objawów psychologicznych, wyrastających z ich przeżyć wojennych. (…) „Zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, jak niewiarygodnie psychiatria zaniedbała badanie traumy – wspomina Lifton. – Nie było żadnego zrozumienia jej mechanizmów. Mówię o czasach, kiedy niemieccy psychiatrzy biologiczni podważali zasadność płacenia przez ich kraj reparacji ofiarom Holokaustu, argumentując, że za wszystkie objawy patologiczne odpowiadała »wcześniejsza skłonność chorobowa« ofiar".

Słuchanie o doświadczeniach ludzi, którzy przechodzili przez to samo, pomagało weteranom.

Pracując w nieformalnych, równościowych i zdecydowanie antywojennych grupach, Shatan cierpliwie kompletował obraz kliniczny traumy wojennej, całkiem odmienny od dominujących poglądów. 6 maja 1972 r. opublikował artykuł w „New York Timesie", w którym opisywał po raz pierwszy swoje ustalenia. Zaproponował również własną nazwę stanu, który wcześniej nazywano sercem żołnierza, szokiem artyleryjskim, wyczerpaniem wojennym i nerwicą bojową: „syndrom postwietnamski".

W artykule Shatan pisał, że syndrom postwietnamski ujawnia się w pełni po powrocie weterana z Azji. Żołnierze przejawiają „rosnącą apatię, cynizm, alienację, depresję, brak

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl ae1bac6507

zaufania, oczekiwanie najgorszego, a także niezdolność koncentracji uwagi, bezsenność, koszmary nocne, niepokój, poczucie wykorzenienia i niezdolność do utrzymania jakiejkolwiek pracy czy studiów". Shatan zidentyfikował też znaczny komponent moralny w cierpieniu weteranów, związany z poczuciem winy, odrazą i samokaraniem. Podkreślał, że najbardziej bolesnym objawem syndromu postwietnamskiego jest zamartwianie się weteranów w kwestii, czy będą jeszcze w stanie kochać i być kochanymi. (…)

W roku 1975 „Baltimore Sun" określał w nagłówku wracających z Wietnamu weteranów jako „bomby zegarowe". Cztery miesiące później wybitny felietonista „New York Timesa" Tom Wicker opisał historię weterana wojny wietnamskiej, który spał z bronią pod poduszką i z powodu koszmaru sennego zastrzelił swoją żonę: „To tylko jeden przykład poważnego i powszechnie lekceważonego problemu, jakim jest syndrom postwietnamski".

Obraz weterana wojny w Wietnamie jako podstępnego mordercy wkrótce dotarł do Hollywood. W filmie „Taksówkarz" Martina Scorsese z roku 1976 Robert De Niro nie potrafi odróżnić nowojorskiej współczesności od wietnamskiej przeszłości, co doprowadza go do popełnienia morderstwa. W „Powrocie do domu" z roku 1978 Bruce Dern gra straumatyzowanego weterana, który nie potrafi się przystosować i grozi zabiciem żony (Jane Fonda) i jej nowego kochanka, sparaliżowanego weterana granego przez Jona Voighta, ostatecznie zaś zabija samego siebie.

Podczas gdy społeczeństwo doszło do przekonania, że wielu wracających z wojny weteranów potrzebuje pomocy psychiatrycznej, większość weteranów nie znajdowała szczególnej pomocy u analityków, nakłaniających ich do znalezienia źródła niepokoju w sobie samym. Sesje gadania z kolei stały się potężnym źródłem pocieszenia i leczenia. Słuchanie o doświadczeniach innych ludzi, którzy przechodzili przez to samo, pomagało weteranom dojść do ładu z własnym bólem i cierpieniem. Departament Weteranów uznał wreszcie terapeutyczny potencjał sesji gadania i zwrócił się do Shatana i Liftona, chcąc zastosować ich metody na szerszą skalę.

W międzyczasie Shatan i Lifton zastanawiali się, w jaki sposób syndrom postwietnamski wywoływał tak dramatyczne i paraliżujące objawy u swoich ofiar. Jedna ze wskazówek kryła się w podobieństwie emocjonalnej traumy obserwowanej u innych grup ofiar, takich jak ocaleni z Hiroszimy, badani przez Liftona, a także więźniowie nazistowskich obozów koncentracyjnych. Wielu ocalonych z Holokaustu było nad wiek postarzałych, myliło teraźniejszość z przeszłością, cierpiało na depresję, lęk i koszmary senne. Trudno im było utrzymywać kontakty ze zwykłymi ludźmi po przejściu przez obóz koncentracyjny, gdzie normalne zasady moralności i kontaktów międzyludzkich nie istniały.

Szkody psychiczne u weteranów II wojny światowej były niedostrzegane i niediagnozowane.

Shatan doszedł do wniosku, że syndrom postwietnamski, jako szczególna forma traumy psychologicznej, jest prawdziwą chorobą psychiczną – i że powinien być formalnie odnotowany jako choroba. Chociaż wojna wietnamska toczyła się pod koniec lat 60., żadna diagnoza konkretnej traumy psychologicznej, tym bardziej zaś traumy wojennej, nie znalazła się w podręczniku psychiatrii. Objawy traumy sklasyfikowano w szerokiej kategorii diagnostycznej „problemy z przystosowaniem do dorosłego życia". Weterani, którzy widzieli dzieci zabijane bagnetami i swoich towarzyszy palonych żywcem, byli oczywiście oburzeni, słysząc, że mają „problemy z przystosowaniem do dorosłego życia".

Kiedy Shatan dowiedział się, że DSM (klasyfikacja zaburzeń psychicznych) jest rewidowany i że zespół zadaniowy nie planuje włączać diagnozy traumy, postanowił działać. W roku 1975 spotkał się z Robertem Spitzerem, którego już znał zawodowo, na corocznym zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego w Anaheim w Kalifornii. Lobbował tam niestrudzenie za włączeniem syndromu postwietnamskiego do DSM-III. Początkowo Spitzer był sceptyczny wobec propozycji Shatana. (…) Ostatecznie ustąpił, zgodził się w roku 1977 na powołanie Komitetu do spraw Zaburzeń Reaktywnych i zlecił Nandy Andreasen z zespołu zadaniowego formalne opracowanie propozycji Shatana.

Andreasen była bystrą i bezkompromisową psychiatrą, pracującą wcześniej jako stażystka na Oddziale Poparzeń w nowojorskim szpitalu przy Centrum Medycznym Cornella, co miało ukształtować jej późniejsze podejście do syndromu postwietnamskiego. (…)

Stopniowo Andreasen zaczęła zgadzać się z Shatanem, iż z traumatycznego wydarzenia – czy to pożaru domu, czy napadu w parku, czy ostrzału w czasie bitwy – może zrodzić się spójny zespół objawów. Ponieważ wcześniej opisywała psychikę poparzonych jako „zaburzenia wywołane stresem", teraz zaproponowała zmianę nazwy syndromu postwietnamskiego na szersze pojęcie: „zespół stresu pourazowego" (PTSD). Stworzyła przy tym następujące podsumowanie: „Cechą kluczową jest rozwój charakterystycznych symptomów w następstwie traumatycznego wydarzenia, wyrastającego poza zwyczajne ludzkie doświadczenia".

Mimo nielicznych dostępnych naukowych dowodów poza obserwacjami Shatana i Liftona z sesji weteranów zespół zadaniowy bez większych oporów przyjął propozycję Andreasen. (…) Od tego momentu dotknięci traumą weterani mieli znacznie łatwiejszy dostęp do opieki medycznej, bo zarówno armia, jak i medycyna wreszcie uznały, że cierpią oni na prawdziwą chorobę.

Chociaż jednak DSM-III legitymizował cierpienia żołnierzy wracających z wojny – tak jak cierpienia ofiar gwałtów, napaści, tortur, oparzeń, bombardowania, katastrof klimatycznych i kryzysów finansowych – w roku 1980, kiedy publikowano podręcznik, psychiatrzy nadal niewiele wiedzieli o mechanizmach PTSD i o tym, co się dzieje w mózgach chorych.

Fragmenty książki Jeffreya A. Liebermana *Czarna owca medycyny. Nieopowiedziana historia psychiatrii*, przekład Maciej Miłkowski, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2020

eprasa.pl ae1bac6507

SENIOR
W
KORONIE
POMÓŻ KUPIĆ CIEPŁY OBIAD
DLA NASZYCH SENIORÓW!
Zasil zrzutkę:
zrzutka.pl/seniorwkoronie
TY też możesz czynić dobro!
Więcej o nas przeczytasz w grupie na Facebooku:
SENIOR W KORONIE - wsparcie dla starszych osób w czasie pandemii covid-19
Znajdziesz nas też na Instagramie: www.instagram.com/senior_w_koronie/

Nic, co ludzkie, nie jest naturze obce

W przyrodzie dzieją się rzeczy, o których nie śniło się nawet twórcom filmów porno

Konrad Malec

Do debaty publicznej wdarła się seksualność, okraszona terminami „zboczeńcy" i „dewianci". Argumenty teologiczne wskazują rzeczy niezgodne z prawem naturalnym, czyli boskim. Mitologia i teologia to nie moje działki, ale o naturze co nieco wiem. A w niej dzieją się rzeczy, o których nie śniło się teologom, konserwatywnym politykom ani twórcom filmów porno.

Kiedyś w gnieździe sierpówki, gołębia zamieszkującego miasta i wsie, dojrzałem trzy jaja. Gołębim standardem są dwa. Zawsze w takich sytuacjach dzwonię do jednego z mądrzejszych kolegów. Podejrzewał gniazdo dwóch samic. Niestety, chwilę później gniazdo strąciła wichura i sprawa pozostała tajemnicą. Homoseksualizm w przyrodzie? Czemu nie, w końcu wywoływany jest przez drobne zamieszanie hormonalne na wczesnym etapie ciąży, a przecież jesteśmy sterowani hormonami w podobny sposób.

Dwie one lub dwóch ich, a gdyby jeszcze kogoś zaprosić? Tak bywa np. u kokoszek, niewielkich ptaków wodnych. Zwykle obserwujemy tradycyjne pary ona i on, w otoczeniu piskląt, ale zdarza się, że panowie mają dwie żony albo pani ma dwóch mężów. Ta druga konfiguracja na ogół obfituje w dzieci, opieka dwóch samców pozwala świetnie wychować młode, samicy zaś składać i wysiadywać kolejne jaja. U wróblowatych zaradny samiec, szczególnie przy niedoborze konkurentów, często zakłada drugą rodzinę na boku, choć raczej z tym się nie afiszuje i w sąsiednim rewirze stara się śpiewać zmienionym głosem, by małżonki się nie połapały. Przyłapany na bigamii awanturę ma jak w banku, z dziobobiciem pań, a nawet zniszczeniem lęgów konkurentki, w końcu samiec dzielący czas między dwie rodziny mniej pożywienia przyniesie pisklętom. Wśród naszych ptaków za szczególnie skłonne do bigamii uchodzą strzyżyki, rekordzista miał aż dziewięć małżonek jednocześnie!

Może zamiast ryzykować awantury, lepiej postawić na wolną miłość? Praktykują ją bardzo rzadkie w Polsce płochacze halne. Jak przystało na hipisów, ptaki wychodzą z założenia, że wszystkie dzieci nasze są i samce opiekują się potomstwem wszystkich samic, z którymi współżyły. Podobnie bywa u ich bliskich krewnych – pokrzywnic, przy czym tu mamy ptaki zarówno w parach, jak i w komunach. Co ciekawe, im dalej na zachód, tym popularniejsza wolna miłość. Wiadomo, skąd idzie zgnilizna moralna. Przy okazji pokrzywnic udało się rozwikłać zagadkę, kto częściej może liczyć na pożycie – ptaki w parach bzykają się przeciętnie co godzinę, w wolnych związkach doznają przyjemności dwukrotnie częściej! Aby podołać częstemu pożyciu, samcom w okresie godowym rozrastają się jądra. Na rodzimym gruncie rekordzistami są zagrożone wyginięciem wodniczki, u których samice w pojedynkę wychowują młode. Samce ciągle uwodzą dziewczyny. Ponieważ każdemu zależy, by samica zniosła jego jaja, stosunek trwa 40 minut, w tym czasie panowie wielokrotnie szczytują. By sprostać zadaniu, ich jądra osiągają 8% masy ciała. To tak, jakby ludzie mieli w mosznie dwa arbuzy. Z tych większych.

Rekordzistami pod względem długości stosunku są jednak patyczaki peruwiańskie, kopulujące 10 tygodni! Inni, chcąc zostawić jak najwięcej swoich genów, zakładają wybrankom pas cnoty. Chrząszcze z rodziny piórkoskrzydłych, tycie, mające 0,4-1,2 mm, deponują w drogach rodnych samicy tyle nasienia, że wypełnia je ono w całości i nie ma miejsca na więcej. Bardziej wyrafinowane są pająki z rodziny osnuwikowatych. Panowie wytwarzają białkowe zatyczki, które zamykają drogi rodne samicy i utrzymują się od kilku dni aż po kres żywota. Nie przeszkadza to w prokreacji, samice pająków mają trzy otwory płciowe – dwa do wprowadzenia nasienia, jeden do składania jaj. Rzecz jasna, kopulacja z jednym samcem przeważnie nie leży w interesie samicy. U afrykańskich

eprasa.pl ae1bac6507

gryzoni, afrowiórek, samce również zostawiają białkową zatyczkę, ale jeśli afrowiórka nie jest zadowolona z tego, jak jej chłopak się spisał, lub ma lepszego na oku, potrafi pas cnoty wyczesać i zjeść.

Bardziej ekstremalną formę zatyczki wynalazły pszczoły miodne. Po stosunku samcom eksploduje przyrodzenie, zatykając końcówką drogi rodne przyszłej królowej. Chyba niektórych czytelników skręciło w podbrzuszu, ale proszę się postawić w sytuacji trutnia. Prawdopodobieństwo, że uda mu się dopędzić samicę i pobzykać, wynosi 1:20. Pomijając niewielką szansę, po stosunku samiec jest wyczerpany i umiera. Odstrzelenie przyrodzenia nie jest zatem wielkim poświęceniem. Makabryczne jest to, że samice znalazły sposób na obejście blokady i wyczesują zabezpieczenie, by odbyć jeszcze kilka czy kilkanaście lotów godowych. Ale ta chwila zwłoki daje więcej czasu na zagoszczenie nasienia w odpowiednim miejscu. Zapewne ongiś ten mechanizm zabezpieczał *nomen omen* interes samców, ale przeciwne interesy płci prowadzą do ewolucyjnego wyścigu zbrojeń.

Ów wyścig doprowadził u wywilżny karłowatej (muszka owocowa) do wykształcenia ponad 80 substancji chemicznych w płynie nasiennym, które działają jak narkotyk, zmniejszają pociąg płciowy, a nawet wywołują agresję samic względem samców. Pospolite muchy domowe są skromniej obdarowane przez naturę, wykryto u nich zaledwie tuzin podobnych związków. Rzecz jasna, samice w odpowiedzi wykształcają antidotum.

Bycie samcem zwykle jest łatwiejsze, zostawia taki trochę białka i znika, a samica zostaje z troskami. Nawet jeśli tylko złoży jaja, którymi później nie będzie się opiekowała, i tak musi znaleźć odpowiednie miejsce, a składanie jaj jest dużym wysiłkiem, często dodatkowo wystawia ją na atak drapieżnika. Wydają się wiedzieć o tym będące obojnakami ślimaki winniczki. Początek zbliżenia to walka harpunników – ich prącia zakończone są grotem, przebiwszy ciało partnera/przeciwnika, dostarczają substancje uaktywniające żeńskie hormony. Zwycięzca zapewnia sobie wygodne bycie tatusiem. Bardziej pacyfistycznie jest u bezskorupowych pomrowów wielkich – wybrańcy wspinają się na gałąź, w miłosnym dotyku wydzielają śluz, po którym opuszczają się i zawisają nad ziemią. Wysuwają penisy, które splatają się 3 cm poniżej ich głów, i wzajemnie przekazują nasienie. W tej grze obie strony są tatusiami, a zostaną mamusiami.

Część zwierząt potrafi zmieniać płeć, gdy brakuje partnerów, np. niektóre płazy, co wykorzystał Spielberg w „Jurassic Park". U innych płeć nie jest zapisana w genach, lecz zależy od temperatury inkubacji jaj. To przypadek częsty u gadów. U jeszcze innych samce w ogóle nie występują lub pojawiają się sezonowo. Na przykład u wielu mszyc czy rozwielitek od wiosny do jesieni są tylko samice, które rozmnażają się partenogenetycznie, czyli za pomocą dzieworództwa. Samce pojawiają się jesienią, a jaja złożone z kontaktu płciowego są odporne na przemarzanie. Na Kaukazie żyją jaszczurki z rodzaju *Darevskia*, których pewne przedstawicielki zupełnie obywają się bez samców. U bezkręgowców zdarzają się przykłady spektakularne. Wrotki bdelloidalne, zamieszkujące m.in. kałuże, mchy, wilgotną glebę, a nawet krople rosy, od 85 mln lat obywają się bez chłopa. Zamieszkująca zbiorniki okresowe przekopnica właściwa i część jej krewnych również pozbyły się samców i radzą sobie całkiem dobrze od 220 mln lat w niezmienionej formie, czym zyskały miano żywej skamieniałości.

Całkowite pozbycie się samców zwykle przynosi korzyści na krótką metę, np. przy nieograniczonym dostępie do pożywienia, ale w dłuższej perspektywie brak wymiany genów utrudnia przystosowanie się do zmian środowiska i zwiększa podatność na choroby. Wymiana genów daje lepsze widoki na długotrwałe istnienie, zwłaszcza jeśli jakiś gatunek nie jest przesadnie monogamiczny. U zwierząt poligamicznych specjacja, czyli przystosowanie się do nowych warunków i powstawanie nowych gatunków, zachodzi cztery razy szybciej niż u monogamicznych. Przy czym myślenie kategorią „dobra gatunku" jest ludzkim tworem intelektualnym, w przyrodzie idzie o pozostawienie własnych genów. Dlatego monogamia nie jest popularna i nawet u większości ptaków żyjących w parach mamy do czynienia raczej z monogamią społeczną niż z rzeczywistą wiernością. U bogatek wzięciem cieszą się stare samce.

Może to dziwne dla ludzi, u których od jakiegoś czasu panuje kult młodości, ale jeśli jakiś samiec długo żyje, to znaczy, że ma dobre geny

Bycie samcem zwykle jest łatwiejsze, zostawia taki trochę białka i znika, a samica zostaje z troskami.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl ae1bac6507

i kupę szczęścia, a dzieci lepiej mieć ze szczęściarzem o dobrych genach niż z niesprawdzonym młokosem. Oczywiście liczba takich panów jest ograniczona, a lepiej się rozmnożyć z byle jakim samcem niż wcale, zwłaszcza że kolejnego sezonu rozrodczego możemy nie dożyć. Samice zawsze znajdą sposób, by zniknąć mężowi z oczu i wpaść na szybki seks do atrakcyjnego sąsiada.

W tej sytuacji trudno się dziwić samcom, które popisują się męskością, robią swoje i znikają. Tak jest u większości ssaków, np. u jeleni tryskających testosteronem na rykowisku. Swoją drogą ryczenie okazało się ciekawsze, niż sądzono. Ryki to sygnał dla innych samców, że ogromny rogacz jest właścicielem areny i lepiej nie składać mu wizyt, chyba że gościem będzie ponętna łania. Odwiedziny innego samca prowadzą do pojedynków, niekiedy zaciętych. Jednak wykonanie na jednym wdechu dwóch ryków w ciągu minuty wydaje się przesadą, tym bardziej że sporego byka trudno nie zauważyć. Okazało się, że ryk pobudza samice, dzięki czemu szybciej są gotowe do stosunku. I o to chodzi! Przecież za chwilę może nastąpić wrogie przejęcie haremu.

Uczucia partnerki można też… kupić. Miodowody himalajskie opanowują zasobne terytoria. Kiedy w odwiedziny wpada ponętna samica, chłopak częstuje ją woskiem, a w zamian może liczyć na przyjemności. Podobnie jest u pająków z rodziny darownikowatych, których samce wręczają wybrankom elegancko zapakowaną w przędzę przekąskę. Kiedy samica spożywa, samiec zabiera się do rzeczy. Tu działa prosty rachunek – pokarm równa się energia na wytworzenie jaj. Samce niektórych gatunków na tej drodze zupełnie straciły głowę. Modliszki są znane z tego, że konsumują swoich kochanków. Dodatkowo utrata głowy przyśpiesza ejakulację. Po prawdzie samce występującej u nas modliszki zwyczajnej wcale nie chcą aż tak się poświęcać i na początku zbliżenia starają się unieruchomić przednie odnóża samicy, którymi ta chwyta ofiary, ale udaje się to tylko połowie chłopaków. Takiej szansy nie mają amanci czarnych wdów, okrytych mroczną sławą amerykańskich pająków, standardowo kończący jako przekąska. Właściwie to jedyny sposób, by dotrzeć nogogłaszczkami (spełniają funkcje zbliżone do zębów), w których mają rezerwuary nasienia, do dróg rodnych samicy. Wynika to z olbrzymiej, nawet dziesięciokrotnej, dysproporcji między płciami. Znane są przypadki, gdy samce wyrywały jeden drugiego z objęć samicy, by samemu stać się daniem głównym.

Rekordzistami pod względem długości stosunku są patyczaki peruwiańskie, kopulujące 10 tygodni!

Znacznie rzadziej samica staje się postseksualnym daniem samca. O ile się nie mylę, znamy tylko jeden taki przypadek, u *Nereis caudata* – morskich wieloszczetów (odlegli krewni dżdżownic), u których to samiec opiekuje się jajami. Generalnie opieka samca nad potomstwem częstsza jest u gatunków z zapłodnieniem zewnętrznym, kiedy samiec ma pewność swojego ojcostwa. W pozostałych przypadkach *mater semper certa est* – tylko matka jest pewna. Choć nawet przy zapłodnieniu zewnętrznym można zostać rogaczem. U bassów – ryb z Ameryki Północnej, potężne samce mają terytoria, przez które dużo mniejsze samice przepływają, składają jaja i pozostawiają je pod opieką tatusiów. Ale są także mniej okazali panowie, wyglądający jak panie. Kiedy taki cherlak widzi tokującą parę, przyłącza się do gry, udając panienkę. W tym trójkącie przebieraniec oblewa część jaj swoim mleczkiem, stając się tatusiem, za którego kolos wychowa przychówek. Nie będzie takiemu miał kto powiedzieć, że na imprezie był facet w żeńskim przebraniu, jak to poczynili życzliwi z Cezarem i Pompeją.

Ale podszywanie się pod samice to jeszcze nic, oto gender z najmroczniejszych snów konserwatywnych publicystów. U bałtyckich wybrzeży żyje ryba zwana iglicznią. U tego gatunku panie składają jaja za pomocą długiego, kojarzącego się z penisem pokładełka, do torby lęgowej na brzuchu samca i to on pływa w ciąży. Może z uwagi na nietolerancję dla inności ryba ta ginie na polskim wybrzeżu? (Na wszelki wypadek napiszę, że prawdziwą przyczyną jest zanik morskich łąk). Penisami, a właściwie łechtaczkami na ich kształt, mogą się pochwalić samice hien, u których to one są bardziej agresywne i to one szefują stadom. Przy takich wybrykach natury dajakoloty sundajskie (malajskie nietoperze), u których samce na równi z samicami karmią młode piersią, to małe miki.

Czy to oznacza, że nie ma już miejsca na niego i nią, z gromadką dzieci? Natura zna i takie przypadki. U *Lysiosquillina maculata*, krewnych krewetek, para pozostaje sobie wierna i nie szuka przygód na boku, choć trzeba przyznać, że szukanie przygód w ich przypadku to rosyjska ruletka z pięcioma kulami w bębenku. Ich miękkie pancerze sprawiają, że wyjście z norki zwykle kończy się trafieniem do rybiej paszczy. Chomiki mongolskie również pozostają sobie wierne, a samce pełnią funkcję akuszerki dla partnerek, co jest jedynym takim przypadkiem wśród ssaków poza ludźmi. Ale tu znowu mamy zwierzęta żyjące w niskich zagęszczeniach, więc znalezienie kogoś innego do seksu i wychowania potomstwa jest trudne. Co innego u bobrów, których w Polsce ostatnio mamy pokaźną liczbę. A proszę – para żyje razem do grobowej deski, wspólnie wychowuje dzieci, rodziny bywają wielopokoleniowe. Konserwatywna wizja sielanki, a jednak to ten gatunek znalazł się na celowniku konserwatywnego rządu, zamiast stać się jego symbolem. Na celowniku myśliwych z kolei są gęsi, których dozgonne pary łączą silne więzi emocjonalne. Dozgonną monogamią szczycą się nasze symbole narodowe – bieliki. Kto wie, być może to właśnie jest przyczyną polskiego konserwatyzmu obyczajowego?

U kokoszek zwykle obserwujemy tradycyjne pary ona i on, ale zdarza się, że panowie mają dwie żony albo pani ma dwóch mężów.

Konrad Malec

eprasa.pl ae1bac6507

Nowy serial MSZ – Barbara

Zapowiada się kolejny serial w MSZ. Będzie on się rozgrywał w salach Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa. A jego główna bohaterka to… Nie, niekoniecznie była ambasadorka RP w Czechach. Wszystko bowiem może się zdarzyć.

Otóż, jak podały media, 3 grudnia sąd, w postępowaniu nakazowym, czyli bez udziału stron, wydał wyrok w sprawie Barbary Ć., oskarżonej o mobbing i znęcanie się nad pracownikami. Zauważmy – akt oskarżenia wpłynął 10 listopada 2020 r., a już po trzech tygodniach sąd sprawę rozpatrzył i mamy wyrok – Barbara Ć. została uznana za winną znęcania się nad podwładnymi i stosowania mobbingu. To nie byle jakie oskarżenie, bo grozi za nie do dwóch (mobbing) lub pięciu lat (znęcanie się) pozbawienia wolności. Tymczasem była ambasadorka ukarana została grzywną w wysokości 10 tys. zł oraz zapłatą nawiązki na rzecz pokrzywdzonych.

I wszystko byłoby już zakończone, gdyby nie to, że od wyroku wniesiony został sprzeciw, więc sprawa toczyć się będzie przed sądem na nowo, tym razem z udziałem stron, z rozpatrywaniem dowodów i wysłuchiwaniem świadków. Nie udało się więc zamieść jej szybkim wyrokiem pod dywan.

I dobrze, bo wygląda ona dziwnie. Zwróćmy uwagę na wyrok, który zapadł w postępowaniu nakazowym. Nie jest szczególnie wysoki. Możemy z niego wnioskować, że ambasadorka jakiś rodzaj mobbingu stosowała, ale że opisywanie tego jako horror w ambasadzie jest grubą przesadą. Zresztą przyznawali to sami prokuratorzy. Rzeczniczka warszawskiej prokuratury mówiła tak: „Zachowanie oskarżonej polegało m.in. na wymaganiu nieustannej gotowości do pracy, nadmiernym obciążeniu pracą, wyznaczaniu nierealnych terminów wykonania zadań, zlecaniu zadań zbędnych, dyskryminowaniu, poniżaniu, krytykowaniu, ubliżaniu, grożeniu odwołaniem z placówki”.

Gdyby te zarzuty stosować literalnie, to trzeba by przed sądem postawić co drugiego kierownika placówki. Ważniejsze jest więc, co za tymi zarzutami się kryje – jakie konkretnie działania. Na ile są one prawdziwe? Ile w tej sprawie jest walki z mobbingiem, a ile intrygi wewnątrz MSZ i nie tylko MSZ?

Zwróćmy uwagę na daty. Według prokuratury Barbara Ć. miała mobbować i znęcać się nad podwładnymi od września 2018 r., czyli niemal od dnia przyjazdu na placówkę, do kwietnia 2020 r., czyli do swoich ostatnich dni w Pradze.

Dyrektor generalny MSZ Andrzej Papierz zgłosił zawiadomienie do prokuratury w lipcu 2019 r. A to oznacza, że skargi pracowników na Barbarę Ć. musiały do niego dotrzeć jeszcze wcześniej. Tak zresztą było, badał je zespół MSZ. Jeśli zaś chodzi o prokuraturę – prowadziła ona swoje śledztwo przez 16 miesięcy! Choć powinna je zakończyć w 90 dni.

Dwa wnioski nasuwają się więc w sposób oczywisty – skargi musiały być miałkie, skoro Warszawa ambasadorki nie odwoływała. Można nawet rzec, że dopiero po wielu miesiącach prac komisji w MSZ i postępowania prokuratury zyskały one jakiś groźny kształt.

O ich miałkości może świadczyć jeszcze jedna rzecz – jak wiemy, Barbara Ć. mobbowała i znęcała się nad podwładnymi niemal do ostatnich dni na placówce. Wiedząc, że w tych sprawach toczy się przeciwko niej śledztwo. Czyżby była tak nieopanowana, że do końca dostarczała argumentów przeciw sobie? To się kupy nie trzyma.

Dlatego rozprawa będzie tak ciekawa. Bo dowiemy się, jak działała ambasada, a jak centrala MSZ. I tego posłuchamy.

Attaché

„Mobilne płuca” Polskiego Alarmu Smogowego przemierzają kraj. W każdym z 18 miast przez dwa tygodnie pokazują zanieczyszczenie powietrza i jego wpływ na zdrowie. Sosnowiec, 28 grudnia.

FOT. LUCYNA NENOW/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl ae1bac6507

JOLKA

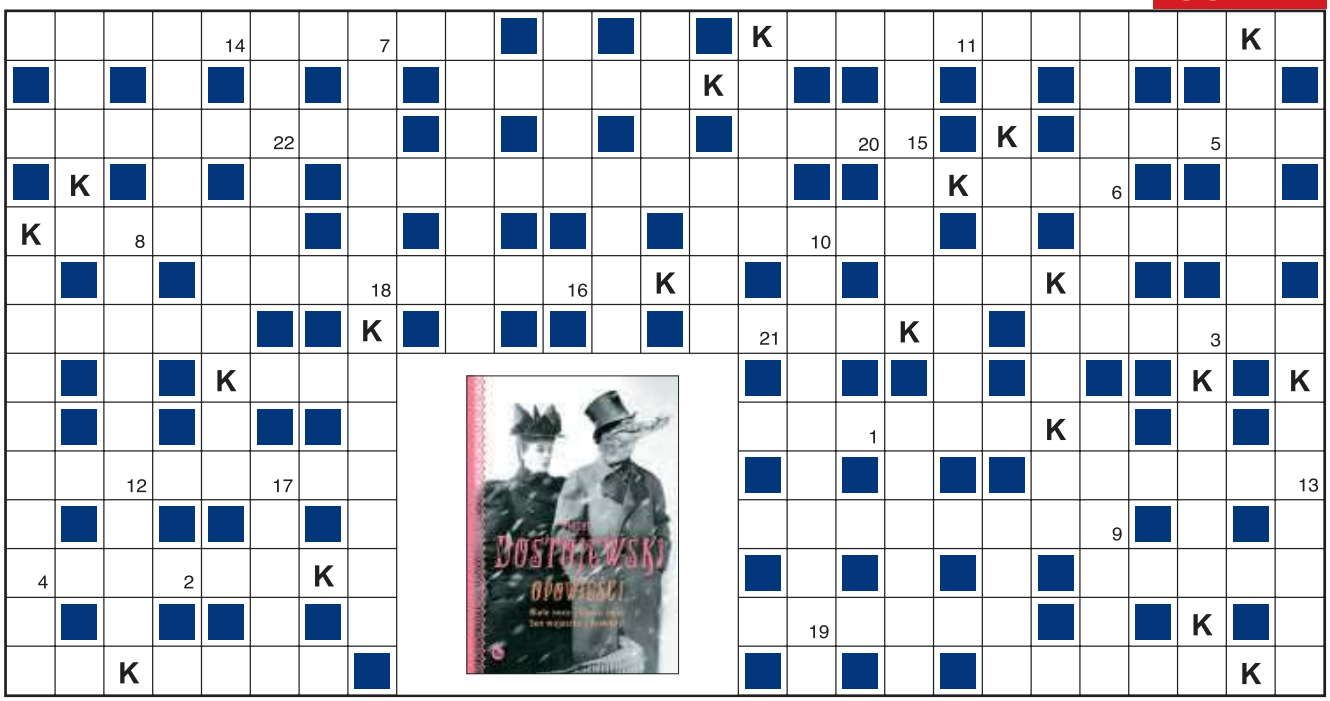

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- niejeden w książce telefonicznej
- wygimnastykowany w cyrku
- syn krawca, którego słuchał dżinn
- coś mocniejszego
- facecja, dykteryjka
- zamknij oczy i myśl o niej – ponoć rada królowej Wiktorii
- ...Boży – Attyla
- miasto z browarem Okocim
- on ucieka, wieczność czeka
- była żoną księcia Karola
- Herbuś, Olszówka lub Jungowska
- Coriolisa albo Dopplera
- i wyciąg, i kwintesencja
- …Knox ze składem sztabek złota USA
- Dyscyplinarna stworzona w Sądzie Najwyższym
- młode zawodniczki lub rodzaj obuwia
- „…po polsku” albo „…Kid”
- grał na nim Benny Goodman
- bociani odgłos
- mylona z dudami
- czarcie utworzone przez owocniki grzybów
- była nią Grażyna Bacewicz
- o czerpiącym korzyści z cudzej pracy
- pocięta folia jako ozdoba choinkowa
- mała dźwignia ręczna
- kajdany, łańcuchy
- w nim przy siodle pistolet
- halucynacja
- połowa ćwierci
- twarde jak ona łykowate mięso
- składane za pomoc, współpracę, życzenia
- ujęty po obławie
- czoło chodnika w kopalni
- do rodziny na święta teraz utrudniony
- imię reżysera filmu „Oficer i szpieg”
- opróżnianie tira z kontenerów
- kapilarna lub z bitą śmietaną
- jądro, istota sprawy
- pod wigilijny obrus
- ogół poruszanych zagadnień
- założenie, które ktoś zamierza uzasadnić
- myśliwy z lasów Ameryki Północnej
- kamień szlachetny lub niebieskozielony kolor
- podróżuje i zwiedza
- pracownica np. magistratu
- nabrać w nie wody to uparcie milczeć
- Iznogud – wielki… komiksowy
- obustronność, np. miłości, życzliwości
- zakręt rzeki
- i profesja, i rozczarowanie
- walcarka do walcowania wlewków na półwyroby hutnicze
- Diego de la Vega w czarnej masce

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-994”. Do rozlosowania książki „Opowieści” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 stycznia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-991” z nr. 51: *Bez pytania nie ma kłamstw.*
Nagrody otrzymują: Zenon Lewiński z Dęblina, Zdzisław Pietruk z Międzyrzeca Podlaskiego, Zbigniew Popielski z Nadarzyna.

eprasa.pl ae1bac6507

PENETRACJE

WOLNA SOBOTA **KS. THOMAS DOYLE,** USA

Jan Paweł II (nie chcę nazywać go świętym) znał szczegółowo problem wykorzystywania seksualnego co najmniej od 1985 r. Był częścią problemu, a nie częścią rozwiązania. Setki ofiar napisały do niego listy i błagały o pomoc. Ani razu nie przyznał, że otrzymywał te listy. Za wszelką cenę bronił biskupów. W 1993 r. skierował do biskupów Stanów Zjednoczonych list, w którym obwinił za patologię związaną z krzywdzeniem dzieci naszą amerykańską kulturę i media. Był chory, ale wiedział, co się działo, i kiedy już na dobre podupadł na zdrowiu, nie robił nic, tylko utrudniał walkę z nadużyciami.

PANI **MAŁGORZATA SZUMOWSKA,** REŻYSERKA

Moi rodzice byli opozycjonistami. Dla nas Rosjanie i wszystko, co się z nimi kojarzy, to zawsze było samo zło. A zarazem ja się wychowałam na Dostojewskim, Bułhakowie i filmach Andrieja Tarkowskiego, które do dzisiaj są dla mnie bardzo silną inspiracją. Ta Rosja w nas jest, czy tego chcemy, czy nie. A do tego dochodzi jeszcze społeczny aspekt Ukraińców, w większości rosyjskojęzycznych, coraz liczniej w Polsce obecnych, którzy – podejrzewam – myślą sobie bardzo dużo złych rzeczy na nasz temat. My się nagle dorobiliśmy i zatrudniamy ich, nie zawsze traktując ich dobrze.

STYL **SZCZEPAN TWARDOCH,** PISARZ

Uważam, że „Pokora" jest najlepszą z moich powieści. Pierwszy raz tak czuję. Zazwyczaj kiedy kończę książkę, mam poczucie, że jest nieudana. Napisana wygląda gorzej, niż gdy ją sobie wyobraziłem. Zwykle męczy mnie poczucie niedosytu i rozczarowania. Niektórzy koledzy „wyrzucają książkę do kosza" i zaczynają jeszcze raz. Nie umiałbym przekreślić roku pracy.

URODA **PAULINA MŁYNARSKA,** DZIENNIKARKA, PISARKA

Przy jodze bardzo łatwo „odlecieć". Nagle zaczynamy więcej myśleć o tym, kim byłyśmy w poprzednich wcieleniach, niż o tym, co mamy do zrobienia tutaj, teraz, konkretnie. Joga jest ezoteryczna i składa się z wielu trudnych i tajemniczych praktyk duchowych, ale wejście w nie na serio wymaga czasu, determinacji i zderzenia się z bardzo trudnymi emocjami. Nie lubię o tym mówić. A już tym bardziej słuchać powierzchownego ględzenia o „energiach i wibracjach". Zwłaszcza kiedy nie idzie za tym konkret w postaci ogarniętego, dobrego, solidnego zakończenia w życiu. Najpierw stań mocno nogami na ziemi i zastanów się, kim jesteś.

Ciasna, ale własna. Jeżyk z Jawy Zachodniej.

FOT. TEDDY HARIYANTO/SOLENT NEWS/EAST NEWS

Aby język giętki…

DANIEL OLBRYCHSKI O JACKU KURSKIM
Jest jedną z pierwszych osób, która powinna stanąć przed uczciwym, niezależnym sądem.

ZIEMOWIT SZCZEREK O LEWICY
Lewica mnie drażni, gdy zachowuje się dokładnie tak samo jak Kościół albo sekta. Albo populistyczna prawica.

PROF. MONIKA PŁATEK O MAŁŻEŃSTWIE
Wiedziałam, jakich zachowań nie chcę powtarzać w swoim małżeństwie. I prawie wszystkie je powtórzyłam.

JAN NOWICKI O CZYTANIU
Fakt, że Polska nie czyta, to większe zagrożenie niż koronawirus. To jest prawdziwa zaraza.

KAROL OKRASA O PEGEERACH
Ludzi, których wcześniej prowadzono za rękę, zostawiono samych, mówiąc: „radźcie sobie".

JOANNA KULIG O INTUICJI
Mnie dużo ludzi mówiło „nie", a ja powtarzałam sobie „idź". Przewracałam się, wstawałam i szłam dalej.

ARKADIUSZ JAKUBIK O ZAWODZIE AKTORA
Im bardziej zabiegałem o role, tym trudniej było mi je dostać. Byłem na utrzymaniu żony.

BEATA ŚCIBAKÓWNA O JANIE ENGLERCIE
Być może nasze małżeństwo ma się dobrze, bo my właściwie cały czas jesteśmy razem. I w teatrze, i w domu, i na wakacjach.

MACIEJ ZAKOŚCIELNY O CHAMSTWIE
Nie toleruję chamstwa, ale pracuję, by reagować na nie z większym spokojem.

MACIEJ MALEŃCZUK O DZIECIACH
Dlaczego z maluchów mających tak dobry humor i pęd do życia wyrastają beznadziejni dorośli?

EWA WACHOWICZ O SOBIE
Miałam 50 lat, żeby się polubić. Nauczyłam się dbać o siebie.

eprasa.pl ae1bac6507

Bo miłość nie mogła czekać

28-letni obywatel Szkocji trafił do więzienia, gdyż wbrew obostrzeniom związanym z pandemią przepłynął skuterem wodnym Morze Irlandzkie, by spotkać się z ukochaną. Dale McLaughlan na zakupionej dzień wcześniej maszynie wyruszył z ojczyzny na wyspę Man, położoną między Wielką Brytanią a Irlandią. Ponieważ płynął skuterem pierwszy raz w życiu, a pogoda mu nie sprzyjała, rejs zamiast kilkudziesięciu minut trwał cztery i pół godziny, a zwieńczyło go ponad 20 km pieszej wędrówki. Trzy dni później niecierpliwca zatrzymały lokalne służby, gdyż nie miał pozwolenia na wjazd na wyspę. Cztery tygodnie odosobnienia nie powinny ochłodzić jego uczuć, zwłaszcza że Szkotom kratki kojarzą się całkiem dobrze.

Dekadencja – tak, wypaczenia – nie!

Wśród licznych błędów, z jakimi trafiła na światowy rynek szeroko reklamowana gra komputerowa „Cyberpunk 2077", jest wszechobecność sztucznych penisów. Autorzy chcieli pokazać dekadencję społeczeństwa przyszłości, jednak informatyczna niedoróbka sprawiła, że erotyczne zabawki nie tylko ukazywały się graczom podczas wizyt w seksklubach czy mieszkaniach, ale także walały się na ulicach. Aktualizacje naprawiły usterkę, co nie zmienia faktu, że po takiej serii wpadek producent gry, polska firma CD Projekt, może zacząć się martwić o swój interes.

MEMY BEZ ŚCIEMY

E-tyka przede wszystkim

Tymczasem rzeczywistość goni futurystyczne gry komputerowe. Komisja etyki Francuskich Sił Zbrojnych wydała zgodę na rozpoczęcie prac nad implantami, które zapewnią żołnierzom odporność na zmęczenie, ból i stres. Badacze mają także zaprojektować specjalny system, który umożliwi lokalizowanie cyberżołnierzy. Co istotne, niedozwolone będą modyfikacje wpływające na wolną wolę wojaków. – To bardzo ważne, by nowe technologie nie zabiły w nas człowieczeństwa – podkreśliła Florence Parly, szefowa resortu obrony, niekojarzącego się dotąd z niechęcią wobec zabijania.

Czas kierowniczek

Inne nadsekwańskie ministerstwo, służby publicznej, ukarało grzywną władze Paryża za dyskryminację mężczyzn podczas obsadzania stołków w ratuszu. Przepisy mówią, że nie więcej niż 60% nowo zatrudnionych na stanowiskach kierowniczych mogą stanowić osoby jednej płci, natomiast w 2018 r. było w tej grupie 69% kobiet. – Jestem szczęśliwa, mogąc ogłosić, że zostałam ukarana – oświadczyła mer stolicy, Anne Hidalgo. Warto wspomnieć, że zgodnie z nowymi regulacjami grzywny nie będą już nakładane, o ile dysproporcje w zatrudnianiu nie będą pogłębiać nierówności płciowych.

Gra w wodną ruletkę

Na największą na świecie giełdę kontraktów terminowych trafiła… woda pitna. Na Chicago Mercantile Exchange handluje się umowami, na mocy których jedna strona zobowiązuje się kupić, druga zaś sprzedać

eprasa.pl ae1bac6507

To ciekawe, jak tradycje i przyzwyczajenia wpływają na relaksowanie się w wodzie. Muzułmanki na wyspie Koh Lipe w Tajlandii i członkowie Ice Swimming Club w Nowosybirsku.

określoną ilość aktywów w określonym czasie w przyszłości, po określonej cenie. Do tej pory na CME handlowano m.in. kontraktami na ropę naftową i złoto, teraz objęła ona także kalifornijski rynek wodny. Na razie kontrakty na wodę będą dostępne jedynie dla przedsiębiorstw rolnych z Kalifornii, jednak już odzywają się głosy, że takie praktyki zagrażają podstawowym prawom człowieka. – To cyniczna próba stworzenia czegoś, co jest prawie jak kasyno. Niektórzy ludzie będą zarabiać na cierpieniu innych – skomentował Basav Sen z think tanku Institute for Policy Studies.

Ulewa? Da się zrobić

Znaczenie wody doceniają Chińczycy, którzy właśnie ogłosili rozszerzenie swojego programu modyfikacji klimatu. Sztuczne wywoływanie deszczu i śniegu na obszarze większym niż Indie ma pomóc odbudować ekosystemy i zmniejszyć straty wynikające z klęsk żywiołowych. A skoro mowa o Indiach, to obawiają się one, że przedsięwzięcie realizowane przez potężnego sąsiada może być wstępem do opracowania nowych rodzajów broni, za sprawą których Chiny będą mogły zsyłać na rywali powodzie, huragany i susze. Co ciekawe, już w 1976 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło rezolucję zakazującą modyfikowania pogody dla celów militarnych.

FOT. ANONIMOWY INTERNAUTA, PIĆ NA WODĘ, FOTOMONTAŻ, FACEBOOK, ROSTISLAV NETISOV/AFP/EAST NEWS, MLADEN ANTONOV/AFP/EAST NEWS

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl ae1bac6507

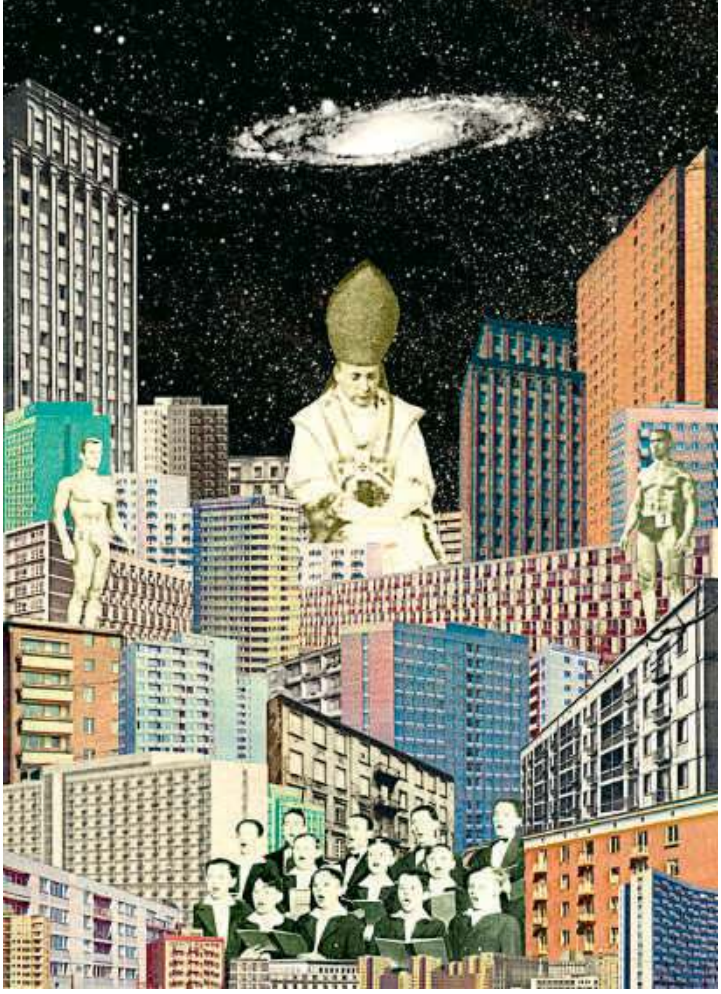

Gorzkie żale

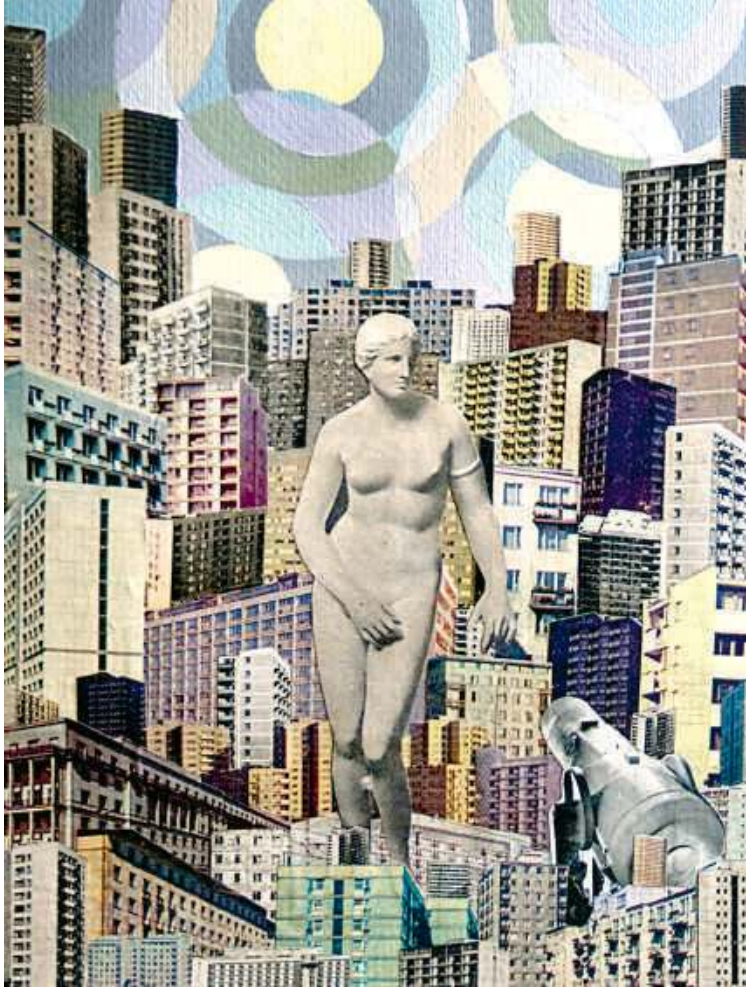

Plamy na Słońcu

Utopia
Ukryte terapie

Zawieszony w przestrzeni kosmicznej miejski pejzaż z utopijnych kolaży **Mateusza Szczypińskiego** jest dziwnie znajomy. Narracja toczy się na różnych poziomach. Wzrok odbiorcy błądzi po architektonicznym labiryncie w poszukiwaniu życia pomiędzy. Metropolia przytłacza skalą, przedstawione postacie wydają się zakleszczone w miejskich przestrzeniach. Doświadczenie zamknięcia w czterech ścianach podczas lockdownu w pewnym sensie pozwala nam się z tym utożsamić.

lokal_30
Warszawa, ul. Wilcza 29a
do 16 stycznia

Utopia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

AURORA FILMS POLECA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

AURORA

Symboliczna opowieść
o miłości i przeznaczeniu

UNDINE

W rolach głównych
PAULA BEER
FRANZ ROGOWSKI

POKAZY SPECJALNE
4, 14, 18 stycznia

Pełna humoru, słodko-gorzka
satyra na pokolenie
trzydziestolatków

W CO GRAJĄ LUDZIE

Film z gwiazdą „Granicy"
EERO MILONOFFEM

POKAZY SPECJALNE
6, 12, 20, 31 stycznia

Ta baśń brzmi jak
zgrzyt noża po szkle...

ZŁE BAŚNIE

Reżyseria
DAMIANO I FABIO
D'INNOCENZO

POKAZY SPECJALNE
10, 19, 30 stycznia

KINO ONLINE w TWOIM DOMU na platformie wirtualnych kin MOJEeKINO.PL

Z MOJEeKINO.PL wspierasz kina

stowarzyszenie
kin
studyjnych

eprasa.pl ae1bac6507

KWIAT PAPROCI

tekst i reżyseria:
Justyna Zar

scenografia:
Aleksandra Reda

muzyka:
Łukasz Damrych

choreografia:
Maciej Florek

obsada:
Małgorzata Krawczenko
Żaneta Małkowska
Hanna Matusiak
Anna Sztuder-Mieszek
Natalia Wieciech
Anna Woźniak-Płacek
Łukasz Batko
Łukasz Bzura
Krzysztof Ciesielski
Piotr Osak